



M. LEIGHTON

JESTEŚ

MOIM

ZAWSZE

*Nigdy nie przestawaj biegać za świetlikami...*

FILIA

M. LEIGHTON

JESTEŚ  
MOIM  
ZAWSZE

Przełożyła  
Katarzyna Agnieszka Dyrek

FILIA

*Mojemu wspaniałemu ojcu, Temowi,  
który, gdy byłam małą, łapał ze mną świetliki. Świat bez Ciebie  
nie jest już taki sam, ale mój słońce nie jest mniej pełen. Kiedy żyłeś,  
zadbałeś, by tak się nie stało.  
Kocham Cię, tato. Na zawsze pozostaniesz w moim sercu.  
Aż znów się spotkamy...*

*Dedykuję tę książkę również każdemu, kto stracił bliską osobę.*

*Śmierć nie jest przeciwieństwem życia, a jego częścią.  
– Haruki Murakami*

## OD AUTORKI

Ta książka nie jest baśniowym romansem, mimo to jest najbardziej romantyczną historią, jaką przyszło mi opowiedzieć. To podróż pełna cierpienia i straty, nadziei i szczęścia. Jest zarówno boleśnie tragiczna, jak i niesłychanie piękna. To historia miłosna. Opowiada o prawdziwym uczuciu – takim, które dostrzega Cię w nocy i tuli, gdy płaczesz. O miłości, z której nie chcesz zrezygnować i odpuścić – takiej, o której wszyscy marzą, ale tylko nieliczni ją znajdują. Jest jednak prawdziwa. Przyrzekam, że jest realna. Widywałam tę miłość oraz tak mocno złamane serca. Przeżyłam ją osobiście i, szczerze mówiąc, nigdy już nie będę taka sama. Mam nadzieję, że Ciebie zmieni podobnie jak mnie.

## PROLOG

### *SAVE A PRAYER*

*Któregoś dnia w przyszłości, na strychu...*

Zakurzone pudełko leży otwarte u moich stóp. Zapach starych wspomnień i wilgoci łaskocze mnie w nos. Powstrzymując się od kichania, przegrzebuję rzeczy taty w poszukiwaniu starego zakręcanego słoja. Leży na samym dole, obok rękawicy baseballowej, lalki Barbie i czerwonej puchowej kamizelki, którą nosiłam tysiąc lat temu, gdy spadł pierwszy śnieg. Ostrożnie wyciągam chłodne naczynie i próbuję odkręcić wieczko. Mam osiemdziesiąt sześć lat, więc nie posiadam już tak wielkiej siły, a moje sękaty, powyginane palce nie dają rady zardzewiałemu metalowi. Poddaję się i przez dłuższą chwilę wpatruję w pusty słoje, wyobrażając sobie, że jest pełen połyskujących świetlików, rozjarzonych punkcików, które kołysały mnie do snu przez więcej nocy, niż zdołałabym zliczyć.

Zerkam do pudełka w poszukiwaniu listu, który był dołączony do słoja, jednak nie mogę go nigdzie znaleźć. Tak naprawdę to go nie potrzebuję. Nawet po tych wszystkich latach nadal pamiętam jego treść. Wciąż mam w głowie znaczenie szklanego naczynia.

*Kiedy spojrzysz na ten słoje, nie myśl, że jest pusty. Nie jest. Jest pełen obietnic, pięknych, cudownych rzeczy, które przygotował dla Ciebie świat. Życie jest takie samo. Nie będzie puste, gdy dostrzeżesz piękno, które je wypełnia. Jesteś pełna niezwykłości, dziecko. Zupełnie jak ten pusty słoje.*

Doskonale pamiętam te słowa, wiem także, co znajdę, gdy obrócę naczynie – wiadomość z poprzedniego życia wyrytą w twardym szkle.

*Kocham Cię, córeczko, bardziej, niż zdołałabym to wyrazić. Nie kładź się spać z brudnymi stopami ani pustym słojem. Każdej nocy zmów modlitwę i nigdy nie przestawaj biegać za świetlikami.*

# ROZDZIAŁ 1

## *BED OF ROSES*

NATE

– Powitaj następne trzy miesiące – mówię radośnie, gdy przekraczam próg. Za plecami w jednej ręce trzymam dwa bilety lotnicze, w drugiej butelkę szampana. Mam rozpiętą marynarkę i poluzowany krawat. Odkąd pięć minut temu wjechałem na naszą ulicę, pracowałem nad stworzeniem swobodnego i zrelaksowanego uśmiechu.

Wiedziałem, że żona będzie tego potrzebowała.

Helena przemierza kuchnię w moim kierunku, mocniej zawiązując pasek szlafroka. Znam ten gest – jej ciało powiększyło się w obwodzie. Bardzo się tym przejmuję. Ale ja? Ledwie to zauważam. Kocham każdą krągłość jej ciała.

Przez lata obserwowałem zachodzące w niej zmiany, gdy z dziewczyny stawała się prawdziwą kobietą, która wie, kim jest i czego chce. Zmiany były zarówno emocjonalne, jak i fizyczne, jednak te drugie nie podobają jej się tak jak mnie. Uwielbiam krągłość jej bioder i piersi, doceniam wdzięk starszej, bardziej okrągłej twarzy. Lena jest jedną z niewielu kobiet, które pięknieją z czasem. Upływające lata uwydatniają jej urodę. A przynajmniej ja tak to postrzegam.

Jej policzki zapadły się nieco, gdy na miejscu młodzieńczej pełności zagościła dojrzałość. Jej usta zaczęły się częściej uśmiechać, odkąd opuściła je wcześniejsza nieśmiałość, przez co gładka niegdyś skóra wokół oczu pokryta jest teraz siateczką tysięcy zabawnych chwil, co świadczy jedynie o tym, jak wesoło wie dzie życie. Nazywa je „oznakami odwagi”. Nawet ona się śmieje, mówiąc w ten sposób. Sądzę, że każda z tych linii czyni ją



jeszcze piękniejszą.

– Nate, na pewno tego chcesz? Nie musimy...

Kiedy się zbliża, widzę niepewność wypisaną na jej twarzy. Maluje się w zmarszczonym czole, zaczerwienionych wargach i skrzy się w brązowych oczach. Moja wspaniała żona się martwi.

Znam wszelkie subtelne niuanse jej myśli i nastrojów. Pojawiają się na krajobrazie jej oblicza niczym film wyświetlany na białym płótnie ekranu.

Znam tę twarz.

Znam setki jej wyrazów i pracę mięśni, jak własną kieszeń. Żona nigdy nie jest w stanie ukryć tego, co myśli czy czuje.

Nie przede mną.

Odkładam bilety i szampana na czarny granitowy blat kuchennej wyspy i ostrożnie chwytam Lenę za ramiona.

– Przysięgam – mówię stanowczo, zanim zdoła przedstawić milion powodów świadczących, że nie jest to dobry pomysł. – To będą najlepsze trzy miesiące naszego życia.

– Cóż, może nie twojego – dodaje.

– Tak, mojego też. Obiecuję, że przestaniesz się martwić.

Lena spuszcza wzrok i odwraca zdradzającą wszelkie emocje twarz, bez wątpienia licząc na to, że ukryje przede mną to kłamstwo. Jednak jej się nie udaje.

– Okej.

Umieszczając palec pod jej podbródkiem, zmuszam ją, by ponownie na mnie spojrzała. Pochyla się, aż stykają się nasze czoła i nosy.

– Kłamczucha – szepczę, muskając jej usta.

Wiem, że ta walka dopiero się rozpoczyna. Będę potrzebował sporo czasu i argumentów, aby przekonać żonę, żeby nie martwiła się o naszą podróż. Jestem zdeterminowany, by uczynić ją możliwie najlepszą, nawet jeśli będę musiał przypominać sobie, że tego właśnie chcę. Jednak będzie warto. Nie mam co do tego żadnych wątpiwości. Jeśli nie mogę dać jej nic innego, dam przynajmniej to.

– Moje serce – mruczę, pocierając nosem o jej nos, pragnąc wszystko naprawić. Zmienić.

Wiem jednak, że jest to niemożliwe.

– Dla ciebie – odpowiada w ten sam sposób, jak w dzień, gdy oświadczyłem się jej szesnaście lat temu. Był to jeden z najlepszych wieczorów w moim życiu, od tamtego czasu sprawy szły wyłącznie w dobrym kierunku.

*Czas.*

Odsuwam od siebie myśl, która wybucha niczym wulkan, wypływając niszczycielską lawę do mojego umysłu. Istnieją rzeczy, których nie pozwalam sobie rozważać. Nie, póki nie zostanę do tego zmuszony.

– Będziemy świętować naszą rocznicę nad brzegiem Tamizy, po czym każdy nowy dzień gdzie indziej. Na francuskiej riwierze, w Rzymie, Pradze, Wiedniu i Belgii. Pojedziemy wszędzie, gdzie zawsze pragnęliśmy być.

– Co jeśli zawsze pragnęłam być tylko w twoich ramionach?

Pierś ściska mi się boleśnie, gdy wciąż nowe obawy owijają swe zimne, czarne szpony wokół mojego serca. Pospiesznie, zanim Lena zauważy, upycham je do głębokiej dziury, podobnie jak każdej wiosny pakujemy narty do szafy w przedpokoju pośród resztek naszego życia, przytrzymując je jedną ręką, drugą zamykając drzwi najszybciej jak to możliwe, by narty nie wypadły. Oboje z Leną wiemy, by nie otwierać tej szafy bez powodu. Często żartujemy na jej temat, używamy jej również jako analogii do okropnych sytuacji. Zdajemy sobie sprawę, że ktoś może zostać zraniony przez to, co znajduje się za jej drzwiami.

Uśmiechając się, odpowiadam:

– To miejsce, które zawsze będzie na ciebie czekać. Moje ramiona są otwarte dwadzieścia cztery godziny na dobę, siedem dni w tygodniu. Dniem i nocą. W słońce czy w deszcz. Tak długo, jak oboje będziemy żyć.

– Tak długo, jak oboje będziemy żyć?

– Tak długo, jak ja będę żył – wyjaśniam.

Czuję, że kręci lekko głową, po czym wtula twarz w moją szyję, nieskutecznie próbując ukryć przede mną emocje. Często to robi – próbuje ukryć to, co czuje. Przynajmniej ostatnio. I pozwalam jej na to. Wiem, że w jakiś sposób chce ochronić mnie przez swoim załamaniem.

Ale nie potrafi tego zrobić.

Wiem. Zawsze wiedziałem. Choć oszczędzam ją, udając, że jest inaczej. Mawiają, że niewiedza jest błogosławieństwem. Chyba muszę się z tym zgodzić. Chciałbym nie być świadomy tak wielu spraw, ponieważ gdy się je pozna, nie można o nich zapomnieć.

Jestem świadomy chwili, w której walczy, w której również pakuje narty do szafy, by wyjąć je dopiero, gdy zajdzie ku temu konieczność. Lub kiedy puści zamek i drzwi niespodziewanie się otworzą, wypływając te przekłete narty na podłogę. Jestem świadomy, ponieważ przesuwam dłońmi po moich rękach, ramionach, a kiedy splata palce na moim karku, tuli się w sposób, w jaki robi to, gdy chce czegoś więcej niż pocałunku.

Gdybym tak mocno nie starał się strzec szafy i tych przeklętych nart, zapewne bym zawył.

– Zaczniemy to świętowanie od razu.

Kiedy nasze usta ponownie się spotykają, wyczuwam głód. Rozpacz. Smutek. Dzwoni niczym niesłyszalny dzwonek w każdym dotyku, wyszeptanym słowie, cichym jęku. Krótką chwilę później nasze języki tańczą znajomy, słodki taniec, któremu towarzyszą palce rozpinające guziki i pieszczoty rozbudzające wszystkie nerwy.

Lena mnie podnieca.

Zawsze tak było.

Biorę ją więc na ręce i niosę nagą do łóżka, gdzie nasz akt miłosny zwalnia do starannego zapamiętywania ciała, pieszczot i chwil. Jednak prawda i przyszłość nie znikają nawet w oparach naszej pasji.

Zawsze są przy nas.

W tle.

W szafie.  
Z nartami.  
Czekając...

## **ROZDZIAŁ 2**

### ***BITTER WINE***

LENA

– Mimoza na śniadanie? Kim jesteś i co zrobiłaś z moją przyjaciółką?

Uśmiecham się do Nissy, mojej sąsiadki. Zarówno ona, jak i jej mąż Mark są naszymi najlepszymi przyjaciółmi. Ponieważ ani Nate, ani ja nie mamy zbyt wielu żyjących krewnych, w dodatku z żadnymi nie jesteśmy zżyci (nie jesteśmy blisko ani pod względem geograficznym, ani emocjonalnym), sąsiedzi są naszą rodziną. Odkąd zamieszkaliśmy w domu obok, Nissa jest moją najlepszą i jedyną przyjaciółką. Kupiliśmy tę posiadłość dwa lata po ślubie, kiedy Nate podjął pierwszą pracę jako analityk finansowy w banku w Charlotte w stanie Karolina Północna. Trzeciego wieczoru spędzonego w nowym domu Nissa stanęła w tylnych drzwiach, jakbyśmy znały się od lat, trzymając na rękach naczynie z zapiekanką, którą każda szanująca się mieszkanka Południa potrafi przygotować. Różniłyśmy się jak dzień od nocy, mimo to przyłgnęłyśmy do siebie, jak pszczoły lgną do miodu. Albo, jak mówi Nissa, niczym muchy do gówna. Choć nigdy nie określiła, kto w naszej relacji jest rzeczoną kupą.

– Co? Dziewczyna może chyba świętować, prawda?

– Oczywiście – odpowiada, entuzjastycznie wypijając całą zawartość kieliszka. – Ale chciałabym wiedzieć, co świętujemy. Skoro drink zawiera szampana, domyślam się, że nie zaprosiłaś mnie, by ogłosić, że w końcu jesteś w ciąży. Choć, wnosząc po twoim ostatnim dziwnym zachowaniu, wcale bym się nie zdziwiła, gdybyś była. – Z trudem przełykam ślinę, upewniając się, że dam radę zachować spokój i przyglądam się przyjaciółce. – No to o co

chodzi? Wykrztuś to.

Patrzę w niebieskie oczy Nissy, zapisując w pamięci, jak się czuję – siedząc w kuchni w ten cichy poranek, rozmawiając z przyjaciółką z taką łatwością, z jaką liście spadają jesienią z drzew.

Tak łatwo byłoby jej powiedzieć. Nasza relacja zawsze taka była – otwarta, szczerą, bez barier – ale ta sytuacja zupełnie się różni. Nie zrzucę na przyjaciółkę takiego ciężaru – jest wielki, a za bardzo kocham Nissę, by tak ją krzywdzić. Większość życia spędziłam, ochraniając bliskich przed cierpieniem. Niektóre rzeczy pozostają niezmiennie, nawet gdy tak desperacko pragnę, by ktoś pomógł mi dźwigać ten ciężar.

– Nate przyniósł go wczoraj, byśmy mogli świętować. Po prostu nie wypiliśmy za wiele.

W mojej głowie odtwarzają się wspomnienia naszej nocy, łagodząc napięcie w moim ciele, zmieniając uśmiech w wyraz prawdziwej radości.

– Co świętować?

– Odszedł z banku – mówię ostrożnie, przeskakując spojrzeniem od zmrużonych oczu przyjaciółki do nietkniętej mimozy i z powrotem.

Wiedziałam, że Nissa będzie miała tysiąc pytań – zbyt dobrze nas zna, by ich nie zadać – ale myślałam, że jestem na nie przygotowana. Mam zaledwie kilka dni do wyjazdu, więc stwierdziłam, że na pewno utrzymam przez ten czas prawdę z dala od Nissy. Jednak może się myliłam.

Nigdy nie umiałam kłamać. Chociaż ta sprawa jest ważna...

– Odszedł? Rzucił pracę czy wziął wolne na lunch?

Śmieję się. Trzy miesiące to sporo jak na lunch.

– Zwolnił się. Rzucił pracę. Odszedł na stałe.

– Dlaczego? – pyta Nissa, sekundę później wytrzeszcza oczy, domyślając się prawdy. – O Boże, chyba nie jest chory?

Przełykam żółć, która podchodzi mi do gardła, i kręcę głową.

– Nie. Zabiera mnie do Europy. Na trzy miesiące.

Usta przyjaciółki rozciągają się w uśmiechu, oczy pozostają szeroko otwarte, gdy piszczący dźwięk dobywa się z jej ust. Jest na tyle głośny, że zaraz szczeka Radley – pies pana Johnsona.

– Ciii... – Uciszam ją, nie umiając się nie uśmiechać. – Obudzisz całą okolicę.

Aby zrozumieć Nissę, trzeba wiedzieć, że jest żywiołowa, wygadana i do szpiku kości przesiąknięta Południem. I zachowuje się głośno. Naprawdę głośno. Jest osobą, według której jeśli ona nie śpi, nikt inny również nie powinien. Choć na co dzień pilnuje siły swojego głosu, by nie budzić dzieci, ale niekiedy po prostu nie może się powstrzymać. Jak w tej chwili – kiedy dowiedziała się o zbliżającej się podróży naszych marzeń.

– Mam to gdzieś! – woła. – Jeśli my jesteśmy na nogach, wszyscy inni też powinni.

Śmieję się głośno. Powiedziała dokładnie to, co zakładałam.

Właśnie taka jest Nissa, ale kocham ją jak siostrę.

Obie od lat cierpimy na bezsenność. Wypracowałyśmy zwyczaj obserwowania, czy światło świeci się w którejś z naszych kuchni. To bezgłośne zaproszenie do wspólnego spędzenia bezsennych godzin. Zmieniamy się, a dziś wypadła moja kolej. I dobrze, choć wahałam się przed włączeniem światła. Gdybym miała pójść dzisiaj do Nissy, najpewniej bym stchórzyła, ale u siebie włączyłam światło. Pstryknęłam włącznikiem i wyszłam jej dzielnie na spotkanie, ponieważ wycofywanie się nie leży w mojej naturze. Zawsze byłam wojowniczką. Cichą, zrównoważoną, niezłomną wojowniczką.

– Wylatujemy w piątek.

– Ale piątek jest pojutrze.

– Taka kolej rzeczy po środzie – mówię, wyliczając na palcach. – Jutro jest czwartek, co oznacza, że pojutrze musi być piątek. Jeden, dwa, trzy... – droczę się.

Nie jestem zaskoczona, gdy przyjaciółka klepie mnie lekko w wyciągniętą rękę.

– Nie wymądrzaj się – prycha oburzona, chociaż uśmiech nie

schodzi jej z twarzy. Jeśli już, to jeszcze poszerza się z ekscytacji. Zawsze przeżywałyśmy nawzajem swoje wydarzenia. Już w szkole średniej Nissa pragnęła pracować i podróżować, jednak wczesna ciąża przekreśliła jej plany i przyjaciółka nigdy później nie była w stanie ich zrealizować. Z drugiej strony, ja cieszyłam się właśnie takim życiem. Zrobiłam magistra z pielęgniarstwa i stałam się najbardziej doświadczoną pracownicą w Centrum Leczenia Nowotworów Franklina Osborne'a, z czego byłam dumna. Biorąc pod uwagę życie prywatne, niewiele byłam w stanie zrobić dla siebie, więc to, czego dokonałam, sprawia, że czuję się spełniona. Kompletna.

Podróże były do tego bonusem. Cieszyliśmy się z Nate'em, mogąc podróżować po kraju, poleciliśmy nawet na Wyspy Dziewicze, jednak ani razu nie odwiedziliśmy Europy, choć oboje bardzo chcieliśmy ją zwiedzić. Po prostu nigdy nie była priorytetem. Mimo że cieszyłam się podróżowaniem, nie było to dla mnie ważne. W przeciwieństwie do Nissy moim nadrzędnym celem było doczekanie się dzieci z moim cudownym mężem. A przynajmniej posiadanie dzieci, los jednakże nigdy nas nimi nie obdarował, nigdy w tym nie pomógł. Ani nowoczesna medycyna z leczeniem niepłodności, ani zapłodnienie *in vitro*. Nic nie działało.

Rozmawialiśmy o adopcji, ale postanowiliśmy się z tym wstrzymać do mojej czterdziestki. Będąc pielęgniarką, wiedziałam o wzrastającym ryzyku wad wrodzonych u płodu. Sądziłam, że będę wtedy gotowa zgodzić się na obranie innej drogi. „Dopiero wówczas – mówiłam wielokrotnie Nissie – z przyjemnością odkryję tajniki adopcji”. Do tego czasu jednak nie chciałam porzucić marzenia o urodzeniu własnego dziecka, które w moich oczach miało być częścią mojej duszy – posiadać po mnie ciemnoblond włosy i wesołość, a po Nacie zielone oczy i bystry umysł. Jednak mając w tej chwili już czterdzieści lat, żałuję, że nie wybrałam mądrzej.

Gdybym tylko wiedziała...

– Europa. Boże, to wielka wyprawa, Leno. Europa?



Kiwam głową, odsuwając od siebie melancholijne myśli. Cieszę się, że entuzjazm mojej przyjaciółki gasi mój smutek. A przynajmniej niweluje go do tolerancyjnego poziomu, wpychając w tło każdej myśli. Wiem, że nie mogę od niego uciec, więc muszę go przysłać, jak tylko mogę.

Rozmawiamy o planach, Nissa kończy większość z butelki Dom Perignon rocznik '81 kupionej przez Nate'a wraz z dwoma litrami soku pomarańczowego, podczas gdy ja nie potrafię dopić pierwszego kieliszka. Jest ledwie dziewięta, gdy Nate wchodzi do kuchni, jego zaczynające siwieć włosy sterczą w każdym kierunku. Jest doskonałą, zaspaną wersją mężczyzny, którego kocham przez ponad pół życia.

– Spałaś tu? – pyta Nissę głosem wciąż ochrypłym od snu. Zawsze uwielbiałam ten dźwięk. Jest seksowny, intymny i charakterystyczny dla Nate'a, co mnie rozczula. Kiedy mąż na mnie patrzy, unosi się jeden kącik jego ust, przez co wspomnienia ubiegłej nocy przeganiają chłód poranka.

– Nie. Nie spałam. Przecież o tym wiesz.

– A Mark jest w domu?

– Nie. Dlaczego pytasz?

Nate wzrusza ramionami.

– Zgaduję, że masz tam czekającą armię głodomorów.

Nissa gwałtownie wciąga powietrze.

– O Panie, moje dzieci! Spalał dom, próbując uruchomić toster!

Nissa podrywa się tak szybko, że niemal wywraca stół. Odruchem charakterystycznym dla matek, w jakiś sposób udaje jej się utrzymać oba nasze kieliszki w pionie, tak jak i niemal pustą butelkę szampana.

– Och, było blisko! – krzyczy, zdejmując okulary, gdy pochyla się, by pocałować mnie w policzek. – Wrócę później, by pomóc ci z pakowaniem.

– Powiedziałaś jej? – pyta Nate zza moich pleców, gdy powoli przekopuje lodówkę, unosząc wieczka plastikowych pojemników i wachając ich zawartość.

– Powiedziała mi – woła Nissa z korytarza. – Zostaw to mnie. Przypilnuję, by spakowała coś seksownego. Każdy będzie się za nią oglądał.

– Jedziemy zwiedzać Europę, nie włączyć się po klubach dla swingersów.

– Nie ma nic złego w spojrzeniach obcych mężczyzn, to pomaga mężowi docenić własną żonę.

Na te słowa Nate obraca się i piorunuje Nissę ostrym wzrokiem.

– Doceniam ją. Bardziej niż ktokolwiek na tym świecie.

Nissa kiwa głową.

– Docenisz ją nago, gdy zobaczysz, co przygotuję. Wyciągnę coś z własnej szafy.

– Przyniesiesz mi ubrania? – pytam zaskoczona.

Nissa spędza na zakupach wiele czasu, nabywając rzeczy, w których nie ma się gdzie pokazać. Moja przyjaciółka jest piękna i seksowna nawet w szlafroku, jednak Mark nigdy nie wydaje się nią tak oczarowany, jak wszyscy inni. Wydaje mi się, że Nissa kupuje te wszystkie ciuchy w nadziei, że mąż spojrzy na nią jak niegdyś, lecz do tej pory to nie zadziało. Przynajmniej tak sędzę. Nissa jest zdesperowana, a Mark jak zawsze nieświadomy jej starań.

– Tak. Nie wygląda na to, bym kiedykolwiek je nosiła, a ktoś powinien. Wolę zobaczyć je na jakimś ciele niż na wieszaku, nim zginą samotną śmiercią w mojej szafie. Masz z tym jakiś problem? – pyta Nate’a, puszczając do niego oko.

Znudzony dotychczasową rozmową mąż wzrusza ramionami i wraca do przyrządzania śniadania.

– O co mu chodzi? – Nissa wskazuje palcem na Nate’a.

Tym razem to ja wzruszam ramionami.

– Jest nie w humorze, chyba się nie wyspał.

Nissa mruży oczy.

– Dźgnę go nożem, jeśli był dla ciebie niedobry.

Parskam śmiechem. Nie wydaje mi się, by wiedziała, jak bardzo się myli.

– Przyjęłam do wiadomości.

– Słyszałam – mamrocze Nate z głową w szafce przy wyspie.

Szuka zapewne patelni.

Nissa pokazuje mu język, po czym puszcza do mnie figlarnie oko, nim wychodzi tylnymi drzwiami. Wymyka się, zanim pada kolejna uwaga.

Obserwuję, jak przemierza niewielki trawnik rozdzielający nasze patia, a następnie znika we wnętrzu swojego domu.

– Postanowiłaś jej o wszystkim powiedzieć? – pyta Nate, stając przy kuchence z niewielką patelnią w dłoni.

– Nie. Powiem jej po powrocie. Do tego czasu...

Spoglądam na okno, przez mój umysł przebiega milion myśli, lecz wszystkie kończą się w tym samym miejscu – na diagnozie.

Nate ociera się delikatnie zarośniętym policzkiem o mój, wyrывая mnie z zamyślenia. Mąż obejmuje mnie, przez co otula mnie jego zapach, troska i miłość.

– Kocham cię – mówi czule tuż przy skórze mojego policzka.

– Jesteś pewien, że tego właśnie chcesz? Muszę być stuprocentowo przekonana, Nate. Wiesz, że zrobię, co sobie zażyczysz.

– Tego właśnie chcę. Przyrzekam.

Zamykam oczy i pozwalam, by ukończyły mnie jego zapewnienia i stanowczość. Cóż, przynajmniej na tyle, na ile cokolwiek jest w stanie tego w tej chwili dokonać.

## **ROZDZIAŁ 3**

### ***TAKE BACK THE NIGHT***

LENA

– A to przyniosłam ci na wieczór spędzany na ulicach Paryża – mówi Nissa z uśmiechem, pokazując obcisłą czerwoną sukienkę na jedno ramię, pozostawiającą drugie całkowicie odsłonięte.

– A będzie mi w tym ciepło? Zgodnie z informacjami Google wrzesień we Francji, szczególnie wieczorami, może być chłodny.

Nie wspominam, że poszukiwałam informacji na temat krajów, które zamierzamy odwiedzić, przynajmniej kilkakrotnie, ponieważ nie potrafiłam zapamiętać wszystkiego, czego się dowiedziałam. Mój umysł nieustannie powracał do gorzkiej rzeczywistości.

– I właśnie dlatego przyniosłam też to – dodaje z dumą i satysfakcją, trzymając sukienkę w jednej ręce, drugą sięgając za siebie. Ze stosu ubrań rzuconych na łóżko wyjmuje jedwabny czerwony szal, przesywany srebrną nicią. Jest cudowny. Piękny szal, do pięknej sukni, by założyć je w pięknym miejscu. – I mam też pasującą do tego kopertówkę i buty.

Biorę od niej delikatny materiał, który prześlizguje się po mojej dłoni.

– Nigdy nie sądziłam, że może tak być – szepczę mimowolnie, nie potrafiąc powstrzymać słów. Tak bardzo ciąży mi na sercu, że czuję, jakby moje usta były zaporą, która nie zdołała powstrzymać ich powodzi.

Ilekcroć fantazjowałam o romantycznej podróży po Europie z Nate'em, nigdy nie przeszło mi przez myśl, że może się ona odbyć w takich okolicznościach. Zgaduję, że nikt tak naprawdę nie planuje tragedii.

– To znaczy jak? – pyta Nissa.

Zaskoczona, spoglądam z wyrzutami sumienia na spoczywający na łóżku stos.

– Miałam... po prostu na myśli, że nie spodziewałam się, że naprawdę pojedziemy. To przecież Europa! Wreszcie, po tak długim czasie! – dodaję z największą ekscytacją, jaką tylko potrafię z siebie wykrzesać, uśmiechając się szeroko, by lepiej zamaskować kłamstwo.

Nissa mruży niebieskie oczy, ponieważ zbyt długo się przyjaźnimy i zbyt dobrze się znamy, by umknęło jej moje zawahanie i by uwierzyła w tę ściemę.

– Coś się jeszcze dzieje?

– Oczywiście, że nie. – Kręcę głową, marszcząc brwi. Wyraz mojej twarzy mówi, by się nie wygłupiała.

Przynajmniej taką mam nadzieję.

Nissa przewiesza sobie czerwoną sukienkę przez rękę, następnie odsuwa stos spódnic, bluzek i bielizny, by usiąść na łóżku twarzą do mnie.

– Na pewno? Przecież mi możesz powiedzieć. Myślisz, że coś się z nim dzieje? Z nim i... z kimś jeszcze?

Wpatruję się w przyjaciółkę, po raz pierwszy zauważając, że jest skrzywiona. Jakby zdenerwowana. Ale dlaczego? Z jakiego powodu miałyby się przy mnie denerwować?

Przyglądam się uważnie, jak przygryza jednym zębem dolną wargę, co często robi, gdy czuje się nieswojo. Wracam pamięcią kilka tygodni wstecz, gdy wydawało się, że chciała mi coś powiedzieć, ale wycofała się i wyszła, albo kiedy zmieniała temat na jakiś przypadkowy i nieistotny. Takie zachowanie nie jest nienormalne dla mojej rozgadanej, ekscentrycznej przyjaciółki, więc nie spodziewałabym się, że ma jakiś głębszy sens. W tej chwili jednak, wracając pamięcią...

Strach sprawia, że kurczy mi się żołądek, a myśli kłębią się w głowie.

*O co może chodzić?*

*Co się dzieje?*

Im dłużej tak siedzimy, tym bardziej moja przyjaciółka zdaje się denerwować.

Naciskam, gdy waha się, czy mówić dalej:

– Nisso?

Zakłada jasne włosy za ucho, wbijając wzrok we własne kolana, na których drżącymi palcami bawi się czerwonym materiałem. Odchrząkuje, na co moje serce zalewa lęk.

– Leno, ja... – Wydaje się, że szybko straciła całą odwagę. Gdy milknie, moje dłonie stają się jeszcze bardziej wilgotne.

*Czy to coś złego? Dlaczego ma tak wielki problem, by to z siebie wydusić?*

– Wydaje mi się, że Nate może... Może się z kimś spotykać.

W ciągu następnych chwil przed oczami odtwarza mi się film wspomnień. Miliony szczęśliwych sytuacji, które dzieliłam z mężem. Wycieczki na tropikalne wyspy i wspaniałe przyjęcia, erotyczne kąpiele i ciche kolacje, bolesne prawdy i nieistotne kłamstewka – wszystko to przechowywane w zwojach mojej kory mózgowej, ale, co ważniejsze, również w sercu, zaraz obok wiedzy, że zawsze byliśmy sobie wierni.

Tak, w przeszłości bywały nieliczne chwile pełne napięcia – kłótnie, które nie sądziłam, że przetrwamy, niekończące się wypominki, ale ani razu nie przyszło mi nawet do głowy, że Nate mógłby mnie zdradzać.

Czasami się ze sobą nie zgadzamy i mamy swoje przywary – jestem cholernie uparta, a Nate cechuje wybuchowy charakter, ale się kochamy. Głęboko. Prawdziwie.

Wspieramy się nawzajem, podnosimy po upadku, ratujemy się, gdy wymaga tego sytuacja.

To prawdziwa miłość.

Wierzę, że nie zgaśnie od razu, gdy któreś z nas zamknie oczy na wieki. Wierzę w to całym sercem.

Nie jestem więc w stanie uwierzyć, że mój mąż mógłby zaryzykować coś tak wielkiego dla skoku w bok. Nie Nate, którego znam, a znam go bardzo dobrze.

Nate jest moim „w zdrowiu i w chorobie”.

Nate jest moim „póki śmierć was nie rozłączy”.

Nate jest stałą w moim życiu.

Udowodnił to bez cienia wątpliwości, gdy rzucił pracę, byśmy kolejne trzy miesiące mogli spędzić, realizując marzenia. Porzucił wszystko na rzecz tej naszej ostatniej wielkiej przygody. Tak nie zachowuje się mężczyzna, który nie jest w pełni zaangażowany.

To zachowanie kogoś, kto jest w pełni oddany.

– Leno?

Głos Nissy wyrywa mnie z zamyślenia, sprowadzając do rozpoczętej rozmowy.

– Co? Przepraszam. Odpłynęłam na chwilę. Co mówiłaś?

– Mówiłam właśnie, że mi przykro, że to ja muszę przekazać ci te wieści. I że to prawdopodobnie nic takiego. To znaczy, wiem, jak bardzo Nate cię kocha. Każdy to widzi, ale wiem również, jacy są mężczyźni. No, bo nawet mój ojciec... – urywa w pół słowa i kręci głową, jakby chciała pozbyć się z niej niechcianego wspomnienia. – Tak czy inaczej, to zapewne coś zupełnie niewinnego, ale i tak nie mogłam milczeć. Ani jeden dzień dłużej. Jesteś moją najlepszą przyjaciółką. Gdybyśmy zamieniły się rolami, chciałabym wiedzieć.

To wariactwo. Biedna Nissa żyje, spodziewając się czegoś takiego. To właśnie się dzieje, gdy dziewczyna wychodzi za dupka.

Zasługuje na kogoś lepszego.

– Od dawna cię to męczy?

Bardziej czuję na policzku, niż słyszę głębokie westchnienie przyjaciółki.

– Od jakiegoś miesiąca.

– Co sprawia, że tak pomyślałaś?

– Widziałam go z kobietą. Przy dwóch różnych okazjach. Za każdym razem był z nią w barze na Siódmej.

– Może to ktoś z pracy?

– Możliwe, ale pomyślałam, że to dziwne, że siedzą w barze.

– Może musieli pracować do późna i wyszli coś zjeść? Nate często pracuje po godzinach.

Czuję, że przyjaciółka ma ochotę się spierać. Marszczy brwi, kilkakrotnie otwiera i zamyka usta. Po dłuższej chwili walki z samą sobą posyła mi w końcu niezbyt szczery uśmiech i mówi cicho:

– Może, ale chciałam ci powiedzieć. Tak w razie czego.

W mojej piersi mieszają się litość i współczucie. Wiem, że w jej głowie sprawa mogłaby tyczyć się jej męża. Naturalnie, że Nissa wątpi w uczciwość innych mężczyzn, wrzucając wszystkich do jednego worka. Ja jednakże w to nie wierzę. Przynajmniej jeśli chodzi o Nate'a.

Ściskam dłoń przyjaciółki, posyłając jej szeroki i szczery uśmiech.

– Cieszę się, że to zrobiłaś. Właśnie po to są przyjaciele. Rozmawiają o trudnych sprawach.

– Tak! Dokładnie! – wykrzykuje, patrząc mi prosto w oczy. Ignoruję ten przytyk. Nie mówię Nissie, że nierozmawianie o najtrudniejszych rzeczach jest czasem najlepszym wyjściem.

Kiedy nie chwytam się na haczyk, Nissa draży temat:

– Co więc zamierzasz? W sprawie Nate'a.

Wzruszam ramionami, nie przejmując się tym wcale.

– Może go o to zapytam.

– Może?

– Tak, może.

– Nie chcesz mieć pewności?

Patrzę na nią ze smutkiem – ponieważ moja najukochańsza przyjaciółka nie ma tej gwarancji – i mówię:

– Szczerze mówiąc, nie.

Nissa przygląda mi się zamyślona. Przez chwilę po prostu na mnie patrzy, nim kiwa głową.

– Cieszę się, Leno. Cieszę się, że taki właśnie jest wasz związek. Że masz to przekonanie. Żałuję, że w moim małżeństwie tak nie jest, ale...

Nie musi kończyć tego zdania, bo doskonale wie, jak jest. I ja również wiem.

Milczę głównie dlatego, że nie potrafię jej pocieszyć. Mark i Nissa



są okropnym małżeństwem. To żadna tajemnica. Ze względu na dzieci oboje ignorują tę sytuację. I nadal tak żyją. Receptą Nissy jest kupowanie drogich ubrań i lśniących rzeczy. Markowi wszystko jedno.

Ponownie ściskam jej dłoń, wspierając ją bez słów. Dla przyjaciółki jestem solidna niczym podłoga pod naszymi stopami.

– Mam nadzieję, że pewnego dnia będziesz mogła powiedzieć to samo o swoim mężu. – *Nawet jeśli nie będzie to ten sam mąż, choć tego nie mówię już głośno.*

Nissa uśmiecha się jedynie, z wyraźnym sceptycyzmem.

– Cóż, przynajmniej teraz wiem, że będziesz mogła cieszyć się podróżą. Wymarzoną wycieczką. Nie mogę uwierzyć, że pozwoliłaś Nate'owi ją zaplanować.

Uśmiecham się. Nate droczy się ze mną, nazywając neurotyczną plannerką. Maniaczką kontroli. I przeważnie ma rację. Wcześniej nigdy bym nie pomyślała o spontanicznej podróży do Europy. Przenigdy. Jestem tego stuprocentowo pewna. Lecz okoliczności się zmieniły, są teraz zupełnie inne, a marzenia całkowicie się przekształciły.

Dziś składają się na nie desperackie próby zdobycia jak największej liczby wspomnień i maksymalnego doświadczenia życia w tych kilku krótkich tygodniach.

Ostatnio nie ma czasu na planowanie.

*Czas.*

Wzdycham lekko.

Czas również nie jest już taki sam.

– Nie pozwolę, by cokolwiek nam to zepsuło, nawet moja obsesyjna potrzeba planowania wszystkiego z rocznym wyprzedzeniem i co do ostatniej minuty. Nadeszła pora, by biegać za świetlikami i... po prostu się tym cieszyć – oświadczam stanowczo, trzymając się niewielkiego spokoju, który we mnie mieszka. Minęło wiele czasu, odkąd o tym myślałam.

– Świetlikami? W Europie w ogóle mają świetliki? – pyta, powątpiewając Nissa.

Prycham.

– Niedosłownie, głuptasie. To tylko coś, co zwykł mawiać mój tata... Mówił o tym, gdy byłam mała, gdy odmawialiśmy razem wieczorną modlitwę.

– Modliłaś się? – pyta przyjaciółka z niedowierzaniem. – Wydawało mi się, że nie wierzysz w takie rzeczy.

– Bo nie wierzę. Już nie. Ale on wierzył. Nie żeby przyniosło mu to cokolwiek dobrego.

– Nie potrzebujesz przecież modlitw w podróży do Europy. I tak będzie idealnie, i właśnie dlatego przyniosłam ci to na długie toskańskie noce – mówi wesoło, odrzucając na bok czerwoną sukienkę i sięgając po komplet czarnej bielizny. Trzyma go przede mną, figlarnie poruszając brwiami. – Potrafię wybierać?

Dotykam materiału.

– Zdecydowanie potrafisz. Nate będzie zachwycony.

– A pewnie, że będzie – zgadza się Nissa, obdarowując mnie słodkim uśmiechem. Najwyraźniej odsunęła od siebie podejrzenia.

Chciałabym, żeby wszystko dało się tak łatwo zignorować.

## ROZDZIAŁ 4

### *SEAT NEXT TO YOU*

LENA

Jest późno, wszyscy w samolocie ułożyli się, by odpocząć, jak tylko można najlepiej na wysokości jedenastu tysięcy kilometrów. Nate wybrał nocny lot, byśmy mogli spać w rozkładanych fotelach w pierwszej klasie. Chciał zapobiec *jet lagowi*, kiedy przed południem dotrzemy do Londynu. Doceniam jego starania, ale jestem do nich sceptycznie nastawiona. Pomyślałam, że lepiej by było po prostu odpocząć po wylądowaniu. Zanim wsiedliśmy na pokład samolotu, biegaliśmy na najwyższych obrotach. Usiłując się teraz uspokoić, pozwalam myślom odpłynąć tam, gdzie chcą. Moja bezsenność i tak regularnie daje mi w kość, więc jeśli występują jakieś zakłócenia w rytmie mojego życia, muszę to odchorować.

Zastanawiam się nad wszystkimi incydentami – podróżą, jej okolicznościami i punktem, w jakim się znalazłam – jeśli huragan piątego stopnia w ogóle można nazwać incydentem.

Ciągle miałam nadzieję, że mój sen się poprawi, ale nigdy się to nie stało. W tej chwili zgaduję, że już się nie zmieni. Przynajmniej póki nie zostaną wprowadzone lekarstwa. Kiedy tak się stanie, nie będę już niczego świadoma. Choć przynajmniej się wyśpię.

Odcinając się od tych myśli, spoglądam przez okno. Odsuwam roletę, by widzieć puchate chmury pod nami. Oświetla je wyłącznie poświata księżyca, dająca im srebrzystą łunę, jakby były białymi bałwanami na oceanie. Rozciągają się aż po horyzont – morze połyskujących fal, tańczących leniwie pod samolotem. Niemal czuję na sobie piękno ich blasku, jakby muśnięcie warg na moim policzku.

Kiedy patrzę na te cuda, pragnąc zanurzyć się we śnie,

przypominam sobie chwile, gdy zasypiałam jako dziecko – przy zupełnie innym blasku, który był jednak tak samo delikatny i kojący. Słój pełnym świetlików. Mam ostatnio dobry powód, by często myśleć o ojcu. Tam gdzie jest tata, są również świetliki, a gdzie są świetliki, jest też tata.

– Dobranoc, księżycu. Gwiazdki, dobranoc – mamroczę, dotykając palcami niewielkiego okienka. – Dobranoc, świetliki, przylećcie znów rano.

– Co ci chodzi po tej pięknej główce? – Do mojego ucha trafia kojący głos Nate’a. Dźwięk jest cichy, mąż nie chce przeszkadzać innym pasażerom pierwszej klasy.

– Myślałam o tacie. To coś, co mówił każdego wieczoru, gdy kładł mnie spać. Rytuał po wspólnym bieganiu za świetlikami.

– Świetlikami? Łapałaś świetliki? – Mina męża jest dziwaczna.

Przewracam oczami.

– Jesteś do krwi Jankesem! Nazywałeś je pewnie robaczkami świętojańskimi.

– Wiem, co to są świetliki, kochanie – prycha. – Też tak na nie mówiliśmy, ale dlaczego je łapałaś? Co z nimi robiłaś?

Przesuwam się nieznacznie, by spojrzeć na przystojną twarz Nate’a. Jestem nieco zawstydzona.

– Chyba nigdy ci o tym nie opowiadałam, co? – Kręci głową. – Przez wiele lat było to dla mnie niemal bolesne wspomnienie. Podejrzewam, że kiedy odsuwa się od siebie coś takiego na wystarczająco długo, to tak jakby... zaciera się.

– Ale teraz pamiętasz?

– Jakby to było wczoraj – odpowiadam cicho, a ból kłuje odrobinę w miejscu za mostkiem.

– Opowiedz mi.

– Robiliśmy to z tatą, gdy byłam mała. Wybijaliśmy dziurki w zakrętce słoja, by owady się nie podusiły, i wpuszczaliśmy do środka kilka schwytanych świetlików. Zgaduję, że zaczęło się od niewinnej zabawy, a skończyło na głębszym znaczeniu. – Uśmiecham się, wracając myślami do szczęśliwych wspomnień

z dzieciństwa. – Pamiętam, że często biegałam po podwórku w noc taką jak ta, łapiąc świetliki, które znajdowały się w moim zasięgu, i wskazując palcem na inne. Te chwycił tata. Czasami poświęcaliśmy temu zadaniu nawet godzinę.

Zamykam na chwilę oczy, wspominając najwspanialszy wieczór z ojcem, kiedy robiłam to, co kochałam w dzieciństwie najbardziej. „Tatusiu, złap tamtego! Tamtego!” – krzyczałam, wskazując na upartego świetlika, który leciał leniwie z dala od moich palców. Niebo było rozświetlone tysiącami owadów, ich połyskujące odwłoki migały w równym rytmie, jakby do muzyki, którą jedynie one mogły słyszeć. Łapanie ich z tatą było ulubioną częścią letnich wieczorów. Przez godzinę krążyliśmy po ogrodzie, chwytając robaczki świętojańskie i umieszczając je w szklanym słoju.

Otwieram oczy i uśmiecham się do męża.

– Mocno biło mi serce. Wstrzymywałam oddech, gdy chciałam złapać tego upatrzonego. Tak wiele znajdowało się poza moim zasięgiem, jakby wiedziały, że tuż poza moimi palcami istnieje granica, ponad którą mogły ze mnie drwić.

Nate również się uśmiecha, opiera skroń na niewielkiej poduszce, przyglądając mi się, gdy wspominam.

– Zawsze je chwycił?

– Zawsze. A ja za każdym razem piszczałam. – Doskonale pamiętam ojca wyciągającego rękę i chwytającego te niewielkie żyjątka, wrzucającego je do słoika, aż nie było już miejsca na kolejne. W tej chwili wspomnianie tej prostej czynności jest równie ekscytujące jak łapanie świetlików, gdy byłam mała.

– A co dalej z rytuałem?

Zadowolona opowiadam o wszystkim, co działo się, gdy słoje były pełne.

– Tata brał mnie za rękę i mówił: „Chodź, umyjemy brudne stopy, bąbelku. Czas spać, a te małe żyjątka mają zadanie do wykonania”. Nawet teraz pamiętam, jak ściszałam jego dłoń. W jego szorstkiej skórze było coś niesamowicie kojącego. – Wzdycham głęboko, moją duszę wypełnia smutek, który od bardzo

dawna we mnie nie gościł. – Zabierał mnie do łazienki, w której umywalka i toaleta miały tę okropną barwę awokado, sadzał na skraju wanny i ustawiał odpowiednią temperaturę wody. Kiedy już była w porządku, obejmował mnie w pasie i przyciągał do siebie. Burczał jak jadący zbyt szybko samochód. Chichotałam za każdym razem, gdy to robił. Co wieczór.

Gardło zaczyna mi się ścisnąć. Po ojcu zostały mi jedynie wspomnienia i chociaż nie odkurzałam ich przez bardzo długi czas, są cenne i wyraźne, jakby wszystko zdarzyło się zaledwie wczoraj. Wszystko, co wiąże się z tatą, takie właśnie jest.

– O co chodziło z tymi czystymi stopami?

Wzruszam ramionami.

– Nie wiem. Nie chciał chyba, bym kładła się spać z brudnymi nogami.

– Interesujące. Przepraszam, mów dalej.

– Tata obejmował mnie i tulił do piersi, opierał zarośnięty policzek na moim, mydląc ręce. Zawsze mieliśmy różowe mydło, które pachniało kwiatkami i środkiem czystości, ale nawet mimo tej woni czułam zapach taty. Mojego rodzica. Pachniał dymem i lasem. Miłością – wyznaję z uśmiechem. – Przynajmniej tak wtedy uważałam.

– Więc tak właśnie pachnie miłość – zauważa Nate, uśmiechając się lekko.

– Tak. Miłość pachnie jak tata. Powinieneś to zapisać.

Śmiejemy się, z łatwością osiągając dobry nastrój, który dzielimy niemalże od naszego pierwszego spotkania ponad dziewiętnaście lat temu.

– Zapamiętam. A teraz mów dalej.

Spoglądam w górę, na sufit samolotu, wbijając wzrok w lampkę, choć tak naprawdę jej nie widzę. Wszystkimi zmysłami odpływam do czasów dzieciństwa, pogrążając się we wspomnieniach.

– Kiedy jego dłonie były różowe i pokrywała je piana, brał moją nogę i pocierał stopę, aż piana zmieniała kolor na zielony. Czyścił pomiędzy palcami, a wiesz, jak wielkie mam łaskotki. – Kątem oka

dostrzegam, że Nate entuzjastycznie kiwa głową. – Myjąc mi stopy, opowiadał historyjki, skąd wzięły się świetliki, jak leciały, by się u mnie zjawić. Mówił: „Założę się, że te przyleciały tutaj aż z Kalifornii. Siedziały na ziemi, chwytając brzuskami promienie słoneczne, a potem wzbily się w niebo i przyleciały do naszego ogródka, byś mogła je złapać”. Boże, ależ był uroczy! Chłonełam każde jego słowo, a on o tym wiedział. Zdawał sobie sprawę, że bardzo mi się to podobało. To była tylko nasza sprawa. Ponieważ Janet nieustannie chorowała, nie mógł robić z nią takich rzeczy. A przynajmniej nie pamiętam, by to z nią robił. Łapanie świetlików od zawsze było tylko moje i taty.

Moje dzieciństwo przepełnione było cierpieniem i bólem. Kiedy byłam zbyt mała, by to pamiętać, u starszej siostry zdiagnozowano dziecięcą białaczkę limfocytową. Janet chorowała, odkąd pamiętam. Nasze życie obracało się wokół niej: rokowań, leków, wizyt u lekarzy. Celem było jej zdrowie, jej uleczenie. Nie wyzdrowiała.

Zmarła, gdy miałam zaledwie sześć lat.

Jej śmierć była pierwszym z ciosów dla naszej rodziny.

– Twój tata nie lubił więc brudnych nóg i opowiadał historyjki o lokalnej populacji owadów. Mam już jego obraz.

Lekko klepię Nate’a w ramię.

– Przestań. Był cudowny.

– Nawet nie próbuję tego kwestionować. Wystarczy spojrzeć na jego córkę. Nie mógłby być niecudowny. – Nate patrzy na mnie z ciepłem i miłością, zupełnie jak wtedy, gdy zakochałam się w nim niemal dwadzieścia lat temu. Wiedziałam, w której chwili on zakochał się we mnie. Miał to wypisane na twarzy, wszyscy mogli to dostrzec.

Zupełnie tak jak teraz.

Gdybym tylko mogła zatrzymać to spojrzenie... Żyłabym nim, oddychałabym, wchłaniałabym je porami skóry do każdej komórki ciała. Pochłonełabym go tak wiele, że stałoby się integralną częścią mojej istoty. Zasysałabym je, aż czułabym je wraz z każdym

oddechem, aż nie widziałabym, nie słyszałabym i nie czułabym niczego innego. Właśnie tak kocham to jego spojrzenie.

– Szkoda, że go nie poznałeś. Pokochałby cię.

– Ja też, kochanie. Ja też.

Nate bierze mnie za rękę i splata ze mną palce. To prosty gest, choć czasami bardzo głęboki. Jest dla mnie znaczący. Mówi o naszej niesamowitej więzi, o współczuciu po stracie taty, o uznaniu dla człowieka, którego nigdy nie poznał. Przypomina mi o jego głębokiej miłości i o tym, że mąż często odczuwa mój ból, jakby był jego własnym. Wiem, jak cała sprawa na niego wpłynie.

Wiem, jak bardzo go to zrani.

– I co robiliście, gdy miałaś już czyste stopy? – pyta, zachęcając do powrotu do szczęśliwych wspomnień, zamiast zatracania się w smutnych myślach.

– Wycierał mi je, a następnie niósł mnie ze słojem pełnym świetlików do pokoju. Stawiał naczynie na mojej szafce nocnej i klękał przy moim łóżku, by zmówić modlitwę.

– Ty też ją odmawiałaś?

Ponownie przewracam oczami.

– To było dawno temu. I właśnie w ten sposób odkryłam, że tam na górze nikt nas nie słucha. Tata modlił się za mnie co wieczór, a kiedy wychodził z mojej sypialni, ja modliłam się za niego. Wiedziałam, że był chory. Nie musiał mi mówić. Wiedziałam i błagałam Boga, by wyzdrowiał, bym i jego nie straciła. Ale On nigdy nie słuchał. Nie obchodziły Go modlitwy, nawet takiej małej dziewczynki.

Pomimo upływu czasu wciąż noszę w sobie gorycz. Nie mam pojęcia, do jakiego Boga modlił się mój tata, ale mam nadzieję, że jest też jakiś inny, który nie zsyła na dzieci białaczki, który nie odbiera dziecku obojga rodziców. A jeśli jednak jest jakiś inny, nigdy Go nie widziałam.

Porzucając ponure myśli, wzdycham i kontynuuję:

– Tata kładł mnie pod kołdrę ze wzorem w laleczki, dotykał wieczka słoja ze świetlikami i mówił: „Obserwuj je, bąbelku. Patrz



na nie i licz do stu, a znikną, gdy się obudzisz”. Pewnego razu zapytałam, co się z nimi dzieje. Odpowiedział, że idą do nieba, do cudownego miejsca, jakiego moje oczy jeszcze nie widziały. Zapytałam wtedy, czy mogę iść z nimi, odpowiedział, że jeszcze nie jest to mój czas. Powiedział: „Po prostu za nimi biegnij, bąbelku. Przyniosą ci ciepło i słodkie sny”. I zawsze tak było. Zawsze miałam dzięki nim dobre sny – pryham, po czym dodaję: – Szkoda, że teraz ich nie mam.

– Kiedy wrócimy, przyniosę ci słoń pełen świetlików – przyrzeka cicho Nate. – Z tą różnicą, że nie zabiję ich, gdy już zaśniesz.

– Och, tata ich nie zabijał – wyjaśniam. – Kiedy byłam starsza, przyłapałam go, jak wszedł na paluszkach do mojego pokoju i zabrał słoik. Wszedł na podwórko, więc widziałam go przez okno. Odkręcił nakrętkę i wszystkie wypuścił. Zapewne nieustannie łapałam te same biedactwa.

– Założę się, że każdego wieczoru drżały ze strachu na wasz widok.

Nie potrafię powstrzymać chichotu.

– Pewnie tak. Chwytałyśmy je każdej letniej nocy. Bez ani jednej przerwy, aż... – Smutnieję. *Dobranoc, księżycu. Gwiazdki, dobranoc. Dobranoc, świetliki, przylećcie znów rano.*

– Aż pewnego dnia zapadł w śpiączkę. Do tamtej pory, choć to tak strasznie brzmi, zmuszał się, by wyjść do ogródka i łapać ze mną świetliki. Każdego wieczoru, aż nadszedł czas, by sam powiedział „dobranoc”. Aż sam poszedł za świetlikami.

Spoglądam na swoją dłoń, którą nadal trzymam Nate’a. Przez sekundę potrafię wyobrazić sobie, że to ręka taty. Wszystko bym dała, by znów go poczuć, choć jeden raz. Serce boli mnie od dekad żałoby.

– Boże, tak bardzo za nim tęsknię.

Mąż bez słów całuje moje palce. Cisza się przedłuża. Rozciąga się wokół nas, aż znajdujemy się we wnętrzu kokonu spokoju.

Powoli zamykam oczy i ponownie odnajduję tatę. Odnajduję go w jednym miejscu, w którym nadal żyje – w moim umyśle, w moim

sercu.

W moich snach.

Gdzie szczęście nigdy nie umiera.

\*\*\*

Budzę się, gdy znajoma, ciepła dłoń dotyka mojego ramienia. Unoszę powieki i widzę przystojną twarz Nate'a, z mocną zuchwą, uśmiechem na ustach i połyskującymi zielonymi oczami. Natychmiast skupiam na nim wzrok. Widzę mojego męża, choć przez chwilę go nie czuję. Wciąż tkwię we śnie, zaangażowana w bitwę blednących zdarzeń – przyjemność łapania świetlików z tatą wymieszaną z bólem po jego stracie.

– Obudź się, kochanie. Wiem, że nie chciałybyś tego przegapić.

Budzę się więc i otrząsam z resztek snu, a kiedy jestem już w pełni przytomna, dopada mnie żal i ostre łzy kłują w oczy.

Sny o tacie zawsze pozostawiają mnie z uczuciem bezradności po przebudzeniu, kiedy zostaję wrzucona do rzeczywistości, w której jego już nie ma.

Twarz Nate'a staje się rozmyta, gdy mąż przysuwa się i całuje mnie lekko w usta. Opływa mnie spokój, sprowadzając mnie do tu i teraz, do podróży, w której jestem wraz z moim cudownym mężczyzną. Znajdujemy się w samolocie, wygodnie rozłożeni w pierwszej klasie przemierzamy ocean ku nieznanym lądom. W końcu docierają do mnie słowa Nate'a. *Wiem, że nie chciałybyś tego przegapić.*

Natychmiast otwieram szeroko oczy.

– Wylądowaliśmy?

– Jeszcze nie, ale wkrótce będziemy na ziemi – odpowiada z uśmiechem.

Ponownie mnie całuje, tym razem nie przestając się szczerzyć. Jest w tym psota, do których zawsze jest skory, nawet jeśli dusi nas stres. Uwielbiam to w nim – figlarność, dowcip i poczucie humoru. Uwielbiam również jego pocałunki, zwłaszcza takie jak te, które przemawiają ekscytacją, miłością i na zawsze dzieloną intymnością.

Wiem, że byłabym w siódmym niebie, gdyby do końca mojego życia każdego dnia budził mnie takimi pocałunkami, jednak nie może być nam to dane. Widziałam już wystarczająco wiele tragedii, by o tym wiedzieć. Los czasami komplikuje nasze plany i przez większość czasu nie można tego wytłumaczyć.

Nate się cofa, więc siadam i podnoszę roletę w oknie. Na zewnątrz widzę coś, czego się nie spodziewałam – słońce oświetlające rozległy Londyn.

Jak tylko oknem sięgnąć, rozpościera się pajęczyna ulic. Z tej wysokości wyglądają jak żyły na liściu klonu. Kiedy się zbliżamy, obserwuję rosnące budynki, a moja ekscytacja powiększa się w momencie, gdy jestem w stanie rozpoznać niektóre punkty orientacyjne, które miałam nadzieję obejrzeć z okien samolotu.

Tamiza wije się pośród brzegów usianych urbanistycznym chaosem jak leniwy wąż, chłonąc niewielką ilość słońca, które niknie w mroku miasta. Jej wdzięczną nić zakłócają jedynie mosty niczym kreski w alfabecie Morse'a. Brzegi rzeki usiane są słynnymi zabytkami, takimi jak diabelski młyn, Pałac Westminsterki i Big Ben.

Czuję lekki dotyk na policzku, więc obracam się do męża, który choć trzyma komórkę, by nakręcić nasze przybycie, patrzy na mnie, a jego oczy promienieją miłością, o której wiem, że jest tak wielka, jak moja. Wiem, że Nate mnie kocha. Wyczuwam to z taką łatwością, jak inni wiatr we włosach czy wodę na skórze. Dzięki temu właśnie wiem, że Nissa się myli. Właśnie dzięki temu nie wątpię w szczerłość mojego męża.

To właśnie szczęście.

– O co chodzi? – pytam, uśmiechając się lekko.

– O to – odpowiada, wolną ręką muskając mój policzek. – Chciałem to zobaczyć.

– Uśmiech? Nieustannie go widzisz.

– Ale nie taki. Ten przypomina mi o tym, jak wyglądałaś, gdy pierwszy raz poleciliśmy do Vegas. Pamiętasz?

Przytakuję na to wspomnienie, które pomimo przeciwności losu

było słodkie.

– Jak mogłabym zapomnieć? Byliśmy zaledwie kilka miesięcy po ślubie i wciąż nie zmieniłam nazwiska w dokumentach, przez co nie mogłam wsiąść na pokład samolotu jako Helena Grant, na którą wystawiony był bilet. Tak, tkwiliśmy na lotnisku przez dziewięć godzin, więc raczej nie zdołam tego zapomnieć – wyznaję. Przez chwilę czuję się oszołomiona, ale zaczynają wracać do mnie szczegóły tamtej podróży. – Widok Vegas z samolotu nocą... Był spektakularny!

– Nie tak jak ty, gdy go zobaczyłaś. Twoja mina i te światła... – Szmaragdowe spojrzenie Nate'a prześlizguje się po mojej twarzy, jakby zapamiętując jej kształty i linie, każde światło i cień. – Piękna.

Wspominając tamtą noc – podziw, jaki czułam, kiedy zobaczyłam to olśniewające miasto, podniecenie, gdy odwiedzaliśmy z Nate'em kasyna, czułość, gdy szliśmy, trzymając się za ręce po ulicy Strip, i całowaliśmy się przed wielką przeszkloną ścianą naszego apartamentu – żałuję, że nie zrobiłam kilku rzeczy inaczej. Zamiast trzymać się ścisłego harmonogramu, który przygotowałam, mogłam być bardziej spontaniczna i więcej się śmiać. Po prostu bardziej cieszyć się czasem spędzonym z mężem. Nie czepiałabym się tak bardzo szczegółów i nie kłócilibyśmy się podczas ostatniej nocy spędzonej w Vegas.

Mam ochotę przeprosić, wyjaśnić Nate'owi, że wszystko zrobiłabym inaczej, wiem jednak, że gdybym poruszyła ten temat, powiedziałby coś, by to zbyć. Udawałby, że to nic takiego, nawet jeśli byłoby wręcz przeciwnie, bo właśnie taki jest Nate. Wybacza i jest tolerancyjny, miły i rozważny. To typ mężczyzny, przy którym kobieta staje się lepsza tylko dzięki samej znajomości z nim.

Właśnie taki jest mój mąż.

Poza tym i tak beznadziejnie, że zaczęłam tę podróż od opowieści o moim zmarłym ojcu. Właśnie dlatego milczę, pozwalając sobie obrócić głowę w kierunku wspaniałego widoku.

Widoku na teraźniejszość.

Widoku Londynu.

I, szczerze mówiąc, czuję ulgę, mogąc poświęcić się czemuś nowemu.

Chodzi o rozproszenie uwagi.

Zapisuję w pamięci wszystko, co widzę. Chłonę to, katalogując wraz z krajobrazami, które poznałam na wycieczkach z mężem. Zdaję sobie sprawę, że zanim nadejdzie koniec, nieustannie będę wracać do nich w myślach, odtwarzając najlepsze chwile naszego życia, aż staną się stronami mojej ulubionej książki Jane Austen – z pożółkłymi kartkami z pozaginаныmi rogami.

W głębi serca wiem, że bez względu na to, co się stanie, moje najszcześniejsze momenty będą uwzględniały Nate'a, ponieważ żadna podróż, żaden majestatyczny widok nie jest tak imponujący, jak mężczyzna u mego boku.

Jesteśmy razem od bardzo długiego czasu, w tej chwili jednak zdaje się to jak okamgnienie. Kochamy się od dziewiętnastu lat, od szesnastu jesteśmy małżeństwem. W tym czasie kilkakrotnie zastanawialiśmy się, czy nie popełniliśmy błędu, ale przecież każda para przeżywa kryzysy. Chodzi głównie o to, że nasze małżeństwo przetrwało. Dorobiło się kilku łątek, ale dzięki nim jest teraz o wiele silniejsze.

Mogę spojrzeć wstecz i powiedzieć z absolutną pewnością, że nie chciałabym podróżować drogą dorosłości z nikim innym. Bez wahania, gdybym mogła żyć kolejne dwieście lat, wybrałabym Nate'a na partnera, pragnąc każdą sekundę spędzić właśnie z nim. Został ze mną, gdy nie musiał. Wybaczył, gdy nie powinien. Troszczył się o mnie, trzymał za rękę, wspierał, a teraz trwa nieprzerwanie – w zdrowiu i w chorobie.

Ponieważ taki właśnie jest Nate.

I taka właśnie jest miłość.

– Dokąd odpłynęłaś? – pyta z lewej.

Nie mogę mu powiedzieć, o czym myślałam. Nie chcę psuć cennego czasu. Nie chcę przypominać o trudnych dniach, jakie będą

nas czekać.

W przyszłości.

Kiedy wrócimy z Europy.

Oboje o tym wiemy. Nie musimy sobie o tym przypominać.

Podjęliśmy wiele decyzji.

Wspólnie.

Nie ma sensu ciągle o tym wspominać. To tylko wszystko komplikuje.

Właśnie dlatego pospiesznie wpycham narty do szafy i znów się uśmiecham. Dopiero wtedy na niego patrzę.

– Donikąd. Rozkoszuję się widokiem. I towarzystwem.

Nate uśmiecha się słabo, unosi się tylko jeden kącik jego ust. Mąż mnie zna.

Aż za dobrze.

– Nie chciałbym być nigdzie indziej – przypomina mi.

Wie.

Kiwam głową i znów spoglądam przez okno, mocno próbując wymazać z twarzy smutek, który piecze mnie w oczy. Mam wielką nadzieję, że kamera komórki tego nie rejestruje.

## **ROZDZIAŁ 5**

### ***IT'S MY LIFE***

LENA

Pokój jest zaskakująco jasny, więc budzę się zdezorientowana. Po latach pracy w zawodzie pielęgniarki nie przywykłam do tak późnego wstawania. Przez chwilę nie pamiętam, gdzie się znajduję.

Po raz pierwszy nie martwię się o dziś, jutro czy następny rok. Nie mam świadomości sytuacji. Jestem po prostu... oszołomiona.

Unoszę głowę z poduszki i spoglądam na okno znajdujące się po drugiej stronie pokoju. Jest wysokie i szerokie, przyozdobione długimi białymi zasłonami. Widok za szybą nie wydaje się znajomy. Widzę jedynie ścianę i krawędź kolejnego okna. Wygląda jak miasto, ale przecież nie mieszkamy w mieście. Nasz dom znajduje się na przedmieściach.

Dopiero wtedy przypominam sobie, gdzie jestem.

To nie jest moja sypialnia, nawet nie moje miasto. Jestem w Londynie. Budzę się na nieznanym łądzie, w środku dnia, po nieprzespanej dobie. To pierwszy pełny dzień naszej trzymiesięcznej przygody.

Aż zacznie się koszmar.

To okropne, że takie myśli nieustannie krążą po mojej głowie, choć wydaje mi się to również normalne. Każdy w tej sytuacji zachowywałby się podobnie.

Byłby udręczony.

Jednak nie zamierzam się poddawać. Kładę głowę z powrotem na poduszce i kieruję myśli ku wspomnieniom wczorajszego wieczoru. Apartament, który wynajął Nate, jest przecudowny. Każde udogodnienie, o jakim mogę zamarzyć, znajduje się na wyciągnięcie ręki.

Kiedy przyjechaliśmy, natychmiast udostępniono nam pokój, który wywarł na mnie ogromne wrażenie. W całości został wykończony bielą i głęboką czernią. Jedynym kolorowym akcentem były płatki róż ułożone w kształcie serca na wykrochmalonej kołdrze. Na ten widok zaparło mi dech. Obraz ten był odpowiedni dla pary, która dopiero rozpoczyna wspólne życie. Chociaż rozumiem, dlaczego Nate poprosił o takie przygotowanie pokoju. Gdy wiele lat temu przynosił mnie przez próg w podróży poślubnej, łóżko było przystrojone dokładnie tak samo. Przypomni mi teraz o swojej miłości, o tym, że pozostała niezmienna i nie odejdzie wraz z którymś z nas. Bardzo to doceniam. Właśnie dlatego, gdy to zobaczyłam, uśmiechnęłam się z wdzięcznością, zamiast wylewać gorzkie łzy.

Wracając myślami do chwili obecnej, zauważam, że jestem w łóżku sama. Nie widzę ani nie słyszę nigdzie męża, przez co jestem pozostawiona sam na sam z własnym ciałem.

Odsuwam kołdrę i ostrożnie wodzę palcami po nagiej skórze. Po części oczekuję, że będę w stanie poczuć, co dzieje się pod jej powierzchnią, nawet jeśli wiem, że tak się nie stanie.

– Nie zaczynaj beze mnie – mówi głęboki głos z wnętrza pomieszczenia. Wzdrygam się i obracam głowę, by zobaczyć męża stojącego w przejściu do części salonowej. Kręci w palcach czerwoną różą, na twarzy ma bardzo męski uśmiech.

Natychmiast się rumienię.

– Nie... chciałam... – zaczynam wyjaśniać.

Nate powoli podchodzi do łóżka. Unosi kwiat, zaciąga się jego zapachem, po czym klęka przy łóżku na jedno kolano i wyciąga się, aż jego twarz znajduje się tuż przed moją.

– Nie? Co więc robisz? – pyta sugestywnie, łaskocząc mnie w nos płatkami róży.

Choć mi się to nie podoba, zostałam przyłapana. W tej chwili kłamstwo pogorszyłoby tylko sprawę.

– Chyba... spodziewałam się obudzić któregoś dnia i to poczuć.

Nate patrzy mi przez chwilę w oczy, nim zwiesza głowę i opiera



ją na moim ramieniu. Podbródek mi drży, gdy przeczesuję palcami jego włosy, mówiąc:

– Przepraszam.

*Boże, nienawidzę go krzywdzić!*

– Za co przepraszasz? – pyta cicho zbolalym głosem, który, mimo iż nie widzę, wiem, że pasuje do jego miny. Próbuje to ukryć, ale zdaje sobie sprawę, że nie jest to możliwe przed osobą, z którą spędziło się niemal dwie dekady.

– Żałuję, że to zobaczyłeś.

Nate unosi głowę i patrzy na mnie szklącymi się zielonymi oczami.

– Codziennie to robisz?

Przytakuje z wahaniem, decydując się wyznać prawdę.

Wzdycha z żalem i smutkiem.

– Chciałbym móc to naprawić. Żałuję, że nie dotyczy to mnie.

Serce ściska mi się na myśl o takim zrządzeniu losu. Choć pragnęłabym, by żadne z nas nie było chore, wolę znieść własną niemoc niż męża.

– Nie mów tak. Nie zniosłabym tego. Nie potrafiłabym patrzeć, jak choroba odbiera mi kolejną bliską osobę. Tak jest lepiej.

– Więc nie odcinaj mnie od tego. Pozwól, bym niósł ten ciężar wraz z tobą. Daj mi to. Proszę.

Opuszkami palców głaszczę jego zarośnięty policzek, zapamiętując mocne linie twarzy ukochanego.

– Będzie łatwiej, jeśli to pogrzebię, wyrzucę z głowy, byśmy jeszcze przez chwilę wiedli w miarę normalne życie. Przyjdzie czas, gdy normalność stanie się przeszłością. Pamiętaj, że już to widziałam. Wiem, jak to działa.

Naprawdę. Doświadczyłam czegoś podobnego przy tacie. Miałam niemal czternaście lat, wiedziałam, jak bardzo był chory. Obserwowałam, jak nieoczekiwanie schudł i stracił orientację. Przez kilka krótkich miesięcy widziałam, jak pogarszał się jego stan.

Robił, co mógł, by trzymać to z dala ode mnie. Codziennie szedł

do pracy, upewniając się, że na naszym stole znajdzie się jedzenie. Walczył bardzo mocno, odmawiając poddania się – aż do samego końca. Wstawał z łóżka, by łapać ze mną świetliki, błagając, bym z nim wyszła, gdy narzekałam, że jestem już na to „za stara”.

On nigdy się nie poddał. Nawet na chwilę.

Po śmierci mojej siostry mama odsunęła się ode mnie, ale nie tata, który nigdy nie zaniedbywał wspólnie spędzanego czasu. Prosił, byśmy łapali robaczki świętojańskie aż do dnia, w którym zapadł w śpiączkę. To, że poświęcił mi tyle czasu, gdy tak potwornie się czuł, wiele dla mnie znaczy. Jego zachowanie stanowiło cichy wyraz miłości i poświęcenia, rezonując w moim życiu niczym harmonijny dźwięk słodkiego, pięknego dzwonu. Tata nigdy nie musiał mi powtarzać, jak ważna dla niego byłam, jak dla mnie walczył. Wiedziałam to już wtedy. Jego poświęcenie jasno wyrażało się w każdym oddechu, w każdym geście.

Jednak to nie wystarczyło.

Dość wcześnie nauczyłam się, że los jest okrutny.

A modlitwy to strata czasu.

– Leno, ja... – Nate odchrząkuje. – Na pewno nie chcesz rozważyć leczenia? Rozmawiałem...

Przerywam mu, kładąc dwa palce na ustach.

– Na pewno. Mówiłam ci, co powiedziała doktor Taffer. Wyrażała się bardzo zachowawczo, ale przekaz był jasny. Nie ma nadziei. Próby leczenia byłyby istnym piekłem. Dla nas obojga. A nie chcę tego dla ciebie, Nate. Wiem, co to oznacza dla bliskich, a ty na to nie zasługujesz. Cieszymy się po prostu czasem, który nam jeszcze pozostał, skoro czuję się dobrze. Możesz to dla mnie zrobić?

– Zrobiłbym dla ciebie wszystko, wiesz o tym – odpowiada cicho, ale z przekonaniem. Jest solidny i trwały niczym skała. Zrobiłby dla mnie wszystko. Wiem o tym.

– Wiem. To jeden z powodów, dla których tak bardzo cię kocham.

Następuje chwila ciszy. Mam świadomość, że próbuje walczyć, odsunąć od siebie gorycz rzeczywistości.

Choćby na chwilę.

Ale to trudne.

– To masz ich więcej, co? – Uśmiech pojawia się, gdy Nate odzyskuje wesołość. Właśnie taki jest. Zawsze był. W jego głosie słyszę jednak również złość. Ton zdradza jego prawdziwe uczucia. Pod tą wesołą otoczką kryje się wyczerpanie. Mąż wciąż walczy, by zaakceptować moją decyzję, a ta walka go męczy.

Chciałabym mu pomóc, ale nie potrafię. Mogę jedynie złagodzić jego cierpienie, przynajmniej na razie.

Nawet jeśli oznacza to udawanie.

– Tak. Mam całą listę – odpowiadam, drocząc się.

Uśmiecham się sugestywnie, chcąc jak najdalej odsunąć rozmowę od poprzedniego tematu. Jest on jak czarna plama na tej wycieczce, a nie chcę marnować ani minuty pozostałego mi życia na bycie nieszczęśliwą czy zmartwioną. Nie chcę tego również dla Nate'a. Muszę walczyć, ponieważ chcę dać mężowi jak najlepsze wspomnienia. Chwile, słowa i zdarzenia, które pewnego dnia zastąpią straszliwy koniec, jaki mnie czeka, koniec, którego przeznaczone jest być mu świadkiem.

– Listę? Czy zaczyna się od mojego znaczącego uśmiechu lub też porywającej osobowości? – pyta, wodząc palcem po wrażliwej skórze mojego podbródka.

– Nie, choć obie te rzeczy się na niej znajdują.

– Nie? Co jest więc pierwsze? Co tak mocno przykuło uwagę najpiękniejszej kobiety na świecie? Zastanówmy się. Moje błyszczące zielone oczy? – Jego usta zaczynają się rozciągać w prawdziwie szerokim uśmiechu. Wyczuwam w nim zachętę, a moje serce wyraźnie się rozpromienia. Również się uśmiecham, ale kręcę głową. – Usta, które mają urok jak u samego diabła?

– Nie – zaprzeczam, przysuwając się do niego odrobinę.

– Nie widziałas mnie wtedy jeszcze nago, więc nie może to być...

– Nie! – Spieszę z odpowiedzią.

– Co więc takiego?

Unoszę dłoń i prześlizguję opuszkami palców po konturach jego twarzy – kościach policzkowych, zuchwie, podbródka. Wiodę

dłońmi dalej po jego szyi, piersi i brzuchu, po czym obejmuję go w pasie i kładę ręce na jego jędrnym pośladku.

– Szczerze? Chodziło o tyłek – wyznaję i lekko go ściskam. – Przez wiele lat nie widziałam tak ładnego tyłeczka.

Nate obdarowuje mnie figlarnym uśmiechem.

– Sam muszę przyznać, że mam niezły zadek.

– O to chodzi. Nawet po wszystkich tych latach.

– Chcesz się do niego dobrać? – Porusza biodrami, a mięśnie jego pośladka spinają się pod moimi palcami. – Z chęcią spełnię każdą twoją fantazję.

Budzi się we mnie pragnienie. Jak zawsze Nate potrafi sprawić, że zapominam o bożym świecie. Chemia między nami nie blednie od pierwszego spotkania, ząb czasu ledwie ją nadgryzł. Nie zawsze poświęcaliśmy czas, by cieszyć się sobą, jednak iskra pomiędzy nami nigdy nie zgasła. Niczym światło w latarni morskiej zawsze połyskuje, ale nie gaśnie. Teraz, jak nigdy wcześniej, doceniam zdolność męża do wymazania wszystkiego, poza słońcem.

Nigdy bym nie przypuszczała, że o tak wielu rzeczach pragnę zapomnieć, że tak wiele obaw i niepewności może zamieszkiwać mój świat, który znajduje się poza bezpieczną klatką jego ramion.

\*\*\*

– To najlepsza herbata, jaką w życiu piliśmy, czy tylko mi się wydaje?

– Wydaje ci się – odpowiada Nate, uśmiechając się do mnie ponad filiżanką. – Ponieważ w twoim towarzystwie każda herbata smakuje tak dobrze.

– W takim razie moje towarzystwo musi działać cuda dla tego, który nie znosi herbaty. – Uśmiecham się, odstawiam filiżankę, by wziąć ciepłą babeczkę. Biorę kęs grzesznej rozkoszy, krusząc przy tym niemilosiernie. Okruchy lądują na mojej dłoni, stole, nawet na kolanach. Przeżuwając, biorę serwetkę i otrzepuję spodnie. Zawstydzona zerkam na Nate'a.

– Ups!

– Boże, straszna z ciebie bałaganiara – droczy się figlarnie,

obserwując, jak próbuję strzepnąć wszystkie okruchy.

– Właśnie to we mnie kochasz – mówię z wciąż pełnymi ustami. – Mam klasę. – Milknę, biorę łyk herbaty, by przepić słodki smak.

– Tak. Lena Grant, która kruszy i mówi z pełnymi ustami. Maniery wprost z brytyjskiego dworu. – Uśmiecha się szelmowsko.

Chichoczę, wciąż strzepując okruchy z ud. Wydaje się, że im mocniej pracuję serwetką, tym głębiej wpadają okruchy.

– Skąd wiesz, czy Szekspir nie lubił prostych kobiet?

– W tobie nie ma nic prostego. I lepiej, żeby ten Szekspir trzymał ręce przy sobie.

– Ooo, nadal zazdrosny, nawet po całym tym czasie.

– Nawet o nieboszczyka – dodaje.

– Nawet o nieboszczyka. Jakie to romantyczne.

Nate przewraca oczami i z jakiegoś powodu przychodzi mi na myśl Nissa i jej podejrzenia.

Odchrząkuję.

– Tego ranka wspominałeś, że z kimś rozmawiałeś. Co chciałeś mi powiedzieć, zanim ci tak bezczelnie przerwałam?

– Bałaganiara z klasą, do tego cholernie niegrzeczna. Lista jest coraz dłuższa. Nic dziwnego, że się w tobie zakochałem.

Uśmiecham się do męża ponad filiżanką herbaty.

– Niezła ze mnie partia, co? – Nim zdoła znów zmienić temat, naciskam: – No to z kim i o czym rozmawiałeś?

Nate milczy przez chwilę, a przez to, że bawi się rąbkiem białej lnianej serwetki, zaczynam się denerwować. Mój mąż nie okazuje nerwowości w ten sposób. Nigdy.

– Nate?

Szybie oddechy da się słyszeć nawet przy zgiełku panującym na ulicy. W tej chwili dopadają mnie wątpliwości, krew szybciej krąży w żyłach, serce w sekundę z bicia w rytm samby przechodzi do salsy.

– Z Lheanne – odpowiada cicho, z wahaniem. – Spotkaliśmy się parokrotnie w barze, niedaleko mojej firmy.

– Z Lheanne? Kim jest Lheanne?

– Taffer. Lheanne Taffer.  
– Moją onkolog? Tą Lheanne Taffer?  
– Oczywiście, że tą. Znasz jakąś inną?  
Marszczę brwi.  
– Dlaczego spotkaliście się w barze?  
Mąż nadal nie patrzy mi w oczy, wciąż bawiąc się serwetką.  
– Chciałem porozmawiać z nią nieoficjalnie.  
– Nieoficjalnie? – Serce bije mi jeszcze szybciej. – Po co?  
W końcu Nate unosi głowę. Jego szmaragdowe oczy pełne są lęku i wyrzutów sumienia.  
– Chciałem porozmawiać z nią o twoim leczeniu.  
– Ale ja nie chcę żadnego leczenia.  
– Wiem. Podjęłaś decyzję, ale chciałem dowiedzieć się czegoś więcej na temat dostępnych możliwości.  
– Nie ma żadnych możliwości, Nate. Wiesz o tym.  
– Może chciałem... – syczy przez zęby z wahaniem. Mięśnie na jego policzku pracują, gdy zaciska usta, przez co wiem, że próbuje pohamować swój temperament. – Może chciałem wiedzieć, jakie miałybyś szanse, gdybyś jednak podjęła leczenie. Nie było mnie przy tobie, gdy przedstawiono ci szczegóły.  
– O to właśnie chodzi? O to, że dostałam wyniki badań, gdy wyjechałeś w delegację?  
– Nie, nie o to.  
– Chciałam ci tego oszczędzić, Nate. Wiedziałam, kiedy tylko dostałam skan. Wiedziałam, jak jest źle. Nie widziałam powodu, byś tam siedział i słuchał wyjaśnień. Nie chciałam, żebyś przez to przechodził.  
– Ale może tego właśnie potrzebowałem. Może nie zastanawiałbym się, czy poprosić cię o podjęcie leczenia, gdyby...  
Moje serce gubi rytm, gdy pytam:  
– Tego ode mnie chcesz?  
Dopada mnie strach, nerwy mam napięte jak postronki.  
Nate zamyka oczy i kręci głową.  
– Nie. Nie mógłbym być tak samolubny. Pomyślałem tylko...

Chciałem wiedzieć, czy istnieje jakaś nadzieja. Czy można cokolwiek zrobić. Chciałem się dowiedzieć, czy czegoś ci nie powiedziała, czy nie chciałaś z nią o czymś rozmawiać. Albo ze mną. – Siada prosto i ociera twarz dłonią. – Najwyraźniej miałem nadzieję, liczyłem, że coś przegapiłaś, że mogę uzyskać inne odpowiedzi. Po prostu... miałem nadzieję.

Milczę, siedząc naprzeciw męża, bawiąc się palcami na kolanach. Wiem, że cierpi, zrobiłabym wszystko, by mu tego oszczędzić, jednak prawdą jest, że nie ma szans, bym ochroniła go przed tym, co się ze mną dzieje. Jedyne, co mogę zrobić, co staram się zrobić, to wycisnąć, ile się da z każdego dnia, minuty i sekundy, które mi jeszcze zostały.

Mam nadzieję, że to wystarczy.

Sięgam przez stół i biorę męża za rękę. Po raz pierwszy odkąd pamiętam, jego skóra jest zimna. Lodowata. Od lat żartowałam, że Nate jest moim osobistym piecykiem. Tuliłam się do niego na kanapie lub w łóżku, w podróży czy w basenie, by było mi przyjemnie. Jego ciało zawsze wydawało się trzydzieści stopni cieplejsze od mojego. Mąż zawsze był gorący. Każdy skrawek jego osoby.

Aż do dzisiaj.

Niepokoją mnie jego chłodne palce.

– Tak jest najlepiej dla nas. Przyrzekam. Czasami liczy się jakość, a nie ilość.

Nate kiwa głową, jego uśmiech jest ewidentnie wymuszony.

– Wiem. Teraz to wiem.

– Ta podróż będzie oznaczała zapewne ostatnie cudowne wspólne chwile. Kiedy ból stanie się nie do zniesienia, będzie morfina, tlen i hospicjum. Mamy jednak to. Mamy dzisiaj. Mamy tu i teraz. Sprawy, by było to znaczące. Stwórzmy tyle miłości, by wystarczyło jej do końca mojego życia – sugeruję ze słabym uśmiechem.

Przez następne słowa Nate'a staje mi serce.

– Nie, stwórzmy taką, by wystarczyła do końca mojego życia.

Nie odpowiadam.

Nie mogę.

Kciukiem głaszczę grzbiet silnej dłoni męża. Zdaję sobie sprawę, że w którymś momencie będę musiała wyznać, że może znaleźć sobie kogoś, że ma moje błogosławieństwo, ale wiem również, że nie jest na to gotowy.

Szczerze mówiąc, ja też nie.

Chcę, by był szczęśliwy. Oczywiście, że tego pragnę. Ponad wszystko. Jest moim Nate'em. Moją bratnią duszą. Jego szczęście jest moim, ale myśl, że mógłby się śmiać z kimś innym, że mógłby się kochać z inną kobietą, obraz jego dłoni spoczywających na innym ciele zamiast na moim...

Nie potrafię się z tym pogodzić.

Jeszcze nie.

Jest mój.

A ja jestem jego.

Przynajmniej jeszcze przez chwilę.

W milczeniu kończymy pić herbatę i jeść babeczki. Wystarczająco wiele zostało powiedziane. Może nawet zbyt wiele. Można wyznać zbyt wiele prawdy i najwyraźniej właśnie to się stało. Przynajmniej na razie.

Nie potrafimy uchronić się nawzajem przed bólem.

Nie potrafimy zmienić przyszłości.

Nie potrafimy sprawić, by to drugie o wszystkim zapomniało.

Możemy jedynie żyć dalej, z dnia na dzień, stawiać niewielkie kroki w kierunku przyszłości.

Bez względu na to, jak będzie ona gorzka.

Ciesząc się swoim towarzystwem, nie odzywamy się za wiele, zmierzając w kierunku domu, w którym urodził się Szekspir, a także miejsca, gdzie odpoczywał na starość. Odzywamy się jeszcze mniej, gdy odwiedzamy Centrum Antyków przy Henley Street. Nie chcemy jednak kupować rzeczy na przyszłość, która wydaje się pusta.

Ale się dotykamy.



Za każdym razem, gdy Nate ma okazję, zakłada mi włosy za ucho, muska szyję ustami, kładzie dłoń na moich plecach. Chłonę jego czułość. Absorbuję ją, jest niczym pożywienie dla duszy.

Idziemy tak blisko siebie, że ocierają się nasze ramiona, a gdy się zatrzymujemy, stoimy tak niedaleko, że gdybym się przewróciła, nie dałby mi upaść. Nate złapałby mnie bez żadnego wysiłku.

Jest filarem ognia u mego boku – ciepła, które nieustannie mnie do niego przyciąga, jedyną osobą na świecie, której przenigdy nie chciałabym zostawić.

Kiedy przemierzamy ulice, trzymając się za ręce, rozglądam się i pozwalam działać wyobraźni. W porównaniu z atrakcjami turystycznymi znajdującymi się w Ameryce bycie tutaj jest jak podróż w czasie. Wiele budynków wydaje się odrestaurowanych, wciąż posiadając tudorowskie oblicza, jakby nie dotyczył ich upływ dni. Chłodny wiatr niesie ze sobą woń historii, pachnie tu starymi księgami, jakby duch Szekspira otwierał stronicę na zasnutym chmurami nieboskłonie.

A przynajmniej tak to odbieram. Chciałabym się jednak znaleźć w innych czasach, gdzie nie uciekałabym z mężem przed rzeczywistością, a raczej bieglibyśmy ku niej.

Pozwalam zatem fantazji przenieść się do innego miejsca.

Rozglądając się, z łatwością wyobrażam sobie kobiety w innych strojach. Widzę je w elżbietzańskich sukniach o żywych barwach, ozdobionych bufami i biżuterią. I mężczyzn pozapinanych od góry do dołu w tych niedorzecznych ubraniach, w których nie mogli się zbyt ruszać. Odbywam tę podróż w czasie wszystkimi zmysłami. Odpływam do innej epoki. Nawet jeśli tylko na chwilę, nawet jeśli tylko w myślach.

Dla mnie oznacza ona czas przed diagnozą.

\*\*\*

Później tego samego wieczoru jemy z Nate'em kolację w restauracji na dachu Teatru Szekspira, patrząc na rzekę Avon. Nasza rozmowa jest cicha, rozprawiamy o trywialnych rzeczach, a nasze spojrzenia są przeciągłe i znaczące. Udaje mi się

uśmiechać, nawet jeśli przetykam pożywienie na siłę, ponieważ żołądek mi się buntuje. W duchu odmawiam modlitwę, w którą sama nie wierzę. Ale i tak się modłę.

Z rozpaczy.

Z czystej desperacji.

Pragnę, by mdłości były objawem nerwów, a nie pogłębiającej się choroby. Ponieważ jeśli jest inaczej, jeśli mój stan się pogarsza... Nie wytrzymam trzech miesięcy z dala od domu.

Nasza wyprawa zostanie zniszczona.

Zatem się modłę.

Do tej pory choroba się nie ujawniała, więc miałam wielką nadzieję, że ten stan potrwa jeszcze przez chwilę.

Wszechświat z pewnością mógłby dać nam te trzy krótkie miesiące.

Nate i ja moglibyśmy je mieć dla siebie.

## ROZDZIAŁ 6

### *LAY YOUR HANDS ON ME*

LENA

Wydawać by się mogło, że po tragicznej diagnozie życie seksualne powinno się pogorszyć, okazuje się jednak, że w moim przypadku nie jest to do końca prawda. Ostatnio kochaliśmy się z Nate'em częściej i z większą pasją niż wcześniej, nawet w młodości.

Może to przez wiedzę, że mamy ograniczony czas. Wielka ironia. Życie zatoczyło krąg, gdy ma zostać odebrane...

A może to przez brak troski o grubsze uda i pełniejszy brzuch. A może po prostu oboje staliśmy się bardziej otwarci na naszą miłość, uczucia i pragnienia. Nie ma powodu, by się teraz powstrzymywać. Może właśnie o to chodzi.

A może to desperacja. Ponieważ oboje jesteśmy zdesperowani. Czuję to.

Choć nie wiem co, ale coś się między nami zmieniło.

Po obejrzeniu wcześniej w Teatrze Szekspira przedstawienia *Wendy i Piotruś Pan*, Nate zabrał mnie samochodem z powrotem do Londynu, prowadząc, jakby gonił nas sam diabeł. Spieszyło mu się, i choć mnie również, nie rozumiałam tego. A może i tak. Trzy miesiące w niektórych przypadkach to wieczność, jednak jeśli chodzi o ostatnie chwile, wydają się niczym okamgnienie.

I wszystko się skończy.

Nate prowadzi mnie do hotelu, mocno ściskając za rękę, następnie obejmuje w windzie i całuje z pasją, która zawstydziłaby mnie w każdym innym momencie życia. Przecież nie jesteśmy sami w tej ciasnej kabinie. Mam to jednak gdzieś. Mam ochotę być całowana, a on pragnie mnie całować.

Na naszym piętze odrywamy się od siebie na wystarczająco

długo, by trafić do naszego apartamentu. Nate otwiera drzwi, następnie zatrzaskuje je za nami. Od tej chwili stajemy się piękną mieszaniną spragnionych jęków, złączonych warg i błędzących dłoni. W końcu udaje nam się trafić do sypialni. Wydaje się, że nasze wargi, ręce, serca nie mogą się nasycić, rozgrzać, zgłębić...

Najwyraźniej nie mamy siebie dosyć.

Nate rozpina mi bluzkę, rozwiązuje jej troczki wokół pasa, po czym mnie rozbiera. Gorączkowo całuje po szyi, dekolcie i pozbywa się ramiączek mojego biustonosza, jakby za sprawą czarów, ponieważ jest uzdolnionym magikiem.

– Nate – szepczę, rozkoszując się imieniem męża w ustach, jego dźwiękiem wokół nas. Jakbym wypuściła je z westchnieniem, następnie mogła wciągnąć z powrotem, zamknąć go w swoim wnętrzu. Zatrzymać go w swoim ciele już na zawsze.

Drżącymi z rozkoszy palcami zdejmuję mu koszulkę. Rozpinam guzik spodni, nie mogąc doczekać się wsunięcia dłoni do środka, by objąć jego wzwód.

Obejmuję palcami członek, głaszczę go, czym wywołuję głębokie westchnienie. Dźwięk ten przechodzi przez Nate'a i wchodzi w moje ciało, zbierając się bezpośrednio między moimi udami.

Oddychając ciężko, mąż pochyla głowę i zamyka usta na jednym z moich sutków, pracując nad nim językiem, aż wywołuje we mnie cichy jęk. Palce wolnej ręki wsuwam mu we włosy i zaciskam w pięść, bo wiem, że to uwielbia.

– Cholera! – syczy, odsuwając się ode mnie, by przetrzeć twarz ręką, próbując nad sobą zapanować.

Patrzy na mnie z pożądaniem w zielonych oczach, wygląda przy tym jak napalony nastolatek. Jak napalony student z bractwa.

– Chcę na ciebie patrzeć, zanim doprowadzisz mnie do takiego szaleństwa, że nie będę mógł normalnie myśleć – wyjaśnia, próbując złapać dech.

– Przecież na mnie patrzysz – odpowiadam z lubieżnym uśmiechem, gdy wyciągam do niego rękę.

Trzyma mnie jednak na dystans, ściskając za dłoń, którą zaraz

unoszą do ust i całują.

– Nie. Chciałbym naprawdę na ciebie patrzeć. Zapamiętać cię.

Powoli, jakby nie czcił jedynie mojej skóry, ale także cały nasz związek, całuje mnie w kącik. Serce mi kołata. Bije szalenie z pożądania, ale również z miłości tak głębokiej, że nie jestem jej w stanie opisać. Mogę ją jedynie czuć. Rozkoszować się nią. Wielbić.

Cenić.

Nate puszcza moje dłonie i bawi się moim sutkiem, patrząc mi w oczy, pożera mnie wzrokiem. Powoli unosi ręce za moimi plecami, by rozpiąć biustonosz, którego miseczki ujawniają moje piersi.

Mąż czule pieści moją skórę, jego dotyk jest niczym letni deszczyk, nim rozpina mi spodnie. Kuca przede mną, zsuwając mi je z bioder, następnie upuszcza, by spłynęły aż do kostek. Majtki podążają w ślad za nimi, a Nate wodzi ciepłymi palcami po moich udach i całych nogach.

Kiedy stoję przed nim odziana wyłącznie w światło dochodzące z uchylonych drzwi sypialni, odsuwa się, by podziwiać to, co tak ostrożnie odsłonił.

– Jesteś najbardziej niesamowitą kobietą, jaką w życiu widziałem. Oszalałamiącą na zewnątrz i w środku. – Zbliża się. – Wiesz, że wciąż o tobie fantazuję? – Dotyka opuszkami moje pełne piersi. – O tym, że robię ci różne rzeczy? O tym, że słyszę, jak wypowiadasz moje imię, że czuję twoje ciało owinięte wokół mojego? Mówiłem ci o tym kiedykolwiek?

Zasycha mi w ustach, jestem oczarowana.

Serce mi rośnie, ciało pulsuje, gdy kręcę głową.

– Nie.

Przez lata wstydziałam się swojej sylwetki. Pomimo zapewnień męża, że uwielbia moje ciało, nigdy nie czułam się w nim dobrze. Wiem, że Nate mnie kocha, ale nieustannie się obawiałam, że pewnego dnia zobaczy moje wady bardziej wyraźnie niż rzeczy, które we mnie kocha, zda sobie sprawę, że na świecie są ładniejsze,

młodsze i szczuplejsze kobiety. Jednak tak się nie stało. Nie znoszę się za to, że przez cały ten czas go nie doceniałam, nie podoba mi się, że zmarnowałam tyle lat na przesadne obawy.

– Ale tak jest. Nigdy nie spotkałem kogoś, kto potrafiłby mnie tak uwieść. Nawet po wszystkich tych latach. Nie sądzę, bym myślał, że to w ogóle możliwe, aby wciąż pragnąć kogoś przez tak długi czas. A mimo to... Oto jestem. Urzeczony.

Kiedy Nate całuje mnie w usta, smakuję słoność łez, których nie potrafię powstrzymać. Mąż się odsuwa i patrzy na mnie.

– Co się stało, kochanie?

Opuszką kciuka ociera pojedynczą kroplę, spływającą mi po policzku.

– Zawsze sprawiałaś, że czułam się piękna, nawet jeśli byłam przekonana, że nie jestem, ale teraz... – Przelykam ślinę, gdy czuję, że gardło mi się ściska. – Od miesięcy, gdy patrzę w lustro, widzę mieszkającego we mnie potwora. Jednak ty go nie dostrzegasz. Ty wciąż widzisz tylko mnie. Patrzysz na mnie jak zawsze. Jakbym była idealna. Jakbym wciąż była idealna.

Obejmując moją twarz, Nate opiera czoło o moje.

– Wciąż jesteś idealna. Nikt nigdy nie był tak perfekcyjny w moich oczach. Nigdy. Pragnę, byś na zawsze taka pozostała. Na zawsze.

Całuje mnie, a pocałunek jest czuły i pełen namiętności, uwielbienia i pożądania. Nate nie traci jednak kontroli. Nigdy mnie nie skrzywdził, nawet mocniejszym chwytem swoich silnych dłoni.

Jednak mnie podnieca.

Boże, jak on mnie podnieca!

Przekazuje dotykiem, jak ważna jestem dla jego serca. Szepcze miłosne słowa wprost do mojego ucha, jęczy przy mojej skórze, sprawia przyjemność między udami.

A kiedy nadchodzi spełnienie, Nate znajduje się głęboko we mnie, gdzie przytrzymuję go każdą uncją siły, jaką potrafię z siebie wykrzesać. Przyciągam go do siebie – jego ciało, nasienie, miłość – i zapamiętuję to uczucie, zapisuję w podświadomości, wiedząc, że

każdy oddech i uderzenie serca, jakie dzielimy, są jednymi z najlepszych w moim życiu.

A także być może jednymi z ostatnich.

## ROZDZIAŁ 7

### *SOMEDAY JUST MIGHT BE TONIGHT*

LENA

Sześć tygodni.

Już tyle czasu minęło, odkąd opuściliśmy Stany. Dla mnie było to jak mgnienie oka. Londyn, Paryż, Niemcy, Szwajcaria – zwiedziłam je wszystkie z ulubionym towarzyszem u boku, każde miejsce było tak niesamowite, jak podejrzewałam. Choć mogło to wynikać z mojego nastawienia, determinacji, by cieszyć się każdą milisekundą, jaka jest mi dana z Nate'em, podejrzewam jednak, że cała Europa jest po prostu cudownym miejscem, pełnym piękna i uroku.

Jedyną niezbyt idealną chwilą jest pierwszy poranek w Rzymie, gdy budzą mnie mdłości. Od diagnozy nie czułam się aż tak źle. Moje serce napęcza się strachem i rozczarowaniem.

Znów się modlę. Błagam, by było to przejściowe. Może zjadłam coś nieświeżego. Wiem przecież, że jeśli jest to związane z moim pogarszającym się stanem, będzie oznaczać koniec naszych wakacji. Wiem, że nie dam wtedy rady przetrwać kolejnych sześciu tygodni, przez co niedobrze mi również na duszy.

– Na pewno nie chcesz, bym zamówił krakersy lub sok? Wydaje mi się, że jeśli coś siadło ci na żołądku...

Nie otwieram oczu, próbując uspokoić się na tyle, by nie pobiec znowu do łazienki i wymiotować jedynie żółcią. Wyciągam rękę, aż odnajduję dłonie Nate'a i splatam z nim palce, ponieważ wiem, jak bezsilny musi się czuć, dlatego chcę go pocieszyć.

– Nie, dziękuję. To nic nie da. To... to część choroby. – Robię, co w mojej mocy, by mój głos był stabilny i nie drżał. Wciskam twarz mocniej w poduszkę z nadzieją, że mąż nie dostrzeże mojego



trzęsącego się podbródka. To właśnie coś, czego nie potrafię opanować – emocje.

– Wiem, kochanie, ale... – Nate klęka koło łóżka, dotykając ustami naszych złączonych palców. – Myślałem, że mamy więcej czasu. Sądziłem, że przez te trzy miesiące twój stan nadal pozostanie niezmienny. Chciałem dać ci kilka tygodni spokoju, wolności i szczęścia. Trzy miesiące perfekcji.

Uchyłam powiekę i widzę zmartwione oblicze męża.

– Wiem o tym. Miałam nadzieję na to samo, jednak postęp choroby jest nieprzewidywalny. Lekarze jedynie oceniają i dają prognozy, ale pewności nikt nie ma. Może to przejdzie. Musimy poczekać i zobaczymy. Daj mi kilka dni. Nie musimy się od razu poddawać.

– Wiem – wzdycha. – Tylko... tylko... jestem wściekły. Dlaczego nie możemy mieć spokoju? Chryste Panie, dlaczego nie możemy cieszyć się tą wycieczką?

Zaskakuje mnie ten nagły wybuch gniewu. Nate nie był tak wściekły, odkąd dowiedział się o diagnozie.

Może mu to potrzebne.

Mimo to odpowiadam ze spokojem, nie potrzebuję podsycać jego nerwów.

– Mam nadzieję. Zrobię wszystko, co w mojej mocy, by nam się udało, kochanie.

Wyraźnie się waha.

– Nie o to mi chodziło. – Znów wzdycha i kręci głową. – Nie chcę, byś włóczyła się po Włoszech, Grecji i Pradze, czując się podle, ponieważ uważasz, że tego właśnie pragnę. Mogę traktować cię po królewsku w domu, gdzie będzie ci o wiele wygodniej. Po prostu... chciałem ci dać to wszystko. Dać ci Europę.

– Wiem. I kocham cię za to.

Na wspomnienie o domu czuję melancholię. Wszystko bym dała, by być we własnym łóżku, otoczona swoimi rzeczami. Wszyscy tak mają, gdy są chorzy, jednak nie mogę powiedzieć o tym mężowi. Ta wycieczka wiele znaczy nie tylko dla mnie, lecz także dla niego.

Może dla niego nawet więcej.

Nie potrzebuję jej, nie naprawdę. Wkrótce mnie nie będzie, znajdę się na jakiejś innej płaszczyźnie, gdzie wspomnienia nie istnieją, ale Nate pozostanie. Będzie czerpał korzyść z ogromnego stosu cudownych wspomnień. Rzeczy, które odstraszą te okropne, a oboje wiemy, że takowe nadejdą. Będzie potrzebował miliona dobrych chwil, by przyćmiły te złe, ponieważ będą najgorsze. Więc to dla Nate'a się uśmiecham.

– Jestem szczęśliwa, póki jestem z tobą. Nie odchodźmy dziś za daleko od hotelu i zobaczmy, jak się później poczuję. Może na kolację będę mogła zjeść jakieś prawdziwe włoskie jedzenie. To jak?

Na myśl o tłustych włoskich potrawach żołądek znów mi się kurczy, jednak panuję nad wyrazem własnej twarzy. Dla Nate'a. Skoczyłabym za nim w ogień. Walka z mdłościami to jak spacer po parku. I może później pójdziemy po jakimś pochodzić. Jednak w tej chwili... czuję się podle.

– Tak. Dobrze – przyznaje cicho. Choć się zgodził, widzę niepewność i troskę w jego zmarszczonym czole i w pustym szmaragdowym spojrzeniu. Nie po raz pierwszy sprawia to, że martwię się, jak trudna będzie dla niego ta sytuacja.

Kochamy się od zawsze, a tak cudowna miłość, jak nasza, sprawia, że jak nikt inny podatni jesteśmy na złamanie serca. Utrata bliskiej osoby nigdy nie jest łatwa. Wiem o tym z doświadczenia. Jednak utrata bratniej duszy? Nie potrafię nawet o tym myśleć. Choć nigdy nie życzyłam takiego bólu Nate'owi, zastanawiam się, czy los zrzucił to na nas, ponieważ on da radę znieść moją śmierć, ale ja bym jego nie zniosła. Potrafię poradzić sobie z chorobą, lecz nie zdołałabym udźwignąć straty męża. Mojego Nate'a. Gdyby role zostały odwrócone, nie sądzę, bym była tak silna. Nie mam pojęcia, jak poradziłabym sobie podczas całego procesu, a zwłaszcza później.

*Później.*

Zamykam oczy, pilnuję, by usta rozciągały mi się w uśmiechu,

nawet jeśli nie ma we mnie krztyny wesołości. „Później” jest niemal tak samo przerażające jak nadchodzące miesiące. „Później” zawiera pytania o to, co mam teraz zrobić i jak sobie poradzić. Zawiera czas do przemyśleń i wspomnień. Zawiera ból, który potrwa miesiące – jeśli nie lata.

„Później” będzie istnym piekłem.

Tłumię chaotyczne, trudne myśli, gdy Nate kładzie się za moimi plecami na łóżku. Z delikatnością przeznaczoną dla przepiórczego jaja czy płatka kwiatu przyciąga mnie do siebie i obejmuje moje ciało niczym pancerz. Wiem, że chce mnie ochronić przed tym wszystkim – chorobą, strachem, depresją, śmiercią – ale nie może i wiem, jak mu ciężko. Bardzo ciężko!

Nate od zawsze był moim bohaterem, biegł mi na ratunek przy pierwszych oznakach nieszczęścia. Jego serce umie udźwignąć najcięższy z kamieni, choć ostatnio załamuje się, gdy sądzi, że nie patrzę. Moja choroba sprawia, że i mój Nate jest chory. Nie umie walczyć z moim niedomaganiem, nie potrafi mnie naprawić, a wiem, że cierpi przez tę bezradność. Widzę to, gdy blednie jego olśniewający uśmiech, widzę, gdy gaśnie iskra w jego oczach.

Mąż nie umie zabrać ode mnie cierpienia i wygląda na to, że zżera go to od środka. Jest to choroba zupełnie innego rodzaju.

Ale bez względu na moc własnego cierpienia zawsze o mnie dba.

Tak jak teraz.

Ponieważ nadal jest moim bohaterem i zawsze nim będzie.

– Śpij, kochanie. Kiedy się obudzisz, poczujesz się lepiej. – Całuje mnie czule w skroń. Wiem, że wkłada w te słowa wiele przekonania, jednak znam go zbyt dobrze. Zapewne już wyobraża sobie początek końca. I to, co będzie dalej.

Podobnie jak ja.

## NATE

Nigdy nie byłem szczególnie uduchowiony. Myślę, że miałem do

tęgo ambiwalentny stosunek. Z drugiej strony Lena miała w sobie głęboko zakorzenioną gorycz, z którą nigdy się nie uporała. Nosi ją w sobie od śmierci ojca. Właśnie dlatego jestem zaskoczony, gdy budzi się przed południem, siada prosto na łóżku i patrzy na mnie ze śmiechem i błyskiem w pięknych, brązowych oczach.

– Chyba muszę zacząć wierzyć w cuda – deklaruje z uśmiechem.

– A to dlaczego?

– Czuję się lepiej. Całkowicie dobrze. Dziękuję, Boże – mamrocze, nim się obraca, by dać mi buziaka i powiedzieć, że zmyka pod prysznic. – Gdybyś chciał do mnie dołączyć – dodaje, puszczając oko przez ramię i kręcąc tym małym, zgrabnym tyłeczkiem.

Oczywiście nigdy nie odrzuciłbym takiego zaproszenia, a już zwłaszcza nie teraz, kiedy muszę mieć ją blisko, kiedy muszę być z nią bliżej niż kiedykolwiek. Wiem jednak dobrze, by nie biec za nią od razu. Będzie potrzebowała chwili dla siebie. Lena jest nieśmiała, jeśli chodzi o takie sprawy. Zawsze szanowałem jej przestrzeń osobistą.

Mijają chwile, podczas których wsłuchuję się w jej nucenie, zastanawiając się, co też takiego wpłynęło na jej nastrój. Kiedy spała, liczyłem jej każdy głęboki wdech i wydech, starając się wyobrazić sobie życie bez niej. Nigdy, nawet raz, nawet po strasznej diagnozie, nie byłem w stanie myśleć, jak mogłoby wyglądać moje życie po jej stracie. Przez większość czasu nawet nie próbowałem tego robić. Jest miłością mojego życia. Zawsze była i nie mam wątpliwości, że zawsze będzie.

Dopóki śmierć nas nie rozłączy.

Śmierć może być częścią naszego istnienia, ale nigdy nie będzie częścią naszych serc, naszych dusz. Naszej miłości. Taka miłość, jak nasza, nie kłamie. Będzie trwała długo po odejściu Leny. Nigdy się jej nie wyzbędę. I nawet tego nie chcę.

Nieustannie zastanawiam się, czy przeprowadzi ze mną „rozmowę”, w której powie, bym sobie kogoś znalazł, ponownie się ożenił i był szczęśliwy. Boję się tej chwili. Boże, jestem przerażony! Już ułożyłem odpowiedź. Mam zamiar być szczery. Lena na to

zasługuje. Zamierzam powiedzieć jej, że nie interesuje mnie znalezienie sobie kogoś innego, a nawet same poszukiwania. Wydaje mi się, że byłoby to niesprawiedliwe dla każdej innej kobiety, by była nieustannie porównywana do Leny. A właśnie to miałyby miejsce. Trzymałbym się pamięci o żonie, w porównaniu z którą każda inna wypadalaby blado, niczym papierowe cienkie zasłonki, które Lena wiesza w salonie. Patrząc na jakąkolwiek kobietę, widziałbym jedynie żonę.

Z wielu różnych powodów obawiam się „rozmowy” i zrobię wszystko, by odwlec ją w czasie. Choć w taki dzień jak dziś, gdy Lena czuła się rano tak źle, a teraz czuje się całkiem dobrze. Kiedy jest szczęśliwa i wydaje się zdrowa, mam wrażenie, że odzyskuję dawną Lenę. Lenę S. D. – tę Sprzed Diagnozy. Oglądanie jej w takim stanie – z rozpromienionymi oczami i szerokim uśmiechem – sprawia, że jeszcze trudniej myśleć mi o życiu po jej odejściu. Bez niej. Nie poradzę sobie z rozmową o tym, ponieważ w głębi duszy wiem, że nie będzie później życia.

Żadnego.

– Idziesz? – woła żona z łazienki.

Otrząsając się z melancholii, udaję się do niej. Nigdy nie będzie musiała dwa razy powtarzać.

## LENA

Przez resztę życia, choć nie będzie długie, będę wspominać nasz pierwszy prawdziwy wieczór w Rzymie, jako najromantyczniejsze wydarzenie na świecie.

Rozpoczął się od wspólnego prysznica. Nate nalegał, bym oparła się o chłodną ścianę z kafelków, gdy mył mi włosy, skórę i golił nogi. Mycie to nieco wymknęło się spod kontroli. Zwykła czynność stała się erotyczna, śmiech przeszedł w jęki, a łaskotki rozpały ogień, którego nie dało się ugasić.

Nate kochał się ze mną pod strumieniem ciepłej wody, całując

mnie przez długie minuty, jakby zapamiętywał moje usta, jakby wyznaczał mapę swojego własnego nieba. Kiedy osłabłam w jego ramionach i musiałam przytrzymać się jego piersi i ściany, mój piękny mąż podniósł mnie i zaczął wszystko od nowa, myjąc mnie jedną ręką. Do czasu gdy wyszliśmy z łazienki, moja skóra była czysta, pobudzona i wrażliwa.

Nate nie przestawał się uśmiechać. Stwierdził, że podoba mu się, że wciąż tak na mnie działa. Kim jestem, by się spierać? Mnie też się to podoba!

Wiem, że nie potrwa to wiecznie, że nie będę już mogła cieszyć się uprawianiem seksu z mężem. Właśnie dlatego tak się w tym zatracam. Przynajmniej na tyle, na ile mogę.

Od pierwszej chwili, gdy dłonie Nate'a znalazły się na moim ciele, mąż przeniósł mnie do miejsca, gdzie istniejemy tylko my. Nic więcej prócz naszej niezwykłej miłości. Nawet teraz, gdy otacza nas tak wiele smutku, wciąż potrafi zabrać mnie do nieba samym spojrzeniem, pocałunkiem, pieszczotą. I pozwalam mu na to.

Tak często, jak tego pragnie.

Podczas gdy wciąż jest mój, a ja jestem jego.

Kiedy jestem już ubrana w czarną jedwabną sukienkę na ramiączkach i szpilki (szpilki, które skradły nam jeszcze kilka godzin, gdy mąż je zobaczył), Nate prowadzi mnie ulicą. Idziemy niespiesznie przez Condotti, przyglądając się sklepom Cartiera i Gucciego, następnie stajemy przed La Perla, gdzie Nate podziwia cudowną jedwabną koszulę nocną.

– Podoba ci się? – pyta, wskazując na materiał.

– Jestem kobietą, mam oczy, a to La Perla, więc tak. Podoba mi się – mówię wesoło. Za wszelką cenę pilnuję pogodnego nastroju.

– Więc to coś dobrego?

– Dobrego? – pryham. – Widziałeś cenę? To coś drogiego.

– Ty też jesteś mi droga. Kupię ci ją.

– Jeśli chcesz zobaczyć mnie w takiej bieliźnie, wystarczy, że poprosisz. Mam ze sobą wszystkie te niegrzeczne rzeczy, które spakowała mi Nissa. – Uśmiecham się na tę myśl. Gust

przyjaciółki i... zróżnicowanie jej strojów. W jej szafie można znaleźć dosłownie wszystko – od strojów pokojówki do kowbojskich skórzanych ochraniaczy, od pociętych jeansów do Prady.

– Nie chcę oglądać cię w rzeczach Nissy. Chcę widzieć cię w twoich własnych – wyjaśnia, unosząc moją dłoń do ust.

Zanurzam się w jego spojrzeniu, jakbym tonęła w szmaragdowym jeziorze. Jego oczy są ciepłe i pełne miłości.

Kłóciłabym się w innych okolicznościach, ale teraz wiem, że to bezcelowe. To wakacje życia. Nie damy rady ich powtórzyć. Dla Nate'a oznacza to brak oszczędności.

I nie oszczędza ani centa.

Przez sposób, w jaki na mnie patrzy, robi mi się gorąco. Samo to sprawia, że zakup wart jest spojrzenia, jakie posyła mi mąż.

Nate wybiera bieliznę, a następnie chodzimy po sklepie. W drodze do kasy przystajemy przy pięknej haleczce Maharani. Niestety ma równie obsceniczną cenę. Idę dalej, ale Nate się nie rusza.

Bez wahania odnajduje mój rozmiar i zarzuca sobie na rękę, nie patrząc nawet na metkę z ceną. Przez chwilę wpatruję się w niego z rozchylonymi ustami, nim potrząsam głową i idę za nim.

Napominam się w myślach, by od tej pory nie oglądać rzeczy, na których zakup nie jestem przygotowana. Jestem pewna, że mąż da mi wszystko, na co tylko rzucę okiem.

W końcu wychodzimy z pakunkami z La Perli i kontynuujemy spacer. Nie mówimy zbyt wiele, Nate trzyma dłoń na moich plecach, jego ciepło ogrzewa mnie, wędrując w górę po kręgosłupie. Przed nami zauważam słynne Hiszpańskie Schody. Same w sobie są wspaniałe, ale w zachodzącym za nimi słońcu zapierają dech w piersi. W duchu przypominam sobie, że to miejsce i ten wieczór z mężem u boku nie mogłyby być bardziej cudowne i idealne.

Nate, jakby potrafił czytać mi w myślach, bierze mnie za rękę i lekko ją ściska. Kiedy na niego patrzę, puszcza do mnie oko – robi tak od lat, ale w tej chwili to właściwe. Bardzo wskazane.

Udajemy się do restauracji mieszczącej się na szczycie wspaniałych schodów. Pokonujemy je powoli i płynnie, przez co

mam wrażenie, że się nad nimi unosimy. Potykam się jednak, ale Nate mnie podtrzymuje, chwyta mnie końcówkami palców, następnie wzmacnia uchwyt. Nawet podczas wspinaczki po schodach nie zamierza mnie puścić.

Stąd wiem, że nigdy tego nie zrobi.

Przenigdy.

Kiedy wsiadamy do windy, kładę głowę na jego ramieniu, więc mnie tuli.

Drzwi powoli otwierają się w Imago – restauracji, która jest bardzo zmysłowa. Już na wejściu nasze nosy atakują wyśmienite zapachy. Zostajemy zaprowadzeni do stolika z widokiem na Rzym, widokiem tak cudownym, że zachwyciłoby się nawet najbardziej cyniczne oko. Lecz – jakby tego było mało – jedzenie, które dostaję, jest oszałamiające – spektakularne od początku aż do końca.

Cały wieczór jest genialny. Nawet powrót do hotelu zdaje się jak ze snu. Atmosfera, noc, towarzystwo – nie potrafię wymyślić nic bardziej perfekcyjnego.

W końcu znajdujemy się w apartamencie i Nate nalega, bym założyła koszulę nocną z La Perli. Chwilę po wyjściu z łazienki mąż stoi przede mną, ostrożnie zsuwa materiał z mojego ciała i niesie mnie szybko do łóżka. Pojedynczą myśl poświęcam kosztownej tkaninie leżącej na podłodze, aż nie potrafię myśleć o niczym innym z wyjątkiem dłoni, warg, słów i mężczyzny, którego kocham.

Godzinę później gdy leżę w ramionach męża, w głowie wracam do spaceru po Rzymie. Od chwili, w której poczułam się lepiej, aż do teraz cały dzień był bez skazy. Do tej pory to nasz najlepszy moment w Europie, pomimo niestabilnego początku.

Niestety wkrótce odkrywam, że każdy poranek ma taki być – jest mi tak niedobrze, że nie potrafię się ruszyć bez wymiotowania. Każdego dnia leżę w łóżku przez kilka godzin, zwinięta na boku, mając mdłości i zastanawiając się, dlaczego własne ciało tak mnie nienawidzi. Mimo to każdego popołudnia znów czuję się normalnie. Jakby ktoś przełączył guzik. Jakby mnie zaczarował.



Dopiero czwartego dnia zauważam schemat. Niemal w magiczny sposób mój stan się poprawia, jakby moje ciało przekraczało granicę, której nie potrafię dostrzec. Albo jakby przełączało jakiś guzik.

Przełącznik.

Dopiero wtedy moje myśli kierują się w zupełnie inną stronę.

Nie ku śmierci, ale życiu.

Późnym rankiem czwartego dnia moje myśli zataczają kręgi, więc siadam na łóżku i szukam wzrokiem Nate'a. Siedzi w fotelu po drugiej stronie pokoju, nie tak daleko ode mnie, i czyta wiadomości na iPadzie.

Serce bije mi gwałtownie. Czy to możliwe?

Możliwe?

Odchrząkuję.

– Pójdę na dół zobaczyć, czy mają otwarte spa. Nie pogniewasz się, jeśli cię zostawię?

Nate unosi głowę znad tabletu i posyła mi spojrzenie z ukosa. Robię, co mogę, by ukryć swoje podejrzenia, przybierając zwykłą minę.

– Nie. Możesz korzystać, z czego tylko chcesz. Wiesz o tym.

– Super – mówię, odrzucając kołdrę i wstając z łóżka. – Pomyślałam, że później moglibyśmy pojechać do Watykanu, kiedy już zrobię się na bóstwo.

Nate przechyla głowę na bok i posyła mi sceptyczne spojrzenie.

– Nie potrzebujesz armii ludzi, by być piękną. Taka się już obudziłaś.

– Kocham cię za to, że tak uważasz, ale pomyślałam, że powinnam się postarać. To znaczy, mam zamiar spacerować pośród najpiękniejszych dzieł znanych ludzkości.

– Jakby przy tobie miały jakiegokolwiek szanse – prycha.

Uśmiecham się mimowolnie.

– Wow! Ostatnio naprawdę mi schlebiasz. Powinnam o czymś wiedzieć?

– Nie – zaprzecza, wstając z fotela i podchodząc do mnie.

Obejmuje mnie, kładzie dłonie na moich plecach. – Czy jest coś złego w mówieniu mojej żonie codziennie do końca jej życia, że jest najpiękniejszą kobietą na świecie?

– Nie, zwłaszcza gdy jej życie wcale nie potrwa tak długo.

Natychmiast żałuję tych słów. Widzę smutek i żal w oczach Nate'a, które stają się ciemnozielone.

– Proszę, nie mów tak – nalega z bólem.

Od pierwszej chwili, gdy powiedziałam mu, że umieram, Nate był silny i dzielnie mnie wspierał. Czasami jednak w nocy, gdy budziłam się i nie mogłam zasnąć, widziałam, jak wstaje i idzie do łazienki, z której dochodziło ciche łkanie. Wymykało się spod zamkniętych drzwi niczym mgła. Wisiało w powietrzu, przez co ciężko mi było oddychać.

Łamało mi serce. Kłuło w miejscach, których nie byłam świadoma, ponieważ wiedziałam, jak bardzo cierpi Nate. Jak bardzo go skrzywdzę i jak długo to potrwa. Ale gdy patrzy na mnie w tej chwili, jest tym samym twardym Nate'em, jakiego poznałam i za jakiego wyszłam wiele lat temu. Solidnym. Niezniszczalnym.

Szczerze mówiąc, nie potrafię wyobrazić sobie niczego, co mogłoby zachwiać jego determinację bycia dla mnie silnym. O ile będzie potrafił, będzie skrywał swój smutek. Będzie zmagał się z nim samotnie, by mi go oszczędzić. Bez względu na to, jak bardzo pragnęłabym, by było inaczej, jak bardzo chciałabym mu tego oszczędzić, nie podda się. Właśnie taki jest.

Na szczęście w spa mogę skorzystać z masażu i zabiegów na twarz. Ubieram się pospiesznie i idę do windy, następnie wchodzę do poczekalni. Siedzę zaledwie minutę czy dwie, gdy przychodzi recepcjonistka. Uśmiecha się, gdy wstaję.

– Co sprowadza panią do Rzymu, pani Grant? – pyta, nawiązując przyjazną rozmowę, gdy prowadzi mnie do części zabiegowej pomieszczenia. – Interesy czy przyjemności?

– Przyjemności. Jestem tu z mężem.

– Ach, więc dlatego pani skóra tak promienieje jeszcze przed zabiegami – mówi z wyraźnym akcentem.

Zwalniam, gdy słyszę, że dziewczyna nieświadomie używa takiego argumentu. Właśnie w tej chwili podejrzenia uderzają we mnie ze zdwojoną siłą.

Porażają mnie.

*Co jeśli...?*

*Co jeśli, co jeśli, co jeśli...?*

– Dobrze się pani czuje? – pyta młoda kobieta, czekając na mnie, a troska maluje się na jej twarzy.

– Tak – pryham. Serce bije mi tak szybko, że zastanawiam się, czy ta dziewczyna widzi jego ruch pod moją bluzką.

Pierwszą myślą jest, by odwołać wizytę, wrócić do pokoju i powiedzieć o wszystkim Nate'owi. Właściwie, może powinnam przyznać się do podejrzeń, gdy tylko nawiedziły mój umysł. Ale szybko odsuwam od siebie tę chęć. Niewybaczalne byłoby obarczenie go taką informacją bez wcześniejszego potwierdzenia. Nigdy bym mu czegoś takiego nie zrobiła. Nie, póki się nie upewnię. Póki nie będę mieć stuprocentowej pewności, co oznacza zakup testu. Ale jak uda mi się wymknąć z hotelu bez Nate'a, żeby pójść do apteki? Nie znam tego miasta, nie potrafię mówić w tym języku.

Przerzucam w myślach możliwości, aż uświadamiam sobie, że mam tylko jedną. Przynajmniej o jednej mogę myśleć.

Konsjerż.

– Zadzwoń do szpitala, pani Grant?

– Nie! – rzucam ostro. Próbuję się uspokoić i powtarzam bardziej stonowanym głosem: – Nie, dziękuję. Ale... czy mogłabym porozmawiać z konsjerżem? Czy mogłabym na chwilę wyjść?

– Oczywiście, proszę. Zawołam go. Zaraz powinien się zjawić. Pokażę pani pokój. Może pani na niego poczeka, dobrze? Będzie pani wygodnie.

I nikt nie będzie patrzył. Nie będę musiała pilnować emocji.

Entuzjastycznie kiwam głową.

– Tak, byłoby miło. Dziękuję.

– Oczywiście. Proszę się rozgościć.

Zauważam, że recepcjonistka uważnie mi się przygląda, jakby spodziewała się, że w każdej chwili zemdleję. Nie wątpię, że cały kolor odpłynął mi z twarzy. Czuję, jakby krew wzburzyła się w moim ciele, jakby kotłowało się we mnie morze niepokoju, uderzając niespokojnymi falami o moje żebra. Jeśli przełamie ich barierę, wykrwawię się na śmierć.

Kiedy pozostaję sama z chaotycznymi myślami, rodzi się pytanie.

Czy to możliwe, by największe marzenie spełniło się w otocze największego z koszmarów? Czy życie może być aż tak tragiczne i jednocześnie piękne?

Znam odpowiedzi na te pytania.

Z doświadczenia wiem, że marzenia i koszmary potrafią koegzystować, splatając się ze sobą, aż stają się nierozdzielne. Czarno-białe rozmycie, strefa pomiędzy mrokiem a światłem. Piekło i niebo.

Widziałam to podczas choroby ojca, widziałam to u matki, gdy odsunęła się ode mnie po śmierci taty, widziałam u niezliczonej liczby pacjentów, którym musiałam dostarczyć przeróżne informacje. Dobro i zło. Gorycz i słodycz. Dobrze wiem, że życie potrafi być jednocześnie piękne, jak i tragiczne, przynajmniej w niewielkim stopniu.

Jednak to...? Czy może to być...? A może to ostatnia nadzieja zdesperowanego umysłu? Wodospad fantazji na wyschniętym z rozpaczy łądzie?

Mogę to sprawdzić tylko w jeden sposób. Potrzebuję pomocy konsjerża. W mojej głowie krążą pytania, kawałki układanki i niezmiennie prawdy. Pod moją czaszką szaleje burza. Myśli wirują niczym trąba powietrzna. Gdy zmuszam się do spokojnego myślenia, obraz staje się bardziej przejrzysty. A przynajmniej tak mi się wydaje.

Siedzę otępiała na skraju pluszowego fotela w szatni, wpatrując się w obrazy zdobiące ściany. Czekając na konsjerża, odliczam każdą mijającą sekundę. Każda ciągnie się jak godzina, podczas gdy moja cierpliwość coraz mocniej się kurczy. Kiedy w końcu

rozlega się ciche pukanie, szarpnięcie pospiesznie za gałkę w drzwiach, pragnąc je jak najszybciej otworzyć.

W korytarzu stoi niski, szczupły mężczyzna z czarnymi włosami, niebieskimi oczami i oliwkową skórą. Jest szykowny – trzyma głowę wysoko i patrzy wprost na mnie, stojąc prosto z rękami założonymi za plecami. Wydaje mi się, że jest po czterdziestce, wciąż na tyle młody, by zrozumieć mój niepokój.

– Witam. Czy to pan jest konsjerżem? Proszę powiedzieć, że tak. Nazywam się Lena Grant. Przyszedł pan tu do Leny Grant? Muszę rozmawiać z konsjerżem. Proszę, niech mi pan powie, że to pan.

Jestem ledwie świadoma powtarzanych słów. Wydaje mi się, że są one niczym kolorowe klocki wypadające niezgrabnie z moich ust wprost na podłogę. Jestem również jednak świadoma szalejącej we mnie potrzeby. Mężczyzna wydaje się nieporażony moją gwałtownością. Uśmiecha się i krótko kiwa głową.

– Enzo Sabbadin, do pani usług. Jak mogę pomóc, pani Grant?

– Potrzebuję czegoś z apteki. Czy mógłby mi pan z tym pomóc?

– Oczywiście.

Tak delikatnie, jak tylko potrafię, wyjaśniam, czego mi trzeba, uśmiechając się i opisując niespodziankę dla męża.

Rany, czy będzie zaskoczony?

Konsjerż zapewnia mnie o swojej dyskrecji i obiecuje przekazać paczuszkę, zanim wyjdę ze spa. Wręczam mu sto euro i dziękuję, nim wychodzi.

– Mam nadzieję złożyć gratulacje, pani Grant – mówi, skłaniając głowę i odwracając się na pięcie.

Gratulacje.

Jeśli to prawda, jeśli jestem w ciąży, właśnie tak będą mówić wszyscy, którzy nie zdają sobie sprawy z mojego stanu. Gratulacje. Wszyscy, którzy nie wiedzą o mojej chorobie, będą nam gratulować. Będą się uśmiechać i ścisnąć nam ręce. Niektórzy opowiedzą o własnych dzieciach, niektórzy zapytają, czy wybraliśmy imię lub czy znamy już płć. Każda z osób będzie miała coś miłego do powiedzenia.

Ponieważ żadna z nich nie będzie wiedzieć.

Nikt nie będzie zdawał sobie sprawy, że umieram.

Długo po wyjściu Enzo mamroczę „dziękuję”, jakby nadal był w stanie mnie usłyszeć. Oszołomiona zamykam drzwi i wracam do swojej samotności.

Do moich rozmyślań.

Rozbieram się nieświadomie. Kiedy obracam się, by powiesić bluzkę na wieszaku, widzę swoje odbicie w dużym lustrze umieszczonym w mahoniowym stojaku w kącie pomieszczenia. Kończę zdejmowanie ubrania i podchodzę powoli do szklanej tafli.

Przez wiele tygodni patrzyłam na swoje ciało jak na zdrajcę, zawierającego niewidzialnego intruza, zabójcę, który we mnie wzrasta. Czułam niesmak, rozpacz, gniew i żal, ale nigdy przyjemność. Nigdy szczęście.

Aż do teraz.

Kiedy patrzę na swój brzuch i dotykam jego krągłości, która pojawiła się przynajmniej pięć lat temu, czuję ekscytację na myśl, co jeszcze może we mnie rosnąć. Co dobrego może się we mnie rozwijać.

W przyszłości, którą rozważałam zaledwie kilka dni temu, nie było ku temu żadnych szans, ale w tym momencie rodzi się cel, optymizm i energia. Mimowolnie zastanawiam się, czy to właśnie one trzymały mojego tatę przy życiu.

Ja.

Jego dziecko.

## ROZDZIAŁ 8

### *BACKDOOR TO HEAVEN*

LENA

Zarówno podczas masażu, jak i zabiegów na twarz nie potrafię się zrelaksować. Mogę myśleć jedynie o tym, kiedy konsjerż wróci z apteki, a test ujawni wyniki. Zabiegi dają mi czas potrzebny do zastanowienia się nad moim stanem, jeśli dojdzie do niego ciąża. Niepojęta kombinacja, ale muszę to przemyśleć.

Czy to w ogóle możliwe, bym była w ciąży? A jeśli tak, czy to wskazane? Czy moje ciało, choroba, z którą walczy, będą stanowić zagrożenie dla dziecka? Czy mój stan pogorszy się fizycznie, zanim zdołam urodzić? A jeśli tak, czy będzie miało to wpływ na płód?

Wszystkie te pytania bez odpowiedzi sprowadzają mnie do rzeczywistości. Do następnego kroku. Jaki on będzie? Co powinnam zrobić?

Oczywiście, jeśli test da pozytywny wynik, będę musiała iść do położnika. Już wyobrażam sobie całą armię innych specjalistów. Czy w ogóle do tego dojdzie? Czy to małe życie będzie jedynie migającą kropką na radarze istnienia? Czy zostanie zgaszone przez potwora, którego noszę tuż obok?

Gdyby tak się stało, jak bardzo okrutne okazałoby się angażowanie we wszystko Nate'a? Rozbudzenie w nim nadziei, danie mu tego, czego od zawsze pragnął, tylko po to, by mu to natychmiast odebrać?

Zostając ze mną, już skazał się na ból. Mogę z czystym sumieniem ryzykować, że powiększę jego cierpienie? Czy może lepiej, bym odrobinę poczekała? Kiedy szanse wzrosną? Mam czekać do powrotu do Stanów i rozmowy z lekarzami? Czy byłaby to najlepsza decyzja?

Chyba tak. W głębi serca wiem, że tak powinnam postąpić. Chcę oszczędzić Nate'a. Muszę go oszczędzić. Jednak już w tej chwili mam wyrzuty sumienia przez nieinformowanie go o czymś tak istotnym. Sam pomysł ukrywania tego sprawia, że niesłuchanie się denerwuję. Mimo wszystko muszę brać to pod uwagę. Muszę rozważyć nieinformowanie męża. Jest dobrym człowiekiem. Najlepszym. Być może nie uda mi się uchronić go przed cierpieniem wywołanym moją śmiercią, ale z pewnością mogę mu oszczędzić dodatkowego bólu – jeśli tak to ma się skończyć – z powodu kolejnej straty. Kolejnej śmierci.

Wciąż widzę jego twarz – bezsilność, ból i smutek – kiedy przekazałam mu informacje odnośnie mojej diagnozy. Nie chcę, by mój piękny mąż znów tak wyglądał. Nie zniosę więcej takiego spojrzenia. Po prostu nie.

Lęk gwałtownie wzrasta.

Potrzebuję pomocy. Porady.

Muszę z kimś porozmawiać, choć moim „kimś” zazwyczaj jest Nate. Jest moim „kimś” w każdej sytuacji. Jednak nie może być nim teraz, a jedyna bliska mi osoba poza nim – Nissa – nie wie nawet, że jestem chora.

Zostaję więc sama. Chociaż...

Przed oczami staje mi twarz. Oblicze kobiety mniej więcej w moim wieku, która jest podobna do odbicia, jakie zastaję, gdy patrzę w lustro. Całe życie słyszałam, jak bardzo jestem do niej podobna.

Matka.

Jedyna osoba, która przychodzi mi na myśl, ale z kilku powodów nie jest dla mnie dostępna.

Byłam bardzo młoda, gdy zaczęłam nienawidzić porównań do matki. Byłam młoda, gdy nauczyłam się nienawidzić również ją. Cóż, prawie nienawidzić. Jeśli o to chodzi, nie chcę być podobna do Patricii Holmes. Chociaż jest jedyną, do której według mojego przekonania mogę się zwrócić.

Ale nie mam takiej możliwości.



Nie tak naprawdę.

Zabiegi się kończą, jestem coraz bliżej odkrycia prawdy, znalezienia drogi. Wydaje się, że zrobienie tego testu jest jedynym pewnym krokiem, który mogę wykonać. Zakładam, że wynik zwróci mi życie lub rozwieje wszelakie rozważania i wątpliwości, którymi zajęty jest w tej chwili mój umysł. Do tego czasu mogę się jedynie martwić, co do niczego dobrego mnie nie doprowadzi.

Wydaje mi się, że lepiej nie komplikować sprawy. I tak jest już trudna. Właśnie dlatego próbuję się uspokoić, póki nie poznam wyniku.

Wtedy wszystko się okaże.

Tak czy owak.

Ubieram się, kiedy w pewnej chwili słyszę pukanie. Serce podskakuje mi na ten dźwięk. Pospiesznie wkładam bluzkę przez głowę, potykam się o jeden ze swoich butów, gdy spieszę do drzwi. Niezdarnie je otwieram.

Stoi za nimi młoda kobieta o długich, kasztanowych włosach, ostrym spojrzeniu brązowych oczu i z uśmiechem na twarzy.

– Pani Grant? – Jej postawa jest bardzo podobna do tej konsjerża. Dziewczyna ma tak samo sztywne plecy, ten sam surowy wyraz twarzy. Co dziwne, zastanawiam się, czy to kwestia narodowości czy może ten hotel tego wymaga.

– Tak. Enzo panią przysłał?

– Tak. – Uśmiecha się szerzej i zza pleców podaje mi białą papierową torebkę.

Odbieram ją drżącymi palcami. Patrzę na nią, niemal zahipnotyzowana przez mieszaninę strachu i ekscytacji, aż dziewczyna odchrząkuje i wyrywa mnie z transu.

– Czy to wszystko?

– Och tak, dziękuję.

Dziewczyna odwraca się, w tej samej chwili wracają do mnie dobre maniery.

– Przepraszam. – Młoda kobieta zatrzymuje się i odwraca. Myślę, że robi to niczym piękny, wytrenowany żołnierz. Wyciągam

z torebki kilka euro, zwijam dwukrotnie i wciskam w dłoń osoby, która mogła mi przynieść bardzo dobre lub bardzo złe wieści. – Jeszcze raz dziękuję.

Ponownie posyłam jej grzeczny, spokojny uśmiech i skinienie głowy, nim dziewczyna odchodzi korytarzem. Trzask zamykanych drzwi jest jedynym, co słyszę przez kilka następnych minut.

Powoli przemierzam pomieszczenie ku białemu pluszowemu fotelowi, ledwie rejestrując zimne drewno pod bosymi stopami. Całą uwagę koncentruję na trzymanym w palcach przedmiocie, jakbym w papierowej torebce miała Świętego Graala i musiała się tylko z niego napić, by spełniło się moje największe marzenie. To marzenie okupione będzie jednak ceną. Astronomiczną. Zakończy się koszmarem.

Siadam ostrożnie na skraju fotela, nie zwracając uwagi, w jaki sposób poduszka ugina się pode mną lub na to, że pokój pachnie lawendą. Po prostu siadam, by nie upaść.

Zamieram w tej trudnej chwili. Trzymam pakunek, jakbym trzymała dziecko, które być może we mnie rośnie. Czekam.

Czekam i się zastanawiam.

Zastanawiam się i pytam:

– Dlaczego teraz? Staraliśmy się od tak dawna i... nic – rzucam w pustkę pokoju, nie zwracając uwagi na głos odbijający się cicho od ścian i podłogi. – Dlaczego teraz?

Leżeliśmy niegdyś z Nate'em w łóżku, rozwijając nadzieje na posiadanie potomka. Tyle razy się rozczarowaliśmy, że nie potrafię nawet zliczyć, w koszu mojej łazienki wylądowała niezliczona liczba testów ciążowych z negatywnym wynikiem. Ten rok, gdy przekroczyłam magiczną granicę czterdziestu lat, miał być końcem naszych starań. Zgodziliśmy się, że jeśli nie zajdę w ciążę do czterdziestki, zdecydujemy się na adopcję. Choć wiedziałam, że będziemy się starać jeszcze rok. Dałam sobie kilka dodatkowych miesięcy.

Ale było to wcześniej.

P. D.

Przed Diagnozą.

Z zamyślenia wyrywa mnie cichy dźwięk czegoś, co skapuje na torebkę, którą nadal trzymam w drżącej dłoni. Papier przykuwa mój wzrok. Dopiero wtedy zdaję sobie sprawę, że po policzkach płyną mi łzy, strumienie smutku z powodu życia, którego nigdy z mężem nie doświadczymy. Życia, rodziny, szczęścia. Bez względu na to, co powie test, bez względu na to, jak zniesie to moje ciało, nie ma dla nas przyszłości.

Nie dla mnie.

Ale być może jest dla Nate'a. I naszego dziecka. Mogę mu je dać. Mogę dać mu coś, co złagodzi ból, kogoś, z kim będzie mógł dzielić życie. Mogę podarować mu część siebie, by miał ją, gdy będzie mnie wspominał, gdy będzie myślał o wszystkich tych latach, z których nas okradziono.

To już coś, prawda?

Może nawet więcej niż „coś”.

Może to wszystko.

Wstaję i spięta powoli przechodzę do niewielkiej łazienki. Może, mimo wszystko, cuda istnieją. Może ten będzie dla mnie. Dla Nate'a.

Zamykam za sobą drzwi i zasuwam blokadę. Wiem, że nikt nie będzie mi przeszkadzał, ale potrzebuję być sama, by to zrobić. Chwila wydaje się uświęcona, więc muszę ją chronić przed światem, moja rosnąca nadzieja jest krucha jak skrzydła motyla.

Wsuwam palcem pod taśmę, która przytrzymuje papier i rozrywam ją, spodziewając się niemal, że ze środka dobiedzie się blask, gdy odsłonię znajdujący się tam skarb. Choć instrukcję napisano po włosku, zrobiłam wystarczająco wiele takich testów, by jej nie potrzebować. A przynajmniej wydaje mi się, że wiem, co jest na niej.

Klej wydaje śmieszny dźwięk, kiedy rozrywam kartonik. Drżącymi palcami wydaję zapieczętowany patyczek, który zdradzi mi moje przeznaczenie. Wykonuję kolejne czynności mechanicznie, jak robiłam to wielokrotnie, jednak tym razem czuję

się prowadzona przez opatrność.

Los.

Przeznaczenie.

Nie chcę tego już tylko dla siebie. Moja dola została określona, zapieczętowana szczelniej niż to pudełko przed chwilą. Jednak pragnę tego wszystkiego dla Nate'a.

Bardzo.

Och, jak bardzo! Nagle pragnę tego bardziej desperacko niż czegokolwiek w ciągu tych ostatnich kilku miesięcy. Chcę... nie, potrzebuję dać mężowi podarunek, coś, co będzie urzeczywistnieniem naszej miłości.

Dziecko.

Fragment nas samych.

Cząstkę naszej miłości.

Która będzie żyła, oddychała, czuła.

Orientuję się, że mówię cicho w niewielkiej kabinie, choć mój głos jest obcy nawet w moich własnych uszach. Słowa wypływają z moich ust i po raz pierwszy w życiu rozumiem, dlaczego ojciec modlił się za mnie co wieczór. Dlaczego modlił się tylko za mnie, nigdy za siebie. Byłam ważniejsza niż jego własne ciało, jego własne życie. W tej chwili modlę się dokładnie z tego samego powodu – dla Nate'a i być może dla naszego nienarodzonego dziecka.

## **ROZDZIAŁ 9**

### ***KEEP THE FAITH***

LENA

Dwie różowe kreski.

Diagnoza nowotworu wywróciła moje życie do góry nogami, ale te dwie kreseczki ustawiły je na właściwym miejscu. Czuję to.

Odzyskuję energię, mam plan i cel. W ciągu trzech minut moje priorytety zmieniają się i zamiast cieszyć się ostatnimi chwilami życia, skupiam się na przetrwaniu. Muszę przeżyć przynajmniej do dwudziestego ósmego tygodnia ciąży. I muszę dokonać tego bez żadnych leków.

Dziecko będzie mogło wtedy przeżyć poza moim łonem i, daj Boże, bez mechanicznego wspomaganie. Im dłużej wytrzymam, tym zdrowsze będzie, jednak minimalnym okresem jest te dwadzieścia osiem tygodni.

Da to naszemu dziecku szansę na walkę.

Umacniam się w tym przekonaniu, gdy owijam test ciążowy chusteczką i wkładam do torebki. Otwieram drzwi szatni i wychodzę z niej jako zupełnie inna osoba. A przynajmniej tak się czuję.

Te trzy minuty wszystko zmieniły.

Nie ma już decyzji podejmowanych w trosce o moje zdrowie. Muszę myśleć również o zdrowiu naszego dziecka. Mam teraz pod opieką kogoś więcej niż siebie.

Gdybym tylko mogła w ten sposób wszystko zmienić...

Choć serce kołacze mi w piersi, a ręce drżą, jakbym była na detoksie, uśmiecham się promiennie do wszystkich mijanych osób. Nie chodzi już o koniec życia, teraz chodzi o jego początek. Nie dla mnie, ale dla naszego dziecka. Nie jestem już tylko Leną Grant,

żoną, pielęgniarką, córką, przyjaciółką i terminalnie chorą pacjentką. Jestem Leną Grant – matką. Jestem zupełnie inną kobietą niż ta, która niedawno wyszła z apartamentu hotelowego.

Udaje mi się zachować spokój przez całą drogę do naszego pokoju. Kiedy otwieram drzwi, widzę Nate'a stojącego przed telewizorem w samym ręczniku na biodrach i nie mogę dłużej wytrzymać. Kiedy mąż mnie zauważa, jego szmaragdowe spojrzenie prześlizguje się po mojej twarzy, a kąciki ust unoszą się, więc wznoszę dłonie, zakrywam oczy i wybucham płaczem.

Mam ochotę wyrzucić z siebie, że noszę jego dziecko. Chcę, by szczęka opadła mu ze zdziwienia i radości. Chcę poczuć wokół siebie jego silne ramiona, gdy będzie mnie tulił bardzo szczęśliwy. I chcę usłyszeć wzruszenie w jego głosie.

Ale nie mogę tego dostać.

Jeszcze nie.

Nie będąc świadomym mojej tajemnicy, Nate podbiega do mnie. Ponieważ jest moim bohaterem i obrońcą, gotów jest rzucić się na osobę, która doprowadziła jego żonę do płaczu.

– Co się stało, kochanie? – pyta, biorąc mnie ostrożnie za przedramiona. – Co się stało? Ktoś cię skrzywdził?

Mogę jedynie pokręcić głową. I łkać.

Nate mnie obejmuje i tuli mocno do nagiej piersi. Całuje mnie w czubek głowy i mówi:

– Więc co się stało? Przerażasz mnie.

– Po... po prostu... bardzo cię... kocham – jąkam się, jednak to stuprocentowa prawda.

Czuję, że po moich słowach mięśnie jego torsu się rozluźniają. Nie jest już chętny do walki, raczej gotowy na pocieszenie.

– Wiem. Ponieważ ja również bardzo cię kocham. Może nawet bardziej. Mam nadzieję, że o tym wiesz. – Głos mu się łamie na ostatnim słowie, gdy mąż walczy o zachowanie kontroli nad emocjami.

– Wiem. Wiem – zapewniam go. – Tak wiele chciałam od naszego życia. Gdybym dała radę to naprawić, zrobiłabym to. Wszystko

bym ci oddała.

– Już mi to dałaś. Wszystko, czego kiedykolwiek pragnąłem, to ty.

Wypłakuję się w nagie ramię męża, który mnie tuli. Opłakuję to, czego nigdy nie będzie. Płacę nad tym, co mam nadzieję, że będzie. Łkam nad tajemnicą, którą noszę. Szlocham nad niewielkim życiem, którego być może nie utrzymam. Przede wszystkim płacę jednak nad przyszłością, której nigdy nie zobaczę, rodziną, której nigdy nie stworzę. Mąż będzie musiał poradzić sobie sam.

Beze mnie.

Na zawsze.

Ale będzie miał nasze dziecko. Mam nadzieję. Zostanie z tym, co w nas najlepsze, pod postacią niewielkiej osoby, której rozwój będzie obserwował, jak również zabawę i śmiech. Gdybym tylko mogła w tym uczestniczyć...

Kiedy biorę się w garść na tyle, by odsunąć się od Nate'a, wznoszę oczy ku jego twarzy. Kładę dłoń na jego gładkim po niedawnym goleniu policzku, zastanawiając się, jaką będzie miał minę, gdy przekażę mu wieści. Gdyby udało mi się donosić dziecko do naszego powrotu do Stanów, mogłabym powiedzieć mu zaraz po tym, jak spotkam się z położnikiem i onkologiem. Powiem mu, gdy przekonam się, iż istnieje jakakolwiek szansa, że się uda. Dopiero wtedy będę patrzeć, jak opadnie mu szczeka, jak oczy zajdą mgłą, a radość wybuchnie na jego twarzy niczym strumień ciepłej wody z gejzeru.

Jednak do tego czasu muszę to zatrzymać w tajemnicy. Dla Nate'a. Będę go chronić tak długo, jak zdołam.

– O czym myślisz? – pyta, gdy milczę, po prostu trzymając dłoń na jego policzku.

– O tym, że nie mogę się doczekać, aż zwiedzę z tobą Watykan – odpowiadam ze słabym uśmiechem.

– Na pewno czujesz się na siłach, by tam jechać? Możemy to przełożyć...

– Nie. Chcę to zrobić dziś – stwierdzam stanowczo. Jestem gotowa podjąć każdy krok, wyczerpać każdą możliwość, by nasze dziecko przyszło na świat.

Wliczając w to próbę uwierzenia w Boga, którego tak wiele lat temu przedstawił mi tata.

\*\*\*

*Watykan.*

Jeśli Bazylika Świętego Piotra zachwyca już z zewnątrz, wewnątrz jest jeszcze wspanialsza.

Spektakularna.

Cudowna.

Każda rzeźba, każde pociągnięcie pędzla, każdy starannie dobrany szczegół jest tak genialny, że mogłabym spędzić całutki dzień, podziwiając splendor tego miejsca. Nawet światło – sposób, w jaki przesącza się przez strategicznie umieszczone szkło w suficie kopuły – wydaje się padać dokładnie w wyznaczonym kierunku, jakby słońce również było częścią tego dzieła.

Bazylika, uważana za grobowiec Świętego Piotra – jednego z dwunastu apostołów Jezusa – jest jednym z najświętszych miejsc w mieście, jeśli nie na całym świecie. I choć nigdy nie miałam się za religijną osobę (a przynajmniej od śmierci ojca), nawet ja nie jestem odporna na pobożność tego miejsca. Właściwie, jestem do łez poruszona, gdy zwiedzamy te uświęcone ściany.

Wcześniej, gdy dotarliśmy do podstawy szerokich, bogatych schodów prowadzących do bazyliki, Nate, stojąc obok w milczeniu, wziął mnie za rękę. Nie był to codzienny gest, przynajmniej nie taki, jakiego bym się spodziewała. Powoli splótł ze mną zarówno palce, jak i swoje życie, nadzieje i obawy. Pocieszał mnie, samemu również otrzymując pocieszenie, wspierał mnie, tak jak i ja jego. Jesteśmy dwoma połówkami całości, razem aż do gorzkiego końca, kiedykolwiek on nastąpi i co z sobą przyniesie.

W chwili, w której weszliśmy do kościoła, uderzyły mnie spokój i dobro. Praktycznie poczułam w tych ścianach modlitwy szeptane przez pokolenia, jakby nieustannie wibrowały one w powietrzu.



Milczałam, stojąc w wejściu i chłonełam spokój tego miejsca. Potrzebowałam czegoś stąd, choć nie wiedziałam do końca czego. Uzdrawienia z choroby? Rozgrzeszenia z tajemnicy? Cudu dla dziecka? Czegoś, czego nie byłam w stanie nazwać i zrozumieć?

Może.

Może jednej z tych rzeczy.

A może wszystkich.

Milczę, gdy idziemy podziwiać jedne z najbardziej cenionych zabytków na tej planecie – Tron Świętego Piotra z koroną złotych aniołów, długą nawę z misternie wysklepionym sufitem, Pietę Michała Anioła ze zbolałym obrazem Maryi trzymającej ciało martwego syna. Ostatnia rzeźba przemawia do mnie najmocniej. W tej chwili życie nabrało dla mnie świętości, jakiej istnienia nie podejrzewałam. Może dlatego, że moje własne życie chyli się ku końcowi. Może dlatego, że w swoich ostatnich dniach walczę, by dać je komuś innemu. A może kontempluję je, odnosząc się do jego utraty. Nie jestem pewna, ale widok matki trzymającej martwe dziecko dogłębnie mnie porusza.

Każdy centymetr kwadratowy kościoła skąpany jest w pięknie i szyku. Bazylika wygląda wspaniale – od starannie zaprojektowanej i wypolerowanej na błysk podłogi po ozdobione rzeźbami i kolumnami ściany. Nawet sufit udekorowany jest gipsowymi sztukateriami i bogatymi framugami okien, pozwalającymi na naturalny przepływ światła i rozjaśnienie każdego boskiego szczegółu perfekcji. Musi to być najbardziej inspirujące miejsce na ziemi.

Kilka godzin później, gdy wracamy główną nawą, docieramy do południowej odgródzonej nawy poprzecznej, przeznaczonej dla tych, którzy pragną się wypowiedzieć. Nate ściska moje palce i szepcze:

– Zanim przejdziemy do Kaplicy Sykstyńskiej, muszę iść do łazienki. – Całuje mnie w skroń i odwraca się. – Zaraz wrócę.

Kiwam głową, usatysfakcjonowana samym przebywaniem w tym miejscu. Obracam się powoli, ponownie chłoneć znajdujący się przede mną widok. Przyglądam się każdej rzeźbie, chłoneć każdy

dźwięk i zapisuję w pamięci każdy detal Baldachimu Berniniego rozciągającego się majestatycznie nad ołtarzem, nim przechodzę do aksamitnych lin odgradzających tych pragnących się wyświadczyć od ruchu pieszego zwiedzających.

Pod wpływem impulsu obchodzę barierę i kieruję się w stronę pierwszego rzędu krzeseł. Przesuwam się do miejsca pośrodku. Jednak reszta jest pusta, co uważam za dziwne, ponieważ gdy wcześniej tędy przechodziliśmy, widziałam tu wielu ludzi. Rozglądam się pospiesznie na boki, patrząc na konfesjonały ustawione pod każdą ze ścian, by upewnić się, że nikt mnie stąd nie wyprosi. Czuję się, jakbym bycie niewierzącą miała wypisane na twarzy i każdy mógł to zobaczyć.

Kiedy jestem pewna, że moja obecność nikogo nie obraża (przecież nie ma nikogo, kogo mogłabym obrazić), odprężam się i skupiam na obrazie umieszczonym na murze na końcu nawy poprzecznej, który przedstawia Jezusa trzymającego na rękach dziecko. Czuję zazdrość. I strach. I coś, czego nie umiem nazwać.

Łzy napływają mi do oczu, gdy przyglądam się tej scenie.

Zaskakuje mnie łagodny głos dobiegający z prawej strony.

– Udana wycieczka?

Obracam głowę i widzę starszego mężczyznę – księdza – stojącego obok, dwa krzesła dalej. Ubrany jest w tradycyjną czarną sutannę, zapinaną w trzech czwartych na guziki. Na głowie ma krótkie, siwiejące włosy. Jego oczy są jasnoniebieskie, ręce trzyma przed sobą i wygląda przy tym, jakby nigdzie mu się nie spieszyło.

Poświęca czas, by ze mną porozmawiać.

Kiwam głową, wracając do rzeczywistości.

– O tak! Bardzo. To niesamowite miejsce.

Ksiądz uśmiecha się i krótko kiwa głową.

– Bardzo dobrze – mówi cicho z niewielkim akcentem, roztaczając wokół siebie atmosferę spokoju. Natychmiast się odprężam i zastanawiam, czy wszyscy mężczyźni w sutannach mają ten dar. – Przyszłaś, by się wyświadczyć, moje dziecko? – Gestem wskazuje na rząd wolnych konfesjonałów umiejscowionych

po mojej lewej.

– Oj, nie, nie jestem katoliczką.

Niebieskie oczy wpatrują się w moją twarz. Sposób, w jaki na mnie patrzy, normalnie sprawiłby, że chciałabym się zapaść pod ziemię, ale w tej chwili siedzę nieruchomo i nie odwracam wzroku.

Z jakiegoś powodu nie mam wyrzutów sumienia, nie czuję się też nie na miejscu. Nie czuję się niegodna. W jakiś sposób czuję się pocieszona tym, że potrafi mnie przejrzeć na wskroś, nie oceniając za to, co ukrywam.

– Może nie jesteś katoliczką, ale zapewne, jak wszyscy inni, jesteś w potrzebie.

To obserwacja, nie pytanie. Stwierdzenie faktu. Jakby wiedział.

*Jakby wiedział.*

– Skąd... – Chciałam zapytać, skąd wie, ale gryzę się w język. Nie muszę pytać. W głębi duszy znam już odpowiedź.

Podświadomie wiem.

– Proszę. Zdajmy się na zacisze konfesjonału – mówi, ponownie wskazując drewniane budki za nami.

– Możemy, skoro nie jestem katoliczką?

– Nie musisz nią być, żeby wyznać swoje grzechy. Musisz być jedynie grzeszna, jak my wszyscy. Lub strapiona, szukać przewodnictwa, jak każdy z nas od czasu do czasu.

Nie kwestionuję siły, która każe mi wstać i podejść do pierwszego z konfesjonałów. Składam to na karb przytłaczającej wewnętrznej potrzeby podzielenia się ciężarem z drugim człowiekiem.

Może Bóg naprawdę istnieje.

I może rzeczywiście słucha każdej z dusz.

Zatrzymuję się przed budką. Pomimo przyjaznej tabliczki informującej, że spowiedź dostępna jest dla mówiących po angielsku, nadal nie czuję się komfortowo. Pokażna drewniana konstrukcja zdobiona jest mahoniem i, podobnie jak cały kościół, żaden centymetr nie pozostaje wolny od ornamentów. Jest piękna zarówno w artystyczny, jak i bardziej znaczący sposób.

Obracam się do księdza, by zapytać, co powinnam dalej zrobić,

ale nigdzie go nie widzę. Rozglądam się, zastanawiając się, czy przegapiłam jego odejście w drugą stronę, ale chwilę później słyszę przytłumiony głos dobiegający z wnętrza konfesjonału:

– Uklęknij, proszę.

Wchodzę więc. Wnętrze jest ciemne, pachnie bejcą i czymś, czego nie potrafię opisać. Wyobrażam sobie dekady cierpienia i przebaczenia niesione w ciepłym oddechu, zamknięte w ścianach rzeźbionego drewna. Pozostają w nim niczym złożone obietnice.

Mój wzrok przyzwyczajają się do półmroku, więc już wiem, gdzie mam klęknąć i oprzeć łokcie, przez co muszę przyjąć pozycję jak do modlitwy. Dostosowuję się więc, łączę dłonie i opieram na nich czoło.

– Co mam robić? – pytam szeptem.

– Proszę, powiedz, co leży ci na sercu, moje dziecko – zachęca cichym głosem kapłan.

– Mam opowiedzieć, jak grzeszyłam?

– A grzeszyłaś?

– Nie... nie wiem.

– Wszyscy grzeszymy. Codziennie. Dlatego tak ważna jest spowiedź. Potrzebujemy przebaczenia. Potrzebujemy go od Boga i potrzebujemy go dla siebie.

Milczę. Nie wiem, co powiedzieć.

Ale czuję.

Czuję wagę jego słów, zawartą w nich prawdę w miejscu, którego nie potrafię zdefiniować.

Ponieważ się nie odzywam, ksiądz kojącym głosem wprowadza mnie w rytuał:

– Co cię tu sprowadza? Do Rzymu?

Odchrząkuję i powoli rozwijam przed nim swoją historię, ostrożnie otwierając drzwi szafy, uważając, by nie wypadły na mnie narty.

– Mąż przywiózł mnie do Europy na trzy miesiące. To tak jakby podróż naszego życia.

– A co martwi cię w tej podróży? – pyta, postrzegając ją w sposób,

którego nie rozumiem.

– My... Ja... – Rozważam, jak wiele prawdy powinnam wyznać nieznajomemu, niepewna, czy w spowiedzi istnieje w ogóle coś takiego, jak „za dużo informacji”. Nim udaje mi się jednak wygrać z rozterkami, drzwi szafy otwierają się i narty – jak i wszystko ukryte za nimi – w potoku słów padają mi do stóp. – Dwa miesiące temu zdiagnozowano u mnie czwarte stadium raka żołądka. Widzi ksiądz, od lat staraliśmy się z mężem o dziecko. Każdego miesiąca bardzo się denerwowałam, czekając, czy się udało, oplakując dni, gdy się nie powiodło. Byłam niespokojna... zawsze pobudzona, mój żołądek często się przy tym buntował. Jednak za każdym razem, stres wiązał się z ekscytacją, kiedy sądziłam, że jestem w ciąży. Nie szukałam innych powodów bólu brzucha. Najwyraźniej tak bardzo pragnęłam mieć dziecko. Jestem jednak pielęgniarką. Ostatecznie wyszłam ze swej skorupy na wystarczająco długo, by zauważyć, że coś jest ze mną nie w porządku. Bardzo nie w porządku.

Drży mi podbródek, gdy z trudem przełykam ślinę, pilnując, by mój głos pozostał stabilny, żebym się nie rozpląkała, ponieważ oczy i tak mam już pełne łez. Nie szlochałam z powodu nowotworu od dnia, w którym przekazano mi, że to czwarte stadium. Wydawało się bezcelowe, by pozostałą część życia spędzić, płacząc nad mlekiem, które rozlało się bardzo dawno temu.

– Do czasu diagnozy komórki nowotworowe zajęły już wątrobę i dwa węzły chłonne. Jestem pielęgniarką, wiem, co to oznacza. Poza tym widziałam to na własne oczy. Przechodził przez to mój ojciec.

Ksiądz milczy. Daje mi czas, dzięki czemu wylewam do uszu tego świętego człowieka całą swoją duszę.

– Tata zmarł przy czwartym stadium nowotworu przełyku. Był w bardzo podobnym stanie, rak również zaatakował wątrobę i węzły chłonne. Kiedy zachorował, byłam małą dziewczynką, więc niewiele wiedziałam. I ukrywano przede mną informacje. Jednak wiedziałam. Widziałam, że był chory. Bardzo chory. Widziałam

przez co przechodził. Właśnie stąd wiem, co mnie czeka. Zbyt dobrze znam ten stan – milknę na chwilę. Wszystko płynie ku powierzchni, fala wylewa się poza moją kontrolą. – Starsza siostra również miała raka. Białaczkę. Widzi więc ksiądz, sporo się naoglądałam, co ta choroba może zrobić. Co zrobi. Zbyt wiele razy obserwowałam, jak rozbija rodziny, nie zamierzam pozwolić, by rozbiła i moją. Właśnie dlatego odmówiłam leczenia.

Ksiądz, rozważając moje słowa, pyta cicho:

– A co na to twój mąż?

Wzruszam ramionami.

– Nate mnie kocha. Nigdy nie śmiałyby prosić o coś, czego nie chcę. Poza tym również dla niego podjęłam tę decyzję. Obserwowałam, jak rak zabierał mojego ojca i moją siostrę. Obserwowałam ich zmagania, jakby istniała nadzieja na wyleczenie, choć i tak polegli. Mama również się przyglądała. Jednak ona się nie pozbiierała. Również poległa w tej walce, więc nie chcę, by ten sam los spotkał Nate'a.

– Matka także zmarła? – pyta duchowny.

– Nie, ale równie dobrze mogłaby nie żyć. Po śmierci ojca wycofała się z życia. Przestał interesować ją świat, macierzyństwo, bycie człowiekiem. Widok ich śmierci... ją zniszczył. Poddawała się. Drugie dziecko przestało mieć dla niej znaczenie. Przestała się o mnie troszczyć, ba, przestała nawet udawać, że się stara. Po prostu... przestała. – Nim ksiądz ma szansę cokolwiek powiedzieć, parskam gorzkim śmiechem i ciągnę opowieść: – Ale najwyraźniej miałam szczęście. Szczęście, że kiedy umarł tata, skończyłam czternaście lat. Byłam prawie dorosła i potrafiłam o siebie zadbać, więc gdy mama przestała to robić... – Wzruszam ramionami, nawet jeśli kapłan tego nie widzi. – Sama się sobą zajmowałam. Tak naprawdę nami dwiema. Wydaje mi się, że można powiedzieć, że to ja wychowywałam ją. Nie dana mi była żałoba. Straciłam ojca, ale mama straciła swoją duszę. Nie miałam wyjścia, musiałam podjąć działanie. Tuliłam mamę, gdy płakała. Czasami przez wiele godzin w nocy. Kąpałam ją, gdy nie była w stanie

podnieść się z łóżka i cały dom śmierdzał potem. Opiekowałam się nią, jak tylko nastolatka może opiekować się matką, wciąż próbując uporać się z własnym życiem, by się nie rozpadło. To chyba właśnie za to powinnam być wdzięczna. Zajmując się matką, uświadomiłam sobie, że jestem w tym dość dobra – w pomaganiu. Te okropne chwile zrodziły marzenie, którego trzymałam się, gdy nie pozostało mi już nic innego. Skupiłam się na dostaniu się na studia, gdy musiałam nauczyć się podrabiać podpis matki, by zapłacić za leczenie i kupić potrzebne rzeczy. Skupiłam się na wyjeździe z miasta, gdy musiałam przemierzać raz w tygodniu sklepowe alejki, by nabyć jedzenie. Skupiłam się na studiach, by jakoś przetrwać szkołę średnią, kiedy to musiałam nauczyć się gotować, sprzątać, jednocześnie odrabiając zadania domowe i robiąc pranie. To dzięki marzeniom o studiach nie opuściłam ani jednego dnia w liceum. Bez względu na to, jak było ciężko, nie opuściłam ani jednego dnia. I wciąż opiekowałam się matką, aż dostałam list – akceptację na pielęgniarstwo. Dopiero wtedy przestałam. Tamtego właśnie dnia zadzwoniłam do opieki społecznej i poprosiłam, by któryś z pracowników przyszedł ocenić jej stan.

Splątam i rozplątam palce, bawiąc się nimi nerwowo, jak zwykłam robić w przeszłości. Nie robiłam tego od lat. Ale przecież od lat nie opowiadałam o matce. Wyrzuty sumienia z powodu tego, co zrobiłam, zdają się wciąż świeże jak w dzień, w którym wykonałam tamten telefon. Po całym tym czasie rezultat moich działań wciąż wywołuje poczucie winy, paląc w żołądku, jakbym nałykała się kwasu.

– Byłam bardzo zgorzkniała. Nie chciałam, żeby stała jej się krzywda, pragnęłam jedynie, by zaopiekował się nią ktoś inny – wyjaśniam, czując, jak po policzkach płyną mi łzy. Minęło tak wiele czasu, odkąd płakałam za mamą, ale nigdy nie przestałam za nią tęsknić, nigdy nie przestało mi brakować więzi, jaką mogłyśmy mieć. Jaką powinnyśmy mieć, ale nigdy nie miałyśmy. Oplakiwałam drugiego rodzica, którego straciłam. Nie odeszła

fizycznie, ale emocjonalnie. Pociągam nosem i kontynuuję wywód:  
– Po serii badań zdiagnozowano u niej zaburzenia schizoafektywne, więc została umieszczona w placówce zajmującej się zaburzeniami psychicznymi. Od tamtej chwili, aż do wyjazdu do Europy, odwiedzałam ją raz w miesiącu. Robiłam to, ponieważ jest moją matką, i czułam się do tego zobligowana, ale głównie – przyznaję łamiącym się głosem – po części chciałam też, by była moją mamą. Mamą, której na mnie zależy. Potrzebowałam mojej mamusi. Po prostu potrzebowałam jej. – Emocje wrą we mnie, złość wylewa się z serca. Wraz ze wzrostem rozpaczyny ściska mi się gardło. – Muszę... powiedzieć jej, że umieram i że jestem w ciąży. Muszę powiedzieć jej, że mogę nie donosić tego dziecka, ponieważ umieram. Muszę jej to wyznać. Następnie musi mi powiedzieć, co powinnam zrobić, ponieważ sama nie wiem. Muszę wiedzieć, jak przez to przejść, jak rozbudzić w sobie nadzieję, ponieważ zapomniałam. Nie pamiętam już, jak jest ją mieć.

Płaczę cicho, zakrywając usta obiema dłońmi i mocno zaciskając powieki, jakbym robiąc to, mogła powstrzymać napływające ból i bezradność. Chwilę później odchrząkuję, biorę głęboki wdech i ocieram twarz. Wiem, że nigdy nie odzyskam matki, nie tak, jak tego chcę, jak tego potrzebuję. Nie jak powinnam. I muszę pogodzić się z tą trudną, bolesną prawdą.

– Ale nic takiego się nie wydarzy, ponieważ nigdy nie była prawdziwą mamą. Właśnie dlatego potrzebuję, by ktoś inny powiedział mi, że wszystko będzie dobrze. Potrzebuję tego. Desperacko. Może mi ksiądz to powiedzieć? Proszę, niech ksiądz to powie – błagam. – Proszę pomóc mi odnaleźć nadzieję.

Pochyliłam głowę i pozwalałam płynąć łzom, podczas tej chwili szczerości. Może uwolnienie ich zmniejszy moją gorycz, gniew i przygnębienie. Może oczyści mnie to z udręki. A przynajmniej z jakiejś jej części.

Nigdy nie otworzyłam się tak bardzo przed nieznanym. Do licha, chyba z nikim nie byłam tak szczerą, jeśli chodzi o powody odmowy leczenia, o strach i brak nadziei. Nie jestem pewna, czy



potrafiłam przyznać to przed samą sobą. Chciałabym być silna, nawet jeśli czuję się przerażona, słaba i osamotniona. Jednak nie wiem, czy zdołam być wystarczająco silna. Nie w tej sytuacji.

Kiedy udaje mi się nieco pozbierać, ponownie pociągam nosem, odchylam głowę do tyłu, odnajduję w sobie odwagę, by dokończyć tę spowiedź.

Spowiadam się przed księdzem. Spowiadam się przed sobą. Przez obolałe gardło wylewam pogruchotane serce.

Ale się udało.

Zrobiłam to.

– Myślę, że odmówiłam leczenia, bo się bałam. Obawiałam się, że rozbudzi to moją nadzieję. Obawiałam się, jak wpłynie to na mojego męża. Nie chciałam skazywać go na piekło nadaremno, więc tego nie zrobiłam. Zrezygnowałam z leczenia, byśmy przeżyli moje ostatnie dni razem, robiąc rzeczy, których od zawsze pragnęliśmy. I po raz pierwszy od lat nawet nie pomyślałam o dziecku. Przez cały ten czas nie mogłam zająć się ciążą i nigdy nawet nie sądziłam... – urywam, gdy nagle rozpala się we mnie gniew. Wrze, aż wylewa się ze mnie jak z wulkanu.

Zawsze wiedziałam, że los jest podły, ale nawet bym nie podejrzewała, że jest zdolny do czegoś takiego.

Do takiej... kary.

Obracam głowę, patrzę w mrok, skąd wcześniej, zanim się załamalam, dobiegł głos księdza. Porażam tę niewidzialną dla moich oczu osobę rozwścieczonym spojrzeniem, gdy wściekłość kotłuje się w moim wnętrzu.

– Dlaczego teraz? Dlaczego w chwili, w której nie ma już dla mnie nadziei? Dlaczego w momencie, w którym potrzebuję jej najbardziej na świecie? Co niby mam zrobić? Jak mam to przetrwać? Jak mam powiedzieć mężowi, że noszę dziecko, które może umrzeć przede mną? Jak mam wyznać, że mogę skazać go na jeszcze większy ból? Jak mam przekazać, że jego największe marzenie w końcu się ziściło, choć mogę być tą, która mu je odbierze? I nic nie mogę w tej sprawie zrobić. Nie ma szans, bym

powstrzymała chorobę. Jak mam się z tym niby uporać? Co powinnam zrobić? – jęczę z rozpacz.

Przemawia przeze mnie złość, a ogień spala emocje. Jednak ogień ten zostaje ugaszony deszczem, a mój gniew szybko odparowuje, skrzące się węgle gaszą łzy, których strumienie płyną po moich policzkach.

Znów płaczę. Powódź wydaje się nie do opanowania. Moja spowiedź zdrapuje strupy, odsłania rany i ujawnia obrażenia. Otwieram się jak nigdy wcześniej. I płaczę.

Aż nie mam już więcej łez.

Kapłan mi na to pozwala, milczy przez chwilę, która wydaje się wieloma godzinami. Powstrzymuję się od mówienia, póki studnia łez nie wyschnie i znów nie będę gotowa mówić. Jestem zdruzgotana tak, jak jeszcze nigdy w życiu.

Załamana i pokonana.

– Jak Bóg może mi to robić? Nam? Jak mam wierzyć w Boga, który zdolny jest do czegoś takiego? Jest potworem!

Następuje długa cisza, nim słyszę życzliwy, pełen zachęty głos.

– Moje dziecko – zaczyna ksiądz – nasz Bóg postępuje w tajemniczy sposób. To On dał ci dziecko i to On sprawi, że dojrzysz rozwiązanie, jakiegokolwiek ono będzie. Musisz jedynie w to wierzyć. Wierzyć w Niego.

– Ale jak mam to zrobić? Już tak wiele mi odebrał. Jak mam wierzyć w takiego Boga? Dlaczego mam wierzyć w Boga, z którym nic mnie nie łączy?

– Ponieważ wiele cię z Nim łączy. Więcej, niż ci się wydaje. Nasz Bóg jest Bogiem pocieszenia. Jak zapisano przed wiekami w Jego Świętym Słowie, w naszym życiu. Wie, że cierpisz. Wie, jak to jest kochać tak mocno, by oddać własne życie dla swoich dzieci. Właściwie, dokładnie to zrobił. Przybył na ziemię jako człowiek, pod postacią swojego syna, Jezusa, który został ukrzyżowany, byśmy my mogli żyć. Zna bolesne, śmiertelne poświęcenie. Wie, jak to jest się bać i czuć samotnym. Nie możesz zapominać, że był w twojej sytuacji, że każdy człowiek przechodzi przez coś

podobnego. Wie o twojej tragedii jak nikt inny, jednak musisz wierzyć, że również jak nikt inny cię kocha. Nigdy nie pozwoliłby na tak wielki dramat bez powodu, nie dając daru bez uprzedniego planu. Poprowadzi cię, jeśli Go o to poprosisz. Czeka, byś z tym do Niego przyszła. Powierz Mu swą chorobę. Powierz Mu dziecko. Powierz decyzje, a On cię poprowadzi.

Czuję, jakby ksiądz chciał mnie omamić, mówił do mnie tajnym szyfrem, którego nie mam szans odkodować. Nie wiem, co powiedzieć, o co zapytać, więc nadal klęczę, choć cała jestem otepiała. Czekam.

Następne słowa są tymi, które scalają to w jedność, które trafiają w sam środek mojej klatki piersiowej.

– Czerp nadzieję z tego miejsca, moje dziecko. Straciłaś ją bardzo dawno temu, ale Bóg sprowadził cię tutaj, byś ją odzyskała. Może to właśnie próbował ci dać przez cały ten czas, tę właśnie nadzieję. Jego nadzieję. Nadzieję, która da siłę tam, gdzie teraz jest słabość. Nadzieję, która przyniesie spokój, gdzie w tej chwili jest strach. Nadzieję, która ukaże cud tam, gdzie teraz jest jedynie rozpacz. Idealną nadzieję.

Słowa te mówią o zawierzeniu. Chce, bym poddała się Jego kontroli, przekazała troski i obawy Bogu. Nie zrobiłam tego, gdy zmarła siostra i ojciec, nie zrobiłam, gdy porzuciła mnie matka ani gdy zdiagnozowano u mnie raka. Sugeruje, bym tym razem jednak zawierzyła. Abym oddała kontrolę i pozwoliła przejąć ją komuś innemu.

Ale jak mam tego dokonać?

– Jak to zrobić? Jak ponownie poczuć tę nadzieję?

– Zaakceptuj ją. Zaakceptuj Go. To proste.

Proste.

A jednak skomplikowane.

W mojej torebce odzywa się telefon, przez co się wzdrygam. Przypomina mi, że nie jestem w Watykanie sama. Jestem tu z mężem, a Nate prawdopodobnie odchodzi od zmysłów, szukając mnie.

Nie mam pojęcia, ile czasu spędziłam w konfesjonale. Wydaje się, że całą wieczność, ale równie dobrze mogło być to okamgnienie.

Całe życie lub sekunda.

Bez względu na to, ile tu siedziałam, czuję, że Nate się martwi.

Grzebię w torebce, by wyjąć telefon.

– Przepraszam, ojcze, ale jestem pewna, że to mój mąż. Nie wie, że tu przyszłam. Muszę iść.

– Rozumiem – mówi spokojnie. W wyobraźni widzę, jak uprzejmie kiwa głową. – Niech Bóg cię błogosławi i prowadzi, abyś odnalazła nadzieję, której poszukujesz.

– Dziękuję – mówię, wstając z klęcznika. Przystaję, wpatrując się w ciemność, żałując, że nie mogę zobaczyć bystrych niebieskich oczu i tego, co w nich ma. – Bardzo dziękuję.

– Z Bogiem, dziecko – mówi, nim czuję, że jego obecność znika.

## ROZDZIAŁ 10

### *BLAZE OF GLORY*

LENA

Wychodząc z konfesjonału, odczuwam dziwny spokój. Mam wrażenie, jakbym otworzyła przed księdzem serce, które wykrwawiło się na podłogę, pozostawiając po sobie kałużę z wątpliwości, obaw i cierpienia. Wychodząc z niewielkiego pomieszczenia, czuję się dobrze.

I w końcu Nate również to zauważa.

Kiedy unoszę głowę, widzę, że stoi na początku nawy poprzecznej, blisko miejsca, w którym mnie zostawił. Skupione spojrzenie nie opuszcza mnie, gdy podchodzę.

– Przepraszam, że do ciebie nie napisałam. Naprawdę... nie planowałam tam iść – wyjaśniam, wskazując przez ramię na konfesjonał, by usprawiedliwić czas spędzony w tym świętym miejscu.

– Trochę się zdziwiłem, widząc cię tam.

– Widziałeś mnie?

– Kiedy nie mogłem cię znaleźć i nie dostałem odpowiedzi na wiadomość, zacząłem szukać. Rozpoznałem wystające buty.

Spoglądam na swoje kolorowe tenisówki i uśmiecham się do męża.

– Najwyraźniej się w nich nie zgubię.

Nate odpowiada uśmiechem.

– Nie, nie zgubisz się.

– Czy... Słyszałeś coś?

Kręci głową.

– Nie.

– Och. Okej. – Próbuję ukryć ulgę. Nie chciałabym obciążać

Nate'a moim wyznaniem. Ale wiem, że on by tego chciał. Znam go.

– Więc... spowiedź?

Wzruszam ramionami.

– Może to naprawdę dobre dla duszy.

– Na to wygląda. Wydajesz się lżejsza.

Prycham.

– Myślisz, że tam schudłam? Jeśli tak, powinnam spróbować tego wcześniej.

– Wiesz, o co mi chodziło.

Patrzę w poważne zielone oczy męża i kiwam głową.

– Tak, wiem. Jest mi lżej. Czuję, jakby wszystko miało się ułożyć.

Nate bierze mnie za rękę, którą unosi sobie do ust. Trzyma ją tam przez chwilę, przyciskając wargi do knykci, gdy patrzy mi w oczy. Nie jestem pewna, co w nich widzi, ale jego gest przynosi ulgę. Może Nate również potrzebował kogoś, kto powie mu, że wszystko będzie dobrze.

Zbliżam się do niego, staję na palcach i drugą rękę kładę na jego policzku.

– Będzie właśnie tak.

– Ale jak?

– Wszystko będzie dobrze.

Przytakuje i nadal na mnie patrzy, jakby mocno próbował mi uwierzyć. A może znaleźć we mnie przekonanie.

Oddycham głęboko, stojąc przed nim pewnie, z nadzieją, że choć raz to ja mogę być silna dla niego. Nie ma nikogo, kto pomógłby mu dźwigać ciężar mojej choroby. Może to właśnie czas, bym zapewniła mu spokój, jakiego potrzebuje.

– Nikt z nas nie będzie żył wiecznie, więc powinniśmy korzystać z życia, póki jesteśmy jeszcze na tym świecie, prawda? Właśnie dlatego musimy wycisnąć z tej podróży, jak najwięcej się da. Sprawić, by była znacząca. Chwalebne chwile i takie tam.

Mój uśmiech jest beztroski, pełen ognia i wesołości, jednak nie wystarcza, by złagodzić ból serca Nate'a. Doskonale to widzę.

– Chwalebne chwile? – szepcze, ponownie całując moje knykcie,

nim puszcza moją rękę, ale obejmuje mnie całą.

Tuli mnie, całując w skroń. Przez dłuższą chwilę kołyszymy się na boki, ciesząc się wzajemnym pocieszeniem. Zastanawiam się, czy mąż walczy ze łzami, ale nie zamierzam unosić głowy, by to sprawdzić. Zamiast tego daję mu spokój i nie ruszam się, póki sam nie będzie gotowy.

Kiedy w końcu się ode mnie odsuwa, jego oczy są suche, a uśmiech wraca na swoje miejsce.

– Więc gdzie te chwalebne chwile nas zaprowadzą? Na kolację?

– Brzmi dobrze.

Nate obejmuje mnie w ramionach, trzymając blisko, gdy wychodzimy. Rzucam okiem przez ramię, by spojrzeć na nieznanego księdza, ale ogrodzona część nawy jest zupełnie pusta.

\*\*\*

Budzę się po północy rzymskiego czasu. W pokoju panuje cisza, obok Nate chrapie cicho. Pierwsza myśl dotyczy rozwijającego się we mnie życia. Oczywiście senność natychmiast odchodzi.

Leżę w łóżku przez ponad godzinę, wyobrażając sobie potencjalną przyszłość, nim rozwinie się choroba. Nie chcąc budzić męża, wysuwam się ostrożnie spod kołdry i stawiam stopy na podłodze.

Biorę szlafrok z fotela i wkładam go w drodze do sąsiedniego pokoju. Jest ciemno, pomieszczenie oświetla jedynie srebrzysta poświata wpadająca przez szczeliny w zasłonach. Natychmiast rozprasza mnie widok geometrycznych kształtów na podłodze, jakie tworzy.

Rzym jest magiczny. Nawet w świetle księżycy jest tu pięknie. Podchodzę do okna i rozsuwam zasłony. Majestatyczny widok na Kościół Świętej Trójcy bije we mnie niczym ciepła, łagodna fala, choć sam jego obraz niesie ze sobą pociechę. Ponownie czuję przy sobie opatrność. To miejsce, ten czas, te okoliczności – wszystko razem tworzy właściwą atmosferę. Jest jak niebiańska orkiestra wygrywająca melodię składającą się z momentów, zdarzeń i decyzji. A w tej chwili brzmi cudownie harmonijnie.

Dla kogoś tak przyzwyczajonego do kontrolowania własnego życia jak ja przekazanie komuś dowodzenia stanowi wyjątkową ulgę. Pozwolenie, by egzystencja toczyła się własnym torem. Muszę się więc jedynie martwić o przetrwanie do chwili, w której moje dziecko będzie mogło przyjść na świat. Z resztą mogę się pogodzić.

Bez względu na to, ile czasu mi jeszcze zostało.

Kładę sobie rękę na brzuchu. Niesamowite, że coś tak znaczącego nie jest dostrzegalne dla ludzkiego oka ani nie da się go dotknąć. Niewielkie ziarenko kiełkujące we mnie jest tak niesłychanie potężne, że potrafi wszystko zmienić. A mimo to wciąż jest niewielką fasolką. Tak małą, a mimo to tak znaczącą, potrafiącą wywołać radość lub najgorsze załamanie.

Pod wpływem impulsu wyciągam z torebki telefon. Na paluszkach podchodzę do drzwi sypialni, by je zamknąć, upewniając się uprzednio, że Nate dalej chrapie. Wracam do okna włączam aparat i zmieniam ustawienia na nagrywanie, następnie przełączam perspektywę, aż na ekranie widzę własną twarz. Umieszczam telefon tak, by wspaniałe budynki za oknem również były widoczne i naciskam „nagraj”.

Milczę dłuższą chwilę, zastanawiając się, czy powinnam przemyśleć uprzednio to, co chcę powiedzieć, ale zamiast zatrzymać nagranie, zaczynam mówić, uśmiechając się prosto do kamery:

– Witaj, moje cudowne dziecko. Dowiedziałam się dzisiaj o twoim istnieniu. Nie wiem, czy kiedykolwiek dane mi będzie cię zobaczyć, wyznać ci wszystko osobiście, ale liczę na to, że dostaniesz przynajmniej to nagranie. Chcę powiedzieć, że jestem dziś dzięki tobie przeszczęśliwa. Wszystko się dzięki tobie zmieniło. Na lepsze. Już pierwszego dnia. Nie mam pojęcia, jakiej będziesz płci, ale poczułam się dziś kompletna. Pragnęłam cię przez całe życie. Całe! Marzę, by poczuć, jak po raz pierwszy mnie kopiesz. Wyobrażam sobie, jak może wyglądać twoja twarz, twoje rączki, nóżki. Wiem, że będziesz idealne. W głębi serca wiem, że będziesz najbardziej



perfekcyjną cząstką tego świata. Najlepszym, co kiedykolwiek udało mi się stworzyć. I umrę szczęśliwa, jeśli choćby przez sekundę będzie mi dane na ciebie spojrzeć. – Pociągam nosem, powstrzymując potok łez. – Kocham cię. Dziś. Jutro. Zawsze.

Uśmiecham się jeszcze przez chwilę, nim wyłączam nagrywanie. Zakrywam usta, opadam na kolana, wolną ręką trzymając się za brzuch i się modlę.

Modlę się całą sobą.

## NATE

Trudno budzić się w pustym łóżku. Kiedy obracam się na bok, szukam żony, ale jej nie ma. Kołdra leży z boku, prześcieradło jest zimne. Nie ma jej już od jakiegoś czasu.

Przychodzi mi najpierw do głowy, że znów ogarnęły ją mdłości, więc spieszę do łazienki, ale drzwi są otwarte, a w pomieszczeniu jest ciemno.

Pusto.

W tej chwili powinienem czuć ulgę, że nie siedzi zgarbiona nad sedesem, opróżniając żołądek. Ale tak się nie dzieje.

Zamiast tego zaczynam panikować.

Przez chwilę mam w głowie najgorsze myśli.

*Jeśli coś się stało i umarła?*

*Jeśli dopadły ją jakieś rzadkie komplikacje, przez co obudziła się w nocy przerażona i umarła, zanim zdołałem jej pomóc?*

*Jeśli próbowała mnie obudzić, ale nie dała rady?*

*Jeśli wstała, zemdląta i odeszła w samotności na podłozę?*

*Jezu Chryste!*

Mój puls cwałuje niczym ogier na wyścigu, gdy pospiesznie przeszukuję apartament.

Zalewa mnie ulga, gdy dostrzegam żonę. Rozgorączkowany wzrok kieruje się w stronę kanapy, gdzie zamiera. Widzę znajomą sylwetkę, zwiniętą na boku, pogrążoną we śnie. Słucham cichego

oddechu Leny, licząc do dziesięciu, by uspokoić rozszalałe serce. Przypominam sobie, że nie ma powodu, bym zakładał, że obudzę się pewnego dnia i znajdę ją martwą. Rak jest przewidywalną chorobą, więc wiadomo, kiedy nadejdzie koniec. Przynajmniej tak powinno być w przypadku Leny. Czytałem statystyki. Słyszałem opowieści. Zdaję sobie sprawę, że będzie to dla niej powolny i bolesny proces, zapewne wpadnie w śpiączkę, zanim opuści ten świat. Ale... sama myśl o znalezieniu jej zimnego ciała... o utracie jej przedwcześnie...

Zaciskam mocno powieki, odpychając od siebie ból, wciskając zmartwienie z powrotem do podświadomości. Bezlitośnie wrzucam te przekłete narty do szafy.

Nie mogę pozwolić, aby moje emocje popsuły pozostały nam czas. Nie dopuszczę do tego. Dla Leny. Zasługuje ode mnie na wszystko, co najlepsze – na siłę, pewność, stabilność – aż do ostatniego tchu, więc jestem zdeterminowany, by właśnie to jej zapewnić. Przybioreń dzielny wyraz twarzy i uśmiechnę się dla niej. Nigdy się nie przyznam, że niemal sto procent moich myśli wiruje wokół jej śmierci, wokół pustki, w której będę musiał egzystować do końca swoich dni.

Nie mogę jej tego powiedzieć.

Nie mogę przyznać, że znam już smak panicznego strachu, który będzie ścisnął mój żołądek. Nie mogę powiedzieć, że znam przytłaczający ból, który poczuję. Nie mogę poinformować, że pewnego dnia ja również umrę, ale załamany, zagubiony i samotny.

Żyjąc bez niej jedynie połowicznie.

Pomimo odnalezienia jej w dobrym stanie nie potrafię otrząsnąć się z obaw, które mnie przytłaczają. Są niczym cień na moim życiu, na każdym dniu mojej egzystencji, jednak nie mijają wraz ze wschodem słońca.

Trwają.

Zawsze są obecne.

Spoglądam przez ramię na łóżko, które ze mnie drwi. Prześladowuje

mnie. Podobnie jak pustka po prawej stronie jest czymś namacalnym, czuję również na karku zimne powietrze. Ściga mnie drapieżnik, nieustannie przyspieszając.

Chce mnie dopaść. Chce odebrać mi to, co najcenniejsze.

Przytłacza mnie przecucie przypominające mi, że nadejdzie dzień, kiedy się obudzę, a prawa strona łóżka będzie pusta. Na zawsze. Nie mam pojęcia, jak sobie z tym poradzę, gdy w tej chwili nie jestem w stanie znieść tej myśli, a co dopiero stawić czoła rzeczywistości.

Podchodzę cicho do śpiącej Leny, kucam przy niej, wpatrując się w jej piękną, spokojną i rozmarzoną twarz. Zapamiętuję łuk jej brwi, grzbiet nosa, rzęsy spoczywające na wysoko uniesionych kościach policzkowych. Zapamiętuję fakturę jej skóry, gładkie linie policzka i kształt warg.

*Te usta...*

Gdybym zamknął oczy, poczułbym ich miękkość, gdy całują, zobaczyłbym, jak rozciągają się w uśmiechu.

Nigdy tego nie zapomnę.

Nawet najmniejszego szczegółu.

Wiodę spojrzeniem po pięknych ramionach przez dekolt aż do brzucha, na którym trzyma rękę nawet we śnie. Choć bardzo bym pragnął, wiem, że nie będę potrafił zapomnieć i tego – jej choroby, bólu. Rak zabiera mi ukochaną kobietę.

Pochylam głowę i w ciszy pozwalam płynąć łzom.

## ROZDZIAŁ 11

### *GOTTA HAVE A REASON*

NATE

Sześć tygodni później otwieram drzwi wiodące z garażu do kuchni i odsuwam się na bok, przepuszczając Lenę. Jesteśmy w domu. Zauważam, jak żona zatrzymuje się na progu i oddycha głęboko, jej ramiona unoszą się, po czym opadają powoli, gdy rozkoszuje się znajomym zapachem. Europa była wspaniała, ale wiem, że Lena cieszy się z powrotu do naszego domostwa, naszego sanktuarium.

Nie ma jak w domu. Naszym domu. Odwraca się i uśmiecha szeroko.

– Nasz kochany domek, skarbie. – Staje na palcach i cmoka mnie w usta. Będzie mi tego brakowało, bardziej niż zdoła się domyślić. Tych zwyczajnych pocałunków, tych instynktowych czułości, skrytych spojrzeń – wszystkiego.

Będzie mi jej brakowało jak powietrza.

Przełykam ślinę i uśmiecham się półgębkiem. Zawsze dla niej.

– Dom jest tam, gdzie jesteś ty, ale muszę przyznać, że tęskniłem za tym miejscem. Kawa nie jest tu tak dobra, ale...

Lena śmieje się, szturcha mnie łokciem w bok i wchodzi do kuchni.

– Cofnij te słowa, inaczej nie zrobię ci żadnej kawy, dobrej czy złej.

– Cofam to – odpowiadam natychmiast.

Stojąc nadal w garażu, obserwuję żonę – jej chód jest jakby mniej energiczny. Ból serca pogłębia się, gdy czekam, aż Lena znajdzie się w salonie, gdzie opada na kanapę i wzdycha ciężko, opuszczając ręce po bokach, kładąc głowę na oparciu.

Przez niemal wszystkie dni w Europie była pełna życia, więc trudno mi na to patrzeć. Dla mnie ta podróż na zawsze pozostanie słodko-gorzka, z większej liczby powodów, niż pierwotnie zakładałem. Po odzyskaniu dawnej Leny – beztroskiej, zabawnej, energicznej, jaką poznałem dziewiętnaście lat temu – strata jej będzie jeszcze bardziej bolesna. To jakby przyglądać się jej podwójnej śmierci. Jednej powolnej, następującej z dnia na dzień, a drugiej...

Odwracam się, gdy z powodu emocji czuję ucisk w piersi.

– Pójdę po bagaż – mamroczę, spiesząc z powrotem do samochodu. Nie mam pojęcia, jak przetrwać kolejny okres. Wiem jedynie, że będę musiał.

Zrobię to dla Leny.

Zawsze dla Leny.

Zrobiłbym dla niej wszystko.

## LENA

Ponieważ jestem zmęczona, Nate proponuje, że sam pójdzie do sklepu po jedzenie i inne niezbędne rzeczy. Niezmiernie się z tego cieszę. Nie tylko dlatego, że naprawdę jestem wyczerpana, ale mam również ważny telefon do wykonania, a mąż nie może słyszeć tej rozmowy.

W chwili gdy Nate wycofuje z podjazdu, biegnę do telefonu i kontaktuję się z moją panią ginekolog, która na szczęście jest również położnikiem. Modlę się, by doktor Stephens mogła mnie przyjąć w ciągu najbliższych kilku dni. Na następny tydzień mam już wizytę u onkologa, pomyślałam, że dobrze byłoby porozmawiać z obiema lekarkami najszybciej jak to tylko możliwe. Jestem pewna, że będą musiały przy mnie współpracować. Będzie to ostrożny taniec, jeśli można tak to ująć. Muszę sprawić, by obie trzymały moją stronę.

Mimo wszystko jestem sceptyczna. Grafik w okolicach Bożego

Narodzenia może być napięty, więc umówienie się na ostatnią chwilę będzie trudne. Przecież jest już dwudziesty pierwszy grudnia. Choć bardzo nie chcę tego robić (naprawdę), wyciągam argument: „Jestem pielęgniarką i muszę jak najszybciej porozmawiać z panią doktor”, ponieważ wiem, że zadziała. Recepcjonistka każe mi czekać przez trzy minuty, następnie zgłasza się sama doktor Stephens.

Używam niejasnych sformułowań, jak „stan” i „choroba”, by opisać sytuację lekarce, która jest zaznajomiona z tematem usilnych prób zajścia w ciążę, po czym kobieta z ochotą wpisuje mnie na dwudziestego trzeciego grudnia. Być może pożałuje tej decyzji, gdy pozna szczegóły, z jakimi do niej przyjdę.

Rozłączam się i wypuszczam powietrze z płuc, przetrzymywane tam od tygodni. Wkrótce poznam odpowiedzi na nurtujące mnie pytania, by uspokoić umysł i ustalić drogę na przyszłość. Potem będę musiała przeżyć swoje ostatnie dni. I, mam nadzieję, wydać na świat kolejne życie.

Urodzić człowieka.

Uczynić własną śmierć znaczącą.

\*\*\*

Dwa dni później siedzę w poczekalni gabinetu ginekologiczno-położniczego, bawiąc się paskiem torebki. Niemal nie potrafię usiedzieć na miejscu. Musiałam okłamać Nate’a, by zyskać kilka chwil dla siebie. Nie zamierza mi już pozwalać na samotne wizyty u lekarzy, więc musiałam go ładnie urobić.

Nie żebym mogła go winić. Jestem na tyle dojrzała, żeby wiedzieć, że pójdzie samotnie na wizytę, by poznać diagnozę, było złą decyzją. Nate powinien być częścią tego procesu, a ja mu to odebrałam, nawet jeśli nieumyślnie. Z perspektywy czasu mogę zobaczyć oznaki zaprzeczenia. Nie spodziewałam się przecież złych wieści.

A zwłaszcza nie najgorszych.

Natychmiast unoszę głowę, gdy słyszę swoje imię. Wstaję początkowo na miękkich kolanach, ale biorę głęboki wdech

i uśmiecham się do osoby w drzwiach.

– Jak się czujesz, Leno?

Sherry jest osobistą asystentką doktor Stephens, sama miała trudności z zajściem w ciążę. Wiele nas łączy, dogadywałyśmy się już od pierwszego spotkania.

Kobieta gestem wskazuje, bym weszła na wagę. Nie sprzeciwiam się. Nie byłam w tym gabinecie od wydania diagnozy, więc Sherry nie wie, co dzieje się w moim życiu. Niewątpliwie niedługo o wszystkim usłyszy.

– Bywało lepiej – odpowiadam wymijająco, świadoma otaczających nas ludzi.

Pielęgniarka zapisuje moją wagę, ale nie komentuje półtora kilo, które przypadkowo zgubiłam. Właściwie jestem tym zaskoczona, ponieważ w Europie jadałam prawidłowo. Celowo dobrze odżywiałam ciało (i dziecko). Bardzo dobrze.

Niestety nie potrafię kontrolować tego, że szybko się najadam. To rezultat nowotworu, kolejnej komplikacji dla ciąży.

Może to wszystko to tylko nierealny sen? Mimo wszystko możliwość, że mogę nie nosić dziecka, jest dla mnie jak cios – szczególnie dla mojej nowo odkrytej nadziei.

Drżącą dłonią biorę od Sherry pojemniczki na mocz.

– Napełnij go i zostaw w okienku, po czym przejdź do gabinetu numer dwa.

Przytakuję i idę do łazienki, gdzie zamykam za sobą drzwi. Siadam na skraju krzesła umieszczonego w kącie, zwieszam głowę pomiędzy kolana, pozwalając krwi napłynąć do głowy w nadziei, że przestanie mi się w niej kręcić.

Może przed wyjściem powinnam bardziej się najeść.

Kiedy czuję się trochę lepiej, napełniam kubeczek do badań, by potwierdzić ciążę. To tylko formalność. Nie mam wątpliwości. Nie miałam dwóch okresów, a brzuch zaczął mi rosnać ponad kością łonową. To, w połączeniu z wieloma innymi symptomami, daje mi pewność, że jednak jestem w ciąży.

Kładę rękę na brzuchu i się uśmiecham, pozwalając, by obecność

maleństwa w moim wnętrzu ogrzała moją duszę. Nie obawiam się ani nieznannej przyszłości, ani prawdopodobieństwa, że zostanę pokonana. Zamierzam walczyć o ten cud, nawet bardziej dla tego dziecka, niż będę walczyć o siebie. Muszę jedynie poznać najlepszy sposób, by tego dokonać.

Stawiam kubeczek przy okienku w ścianie, myję ręce i czekam pod gabinetem numer dwa. Kiedy wchodzi doktor Stephens, uśmiecha się do mnie. Mimowolnie trochę mi jej żal. Jako pielęgniarka wiem, jak okropne jest odkrycie, że wieloletni pacjent cierpi z powodu choroby. Lub – co gorsza – umiera. Wiem, że doktor Stephens będzie załamana, gdy dowie się o moim stanie.

– No i ktoś tu wreszcie zaszedł w ciążę? – mówi, odkładając tabletki i podchodząc do mnie, by mnie uściskać. – Cieszę się.

Przełykam łzy, przygryzam drżącą wargę. Kiedy doktor Stephens się odsuwa, natychmiast dostrzega, że coś jest nie tak.

– Co się stało, Leno?

Przełykam kulę blokującą moje gardło i zmuszam się, by spojrzeć jej w oczy.

– W sierpniu zdiagnozowano u mnie czwarte stadium nowotworu żołądka.

– O Boże – szepcze lekarka, zamykając oczy i zwieszając głowę. Następuje długa, znacząca cisza, nim kobieta znów się odzywa: – Jak długo?

– Dziesięć miesięcy, może rok. Oczywiście przy leczeniu, którego odmówiłam. Zgaduję, że dobrze zrobiłam, inaczej bym tu teraz nie siedziała. – Nie muszę się silić na wesoły ton, ponieważ pomimo tragedii w moim życiu jestem szczęśliwa. Bardzo się cieszę z powodu dziecka.

Doktor Stephens unosi głowę i poraża mnie skrzywionym spojrzeniem.

– Chyba nie zamierzasz starać się donosić tego dziecka, co?

Wzdycham, siadając prosto. Spodziewałam się dwóch reakcji. Miałam nadzieję na inną, ale z medycznego punktu widzenia tę bardziej rozumiem.



– Zamierzam. – Lekarka milczy, więc garbię się nieco. – Pragnęłam go, odkąd pamiętam. To błogosławieństwo w tak wielu aspektach. Nie martwię się już tak bardzo o Nate’a. Nie zostanie sam. Nie podda się. A to dobrze, prawda? Proszę mi powiedzieć, że dobrze myślę.

Nie proszę o wsparcie. Proszę jedynie o komentarze, które będą działały na moją korzyść, ponieważ potrzebuję ich w tak bardzo złej sytuacji. Rozpaczliwie. I wiem, że doktor Stephens zdaje sobie z tego sprawę.

Kobieta przygląda mi się przez długą, pełną napięcia chwilę, nim odrobinę unoszą się kąciki jej ust.

– Podejrzewam, że to może się udać, ale, Leno, znasz ryzyko. To znaczy, już ciąża po czterdziestce wiąże się z podwyższonym ryzykiem, a ty w dodatku jesteś chora. Bardzo chora. I twój stan będzie się pogarszał.

– Wiem, ale muszę wytrzymać przynajmniej do dwudziestego ósmego tygodnia, prawda? Bazując na dacie ostatniej miesiączki, to zaledwie jakieś dziewiętnaście, dwadzieścia tygodni. Muszę pozostać zdrowa, by donosić to dziecko do tego czasu, po czym będzie miało szansę na przeżycie, prawda? Prawda? – pytam ponownie, kiedy lekarka milczy.

W końcu wzdycha i mówi:

– Tak, oczywiście to minimum. Pod warunkiem, że reszta ciąży przebiegnie bezproblemowo. Ale, Leno, Boże! – Podnosi głos, pocierając czoło palcami. – To będzie trudne, a podejmując tę decyzję teraz, nie będziesz mogła zmienić zdania. Gdybyś w tej chwili poddała się operacji i rozpoczęła leczenie, miałabyś zapewne jeszcze szansę. Musiałabyś zrobić to natychmiast! Nie mogłabyś tego odkładać, nie na tak długo. Jeśli więc zdecydujesz się nosić to dziecko, skążesz się tym samym na pewną śmierć.

Patrzę w szare oczy doktor Stephens. Wpatruję się w nie, by dostrzegła moje priorytety.

– Wiem, ale właśnie tego chcę. Ponad wszystko. To dziecko... sprawia, że moje życie coś znaczy. Będzie tworzyć piękne rzeczy

dla świata. Będzie moim wkładem w ludzkość. I będzie dla Nate'a. On go potrzebuje. Będzie potrzebował, gdy mnie zabraknie.

– Zatem jesteś zdecydowana? Wydaje mi się, że już się zdecydowałaś.

Przytakuję.

– Tak, zdecydowałam. No chyba że moje ciało nie zdoła utrzymać ciąży i poronię – jękam się, ponieważ słowa te wydają się gorzkie na moim języku. – W innym przypadku zamierzam urodzić to dziecko przed śmiercią. Jestem zdeterminowana.

Doktor Stephens kiwa krótko głową i wstaje.

– Więc zrobmy USG i zobaczymy, jak zaawansowany jest płód.

\*\*\*

Dwie godziny później wychodzę z gabinetu ginekologiczno-położniczego z kartką pełną zaleceń, które muszę przedstawić onkologowi, oraz ze zdjęciem z USG, które potwierdza to, co już wiedziałam, jak i wiek płodu, którego się domyślałam. Spoglądam po raz ostatni na błyszczące zdjęcie i chowam je do kieszeni płaszcza. Kładę na nim ochronnie dłoń, palcami głaszcząc chłodny, śliski papier, jakbym dotykała cząstki dziecka, które się we mnie rozwija.

W końcu mam dowód na to, że to rzeczywistość, a nie sen.

Mam w kieszeni zdjęcie mojego dziewięcioletniego dziecka.

Dla reszty świata może wyglądać jak człowieczek w kształcie fasolki, lecz dla mnie to kształt cudu. Wszystko w moim życiu jest teraz inne, zmieniło się, odkąd wykonałam test ciążowy w Rzymie, i pozostanie takie, dopóki będzie trwało moje życie. A za jakieś trzydzieści lub czterdzieści minut zmieni się również życie mojego męża. Na zawsze, póki będzie oddychał, co mam nadzieję potrwać bardzo, bardzo długo.

Weszłam do gabinetu jako kobieta z niewielką, świeżo odzyskaną nadzieją. Wyszłam z niego jako zdeterminowana kobieta, która ma cel – do życia i walki, do bycia silną, do parcia naprzód.

I dokładnie to zamierzam zrobić.

Jeszcze raz zawierzę się Bogu, który poprzednio mnie zawiódł,

a jeśli przyjdzie po mnie, z chęcią Mu zaufam, wierząc, że w Jego boskich rękach mój mąż i dziecko będą mieli się dobrze.

Wsiadam do samochodu, ale nie ruszam przez chwilę, rozważając ostatnie słowa doktor Stephens.

– Zanim podejmiesz ostateczną decyzję, porozmawiaj z doktor Taffer, Leno. Obiecuj mi, że przynajmniej będziesz udawać, że słuchasz tego, co ci powie.

Uśmiechnęłam się i skinęłam głową, ale lekarka doskonale zdawała sobie sprawę, że mój onkolog nie będzie w stanie przekonać mnie do zmiany zdania. Postanowiłam i już.

Ponownie wyjmuję z kieszeni błyszczące czarno-białe zdjęcie, obraz przyszłości, której miałabym zostać pozbawiona, i dotykam opuszkami palców niewielkiego kształtu.

– Nie poddam się – szepczę, następnie przyciskam papier do warg, nim chowam go z powrotem do kieszeni i jadę do domu.

Unoszenie się bramy garażowej wywołuje napływ nowych emocji. Wiedząc, co się zbliża, moje pierś i gardło ścisną się mocno. Rozmowa życia odbędzie się zaledwie za kilka chwil.

Będzie dobra – w przeciwieństwie do tej złej, o mojej diagnozie.

Jestem podekscytowana.

I zdenerwowana.

Częściowo obawiam się również reakcji męża.

Czy zdenerwuje się, że tak długo mu o tym nie mówiłam? Czy zrozumie powody, dla których się na to zdecydowałam? Czy ucieszy się z powodu dziecka tak bardzo jak ja? Czy będzie się śmiać, płakał czy popatrzy na mnie tępo?

Nie mam pojęcia.

Przez sześć ostatnich tygodni często zastanawiałam się, jak zareaguje, co powie, co zrobi. W mojej głowie był uradowany, troszczył się o mnie każdego dnia ciąży, po czym trzymał noworodka na rękach.

A może to tylko moje pobożne życzenia, chociaż znając Nate'a – myślę, że tak właśnie będzie.

Mimo to nie będę się w stanie uspokoić – nie uspokoję się – póki

się nie przekonam.

Póki Nate nie pozna nowiny.

Teraz gdy nadeszła na to pora, nie mogę się doczekać. Wchodzę prosto do domu, znajduję go w jego gabinecie, biorę za rękę i prowadzę do sypialni.

Oczywiście Nate się uśmiecha, gdy patrzę na niego, jednak z całkiem innego powodu. Uśmiecha się – tym swoim uwodzicielskim uśmiechem, który odbija się w jego oczach – gotowy na seks, co mówi mi, że zupełnie nie spodziewa się wiadomości.

– O cokolwiek chodzi, wiesz przecież, że jestem gotów zostać twoim niewolnikiem. Czyń swoją powinność! – droczy się, obejmując mnie w talii.

Śmieję się nerwowo, kładąc dłonie na jego muskularnych ramionach.

– Nate – zaczynam. Milknę, gdy nieruchomieje. Jego uśmiech blednie, na twarzy maluje się troska. Mąż natychmiast spina się pod wpływem mojej postawy lub tonu głosu.

– O co chodzi? – pyta z lękiem. – Co się stało?

Uśmiecham się, pragnąc go uspokoić.

– Nic. Po prostu... chodź i usiądź.

Odsuwam się od niego, wiodę palcami po jego rękę aż do dłoni, za którą go biorę. Prowadzę go do kanapy umiejscowionej przed kominkiem w naszej sypialni. Siadam i zmuszam go, by również zajął miejsce. Niechętnie wykonuje polecenie, ale w każdym ruchu jego sztywnych mięśni widać lęk.

Uświadamiam sobie błąd, który popełniłam. Ostatnim razem, gdy wzięłam go na „poważną rozmowę”, ogłosiłam, że umieram.

Celowo uśmiecham się zatem szeroko, by wiedział, że teraz to nic złego.

Przesuwając spojrzeniem po jego twarzy – twarzy, która po latach jest jeszcze bardziej atrakcyjna, widzę, jak porusza się jego grdyka, gdy mąż przelęka ślinę. Mój uśmiech nie działa. Nate usilnie stara się nie okazać mi swojego niepokoju. Kocham go za to

jeszcze bardziej, ale mam okropne wyrzuty sumienia za zdenerwowanie go.

– Nie zamierzam się wykręcać. Proszę jedynie, byś dał mi wyjaśnić, kiedy usłyszysz już, o co chodzi, dobra?

– Dobra.

Biorę głęboki wdech, zatrzymując powietrze w płucach z nadzieją, że utrzyma mnie to w pozycji pionowej, jeśli zawiedzie mnie siła.

– Jestem w ciąży.

W każdej innej sytuacji powódź emocji na twarzy Nate'a byłaby komiczna. Chodzi jednak o to, że to nie jest zabawna chwila.

Przyglądam się, jak zmieniają się jego uczucia, jedno po drugim odmalowuje się na jego twarzy, gdy umysł przetwarza informację.

Mogę jedynie czekać.

Kiedy jestem pewna, że pierwszy szok minął i mąż zrozumiał moje słowa, dodaję spokojnie:

– Po diagnozie przestałam się przejmować antykoncepcją. Przecież mieliśmy tak wielkie problemy z poczęciem dziecka, że nie sądziłam, by była konieczna, więc w ogóle przestałam brać ją pod uwagę. Ale... zgaduję, że trzeba było. Początkowo nie miałam pewności, co się dzieje. Tego ranka, gdy wymiotowałam w Rzymie, wydawało mi się, że to nasilenie choroby, a nie... nie to. – Bez zastanowienia kładę rękę na brzuchu. Nate spogląda na moją dłoń i nie spuszcza jej z oczu przez dłuższą chwilę. Widzę, że wyraz jego twarzy się zmienia, i dzięki temu wiem. Mam już pewność, jak zareaguje mój mąż.

Czuję, jak jego miłość uderza we mnie niczym fala. Czuję wiatr na policzku, gdy pędzi w moją stronę.

Nim mam szansę coś powiedzieć, Nate podrywa się z kanapy, klęka przede mną i kładzie ręce na moim brzuchu. Patrzy intensywnie, jakby mógł wejrzeć pod skórę i mięśnie, by dostrzec rozwijający się płód.

– Dobry Boże – szepcze, kładąc czoło na moich kolanach. Jedną rękę wsuwam w jego włosy, drugą zakrywam sobie usta. Nie chcę

płakać, odbierać mężowi tej cudownej chwili, więc nie ruszam się i nic nie mówię, aż unosi głowę i patrzy na mnie zamglonymi oczami.

– Nie ruszaj się – mówię stanowczo. Chcę nagrać ten moment.

Dla mnie.

Dla Nate’a.

Dla naszego dziecka.

Wyciągam komórkę z kieszeni. Włączam aparat, zmieniam perspektywę, aż na ekranie ukazują się nasze twarze. Przez ostatnie sześć tygodni robiłam to wielokrotnie, nie potrafię się powstrzymać od rozmowy z naszym dzieckiem, od nagrywania dla niej lub niego wiadomości, które pewnego dnia obejrzy.

Włączam nagrywanie.

Mówię szczęśliwa do obiektywu:

– Witaj, moje maleństwo! Dziś potwierdziliśmy twoje istnienie. Istnienie naszego dziecka. Jesteś prawdziwe. Właśnie powiedziałam o tobie twojemu tacie. Bardzo się cieszy. Wiem, że nie docenisz tej chwili, póki będziesz małe, ale chciałam, byś zobaczyło, co zrobił, gdy dowiedział się, że zostanie ojcem.

Obracam telefon, by pokazać męża – ekran wypełnia jego zapierającą dech w piersi twarz, która na filmie jest równie promienna jak w rzeczywistości.

– Jesteś cudem – szepcze Nate, nie umiając powstrzymać drżenia w głosie. Patrzy na mnie z miłością, którą dzielimy od lat, i szepcze: – Dziękuję.

Nie musi wyjaśniać, co ma na myśli.

Wiem.

Wyłączam nagranie, a mój ukochany wstaje z kolan. Czule mnie obejmuje i wtula twarz w moją szyję.

W ciszy pokoju słyszę jego miękkie łyzy, piękno jego szczęścia.

## ROZDZIAŁ 12

### *LIFE IS BEAUTIFUL*

LENA

– Wesółych świąt! – To pierwsze, co słyszę, gdy obracam się na plecy. Zanim mam szansę odpowiedzieć, dłoń Nate’a ląduje na moim brzuchu w czułym geście, który nieustannie wykonuje. Czuję, że mąż odsłania kołdrę i unosi mi koszulę nocną, by go pocałować. – Wesółych świąt, maleństwo – mówi cicho do naszego nienarodzonego dziecka.

Robił to tak często w ciągu ostatnich trzydziestu godzin, że na samą myśl ściska mi się gardło. Gdybym żyła nawet i tysiąc lat, zawsze porażałaby mnie jego słodycz. Zgaduję, że nawet jeśli nie po drodze mi z Bogiem, muszę podziękować Mu za Nate’a.

Mąż z powrotem nakrywa mnie kołdrą, mości się na poduszce obok, opierając głowę na ręce. Przygotowuje się do zadania pierwszego z wielu pytań.

– Dlaczego czułaś, że nie możesz mi powiedzieć, gdy się dowiedziałaś? A w ogóle, kiedy to odkryłaś?

Nie jest zły, po prostu szuka odpowiedzi na nurtujące go pytania. W naszym związku nie ma już miejsca na złość. Kiedy martwiłam się o jego potencjalną reakcję, powinnam była o tym pamiętać. Nasz czas został ograniczony. Nate nie chce go tracić na negatywne emocje. Przekonany jest tak jak ja do „chwalebnych chwil”. Jest też po prostu wspaniałym człowiekiem. Właśnie taki jest Nate Grant.

Troskliwy.

Cierpliwy.

Cudowny.

– Nie uważałam, że nie mogę ci powiedzieć. Choć wiedziałam, że

zmieni cię to tak, jak zmieniło mnie, więc obawiałam się, że jeśli nie uda mi się donosić ciąży... – Wzdycham, zamykając oczy z powodu bolesnych myśli. – Nie mogłam ci tego zrobić. I tak masz mnie stracić, nie chciałam dać ci dziecka na kilka dni, by i je zaraz odebrać.

– Boże, Leno – mamrocze, przysuwając się, by pocałować mnie w skroń. – Zostałaś z tym sama na wiele tygodni, ponieważ martwiłaś się o mnie. – To nie oskarżenie ani pytanie, ale zwykłe stwierdzenie. Oświadczenie zrozumienia, ponieważ mąż zrobiłby dla mnie to samo.

– Tak. I powtórzyłabym to bez wahania, wiedząc, że zaoszczędzi ci to choć nanosekundy bólu. – Próbuję zapanować nad drżącym podbródkiem, by uspokoić duszę, ale zapora już pęka, grożąc powodzią. – Nate... martwiłam się, że zostaniesz sam. Bałam się o ciebie. Wiem, co odpowiesz, jeśli każę ci znaleźć sobie kogoś i żyć dalej. Zdaję sobie sprawę, że prawdopodobnie nie powinnam tracić czasu na tę rozmowę, ale nie mogłam przestać się martwić. O wszystko, o ciebie. Kiedy zobaczyłam te dwie różowe kreski... poczułam się, jakby wszystkie moje niewypowiedziane modlitwy zostały wysłuchane. Cóż, większość z nich. – Pociągam nosem, parszając gorzkim śmiechem. Prośby o wyzdrowienie wydają się w tej sytuacji przesadą. Właśnie dlatego będę usatysfakcjonowana, mogąc urodzić to dziecko. Czuję, że będzie to wystarczające.

Musi być.

Nate jedynie kiwa głową. Wiem, że nie jest zaskoczony. Nie tak naprawdę. Znamy się za to zbyt dobrze. Wie, jak bardzo go kocham. Wie, co bym zrobiła, by go chronić. A ja wiem, że on zrobiłby dla mnie to samo. Właśnie tacy jesteśmy. Tacy jesteśmy dla siebie.

– Rozważałaś w ogóle inne alternatywy?

Zdaję sobie sprawę, że doskonale zna odpowiedź. Mimo to nie mogę zdecydować, czy w jego głosie dźwięczy nadzieja czy zwykła ciekawość.

– Ani przez chwilę. Dlaczego pytasz? – Nate wzrusza ramionami,



gdy uważnie mu się przyglądam. Kiedy milczy, naciskam: – Nate, dlaczego o to pytasz?

– Zastanawiam się nad tym, czy nie chciałabyś dłużej żyć. Spróbować leczenia. Później moglibyśmy starać się o dziecko.

Obracam się na bok, kładę rękę na trzydniowym zarostie męża.

– To nie tak, że przed dzieckiem nie chciałam żyć. Gdybym mogła, zostałabym z tobą na zawsze, ale to już niemożliwe. Nie chciałam narażać się na przegraną walkę, ponieważ jestem pacjentem w stanie terminalnym. Nie chciałam, byś cierpiał, nadal tego nie chcę. Nate, są rzeczy gorsze niż śmierć, nawet dla tych, którzy nie są chorzy, dla tych, którzy muszą na to patrzeć, którzy przetrwają i nigdy nie pozbędą się wspomnień. A ja nie chciałam tego dla ciebie. Za bardzo cię kocham.

Kiwa głową, rozumiejąc, ale nie chce spojrzeć mi w oczy.

– Więc postanowione?

– Nic się nie zmieniło – wyjaśniam. – Wybrałam ciebie, twoje szczęście i twoje życie ponad próby zachowania własnego. Cena jest zbyt wysoka, Nate. Cena jest po prostu za wysoka.

Nie chcę, by mąż myślał, że kocham to dziecko bardziej niż jego.

– Po prostu... bez ciebie nie będzie tak samo – wyjaśnia drżącym głosem.

Serce pęka mi jak suche drewno, na które ktoś nadepnął.

– Wiem. Wiem, ale to jedyny sposób, by częśćka mnie mogła tu pozostać. Będzie z tobą do końca twoich dni. W naszym dziecku.

Przesuwam się na łóżku, kładę policzek na piersi męża, pozwalając płynąć łzom, które moczą jego skórę.

Jego następne słowa są pełne emocji, przygryzam więc dolną wargę, by powstrzymać szloch.

– Mam nadzieję, że to dziewczynka. I że będzie do ciebie podobna. Nie potrafię znieść myśli o życiu bez ciebie, Leno. Nie... nie wiem jak... – urywa nagle, więc obejmuję go i mocno ściskam. Tulimy się, pocieszając, jak tylko możemy, oplakując przyszłość, która nie będzie nam dana.

Leżymy wtuleni w siebie przez niemal godzinę, żadne nie waży

się ruszyć. To Nate, który jest zawsze silniejszy, otrząsa się pierwszy.

– Chyba powinniśmy wstać, jeśli mamy przynieść dziś to drzewko.

– Drzewko? Jakie drzewko?

Nate uwalnia się z moich objęć, siada i uśmiecha się przez ramię.

– Choinkę, oczywiście. Będziemy robić wszystko, co możliwe z tym dzieckiem. I będziemy to nagrywać.

Również siadam.

– Tak? – Planowałam nagrywać filmiki, by podzielić się z dzieckiem wszystkim, czym nie zdążę, ale to... to wspaniały pomysł! Nasz potomek będzie w stanie zobaczyć, jak wyglądały nasze święta, weekendy i cenne chwile, gdy miał jeszcze dwoje rodziców. Ona lub on będzie w stanie zobaczyć, jak był kochany przez matkę, która zmarła.

– Tak. Ubierzemy choinkę, śpiewając przy tym głupie piosenki. Nagramy wszystko, stworzymy tonę materiału, którym będę mógł później zawstydząć nasze dziecko. Każdy odpowiedzialny, kochający rodzic zrobiłby to samo, prawda?

– Oczywiście – odpowiadam natychmiast, uśmiechając się z dumą. To niewielkie zwycięstwo, ale jednak. Wezmę wszystko, co w tym momencie chce mi dać los.

To właśnie Nate, którego kocham. To Nate, którego zawsze będę kochać, póki śmierć nas nie rozłączy, a nawet później. Będzie wtedy pełen życia za nas oboje, będzie wystarczającym rodzicem i opiekunem dla naszego dziecka.

Nigdy w niego nie wątpiłam. Już od chwili, gdy zaczęłam podejrzewać, że jestem w ciąży, wiedziałam, że mój mąż będzie najlepszym ojcem. Tak jak jest najlepszym mężem. Nate nie potrafi zawodzić. Nie ma tego we krwi.

To – ten moment, ten dzień, ten mężczyzna – zapewnienie, że podjęłam właściwą decyzję, czekając, by mu powiedzieć. Niczego to nie zepsuło, a gdyby sprawy potoczyły się inaczej, oszczędziłoby mu to wiele bólu. Podejrzewałam, że tak będzie, ale teraz widzę

wyraźnie, że dobrze postąpiłam. I się cieszę. Nie chciałabym dawać mu niczego za wyjątkiem szczęścia.

Słońce stoi wysoko na niebie do czasu, aż opadamy na kanapę, podziwiając migoczące światełka i efekt naszej pracy.

– Stań na chwilę przed choinką – prosi Nate, biorąc do ręki mój telefon.

Bez wahania wykonuję polecenie. Mąż włącza kamerę i kieruje komórkę na mnie, naciskając nagrywanie, gdy zajmuję odpowiednią pozycję.

– Witamy w pierwsze święta, potomku Grantów – zaczyna wesoło. Mówi do naszego dziecka, ale obserwuje mnie na ekranie. Widzę to w jego oczach i czuję. Skupia się na mnie. Zawsze na mnie. – Tu twój tata. To dzień Bożego Narodzenia, a ty wciąż jesteś fasolką w brzuchu mamy. – Uśmiecha się, gdy głaszczę się po talii. – Chciałem ci pokazać, jaka jest piękna, jak cudowne jest życie z nią. Widzisz, jak światełka połyskują nieco jaśniej, jak choinka stoi nieco prościej, gdy mama jest obok? To jej zasługa. Sprawia, że wszystko staje się lepsze, mam więc nadzieję, że odziedziczysz po niej to, co najlepsze. Kocham ją. I oboje kochamy ciebie. Wesołych świąt.

Nate patrzy na mnie ponad ekranem. Spogląda mi w oczy, dzięki czemu uśmiecham się do niego. Kiwa głową, zachęcając, bym i ja powiedziała coś do dziecka.

Odchrząkuję i uśmiecham się szerzej.

– Witaj, piękne dziecko. Wszystko bym dała, by móc tulić cię teraz, by siedzieć z tobą pod tą choinką. Cieszyć się jej światłami i ogniem kominka. Z twoim tatą u boku. Jesteś moim najlepszym prezentem świątecznym. Chcę, byś wiedziało, że dzięki tobie ten rok, ten bardzo trudny rok, stał się dla mnie najlepszy. Dzięki tobie jest znaczący. Codziennie całuję ode mnie tatę, który każdego dnia będzie całować cię ode mnie. Kocham cię. Oboje cię kochamy. Bardzo mocno. Wesołych świąt.

## NATE

Zatrzymuję nagrywanie. Opuszczam komórkę, zastanawiając się, czy kiedykolwiek będę w stanie obejrzeć te filmy bez poczucia ogromnej pustki w sercu.

Bez brakującej jego części, która nigdy nie powróci.

## ROZDZIAŁ 13

### *I'D DIE FOR YOU*

LENA

Pomimo świąt, jakie obchodzimy z Nate'em, jestem niespokojna. Znam męża na tyle dobrze, by wiedzieć, że czuje się tak samo. Pod całą tą wesołością i czułością jest zdenerwowany. Wiem o tym. Nie wydaje mi się, byśmy mogli w pełni cieszyć się dzieckiem aż do ponownej wizyty u doktor Taffer.

A przypada ona dzisiaj.

Choć przekazałam mężowi słowo w słowo, czego dowiedziałam się od doktor Stephens, chce iść dziś ze mną do onkologa. Całkowicie to rozumiem. Nie odwiedziłabym ginekologa samotnie, gdybym nie chciała chronić Nate'a, aż poznam kilka odpowiedzi. W tej chwili nie ma mowy, by puścił mnie samą, bez względu na to, czy przedstawione nam zostaną dobre czy złe wieści. Jesteśmy w tym stuprocentowo razem.

W drodze do onkologa panuje napięta atmosfera, nie odzywamy się za wiele.

Z profesjonalnego punktu widzenia mam wiele pytań do zadania, ale z osobistego – interesuje mnie naprawdę tylko jedno. Wiem, że dręczy ono również Nate'a.

Właśnie przez nie panuje między nami tak wielkie napięcie.

*Czy zdołam donosić ciążę?*

To najtrudniejsze pytanie, na które odpowiedzi mógłby udzielić nam sam Bóg, ale zamierzam zawierzyć lekarzom, by uspokoić własny umysł.

Doktor Stephens będzie konsultowała się z doktor Taffer, aby wspólnie przeprowadzić mnie przez tę ciążę. Zdaję sobie jednak sprawę, że biorąc pod uwagę święta i niedługi czas od konsultacji,

kobiety mogły nie wymienić się notatkami, jest też wysoce prawdopodobne, że nie rozmawiały przez telefon o wynikach moich badań. Wiedziałabym, gdyby do tego doszło. Doktor Taffer zaraz by do mnie zadzwoniła. Skoro telefon milczał, zgaduję, że dopiero przy dzisiejszej wizycie lekarka po raz pierwszy usłyszy o ciąży.

Jej ekspertyza będzie szalenie ważna. Jedyne onkolog może przewidzieć, jak nowotwór wpłynie na moje ciało, co przełoży się na wpływ na dziecko. Właśnie o to najbardziej się martwię. Chcę od niej dziś usłyszeć, że to możliwe. Że moje dziecko przetrwa.

Nate bierze mnie za rękę, gdy siedzimy obok siebie w niewielkim gabinecie w centrum leczenia nowotworów. Ściska ją mocniej niż normalnie. Wiem, że nawet nie jest tego świadomy. To tylko zewnętrzna oznaka przerażenia, ponieważ nie potrafi zapanować nad sytuacją. Jestem przekonana, że to prawda, ponieważ czuję się tak samo.

Biorąc się w garść, uśmiecham się sztywno do doktor Taffer, gdy lekarka wchodzi do gabinetu.

– Jak było w Europie? Jak się czujesz? – pyta od progu, klepiąc pokryty papierem stół do badań, zachęcając, bym na niego weszła.

Nie ruszam się z miejsca, bo wiem, że czeka nas długa rozmowa, zanim będziemy mogli przejść do badania, więc nie tracę czasu i przechodzę od razu do sedna sprawy.

– Europa jest wspaniała. W połowie wycieczki miałam mdłości, ale nie były związane z rakiem.

Lheanne Taffer marszczy przez chwilę brwi, nim podjeżdża do mnie na swoim krześle.

– Nie? Zjadłaś coś nieświeżego?

– Nie. Jestem w ciąży.

Jedyną oznaką, że kobieta w ogóle mnie słyszała, jest dwusekundowy wytrzeszcz oczu, nim znów potrafi zapanować nad wyrazem swojej twarzy.

– Jesteś pewna? Byłaś u ginekologa?

– Tak. Ma podesłać kopie wszystkich badań. Prawdopodobnie też zadzwoni. – Ręka mi drży, więc Nate lekko ją ściska, dając

ukojenie, zapewniając, że wszystko będzie dobrze.

– I?

– Jestem w dziewiątym tygodniu. Niemal w dziesiątym.

– Potwierdzono to przez USG?

– Tak. – Uśmiecham się mimowolnie. Dziecko... tylko ono się liczy. – Choć ginekolog jest pełna obaw, ma zamiar pomóc mi przejść przez tę ciążę.

Doktor Taffer kiwa głową.

– Tego właśnie chcesz?

– Tak – potwierdzam stanowczo, zdecydowanie i niezaprzeczalnie.

– A ty się z tym zgadzasz? – Poraża Nate'a niemalże oskarżycielskim wzrokiem.

Mąż kiwa głową.

– Tak. Jestem z nią w tym, czego pragnie, i zrobię, co w mojej mocy, by jej to dać.

Lekarka odsuwa się od nas, odchrząkuje, próbując zebrać myśli.

– Zdajesz sobie sprawę, że to drastycznie ograniczy twoje możliwości.

– Tak.

– Jak dobrze to przemyślałaś?

– Bardzo dobrze.

– Rozważałaś podjęcie leczenia w tej chwili, a próbę zajścia w ciążę później?

– Obie dobrze wiemy, co leczenie zrobi z moim ciałem. Już wcześniej, przed zdiagnozowaniem nowotworu, miałam problemy z poczęciem dziecka. Moje szanse na to spadną drastycznie po operacji, po której nastąpi niekończąca się chemioterapia i radiacja. A i tak istnieje niewielka szansa, bym przeżyła po tym choćby dwa lata. Nie, nie rozważałam tej możliwości, ponieważ to żadne rozwiązanie. Przynajmniej dla mnie. To dziecko jest darem. Cudem. I zrobię wszystko, co w mojej mocy, by je urodzić.

Nastaje długa, brzemienna, niepokojąca chwila ciszy, nim odzywa się lekarka:

– Wiesz, że nie będziemy w stanie monitorować rozprzestrzeniania się choroby. Każdy skuteczny test i lek, którego do tego używamy, jest w ciąży przeciwwskazany. Tomografia komputerowa, pozytonowa tomografia emisyjna, rezonans magnetyczny z kontrastem. Nie mówiąc o lekach... Każdy, który przychodzi mi do głowy...

– Tak, wiem.

– I ból. Nie będziemy mogli mu zapobiec, Leno. A przyjdzie.

Czuję, że Nate się wzdryga. Nie przekazałam mu szczegółów swoich rozważań, ale myślałam nad tym. Znam konsekwencje swojej decyzji. Nie powiedziałam jednak mężowi o nich wszystkich. Nie miałam pewności, czy byłby tak entuzjastycznie nastawiony do zatrzymania dziecka, gdyby wiedział, jak wielkie jest to z mojej strony poświęcenie. Był to kolejny powód, dla którego chciałam trzymać to od niego z dala jak najdłużej się dało. Żeby nie musiał się martwić. Żeby nie wpływał na niego mój osąd. W tej chwili wszystko to usłyszy.

Ze szczegółami.

– Wiem, że przyjdzie ból, ale jestem gotowa znieść wszystko, co będzie trzeba, cierpieć, jeśli zajdzie taka konieczność, byle tylko sprowadzić dziecko na ten świat.

– Leno, istnieje inne ryzyko, którego być może nie brałaś pod uwagę. Natura twojej choroby może zagrażać również dziecku. Komórki rakowe znajdują się w twoim układzie limfatycznym i nieuchronnie się rozprzestrzeniają.

– Jestem tego świadoma, ale potrzebuję jedynie dwudziestu ośmiu tygodni. W sumie. W tej chwili to mniej niż osiemnaście.

– Nowotwór pogorszy wchłanianie substancji odżywczych, co skutkuje złym odżywieniem płodu. Myślałaś o tym?

– Tak, ale wiem, że organizm można odżywiać również na inne sposoby.

– Pamiętaj, że nie będzie można podać narkozy do bezpośredniego założenia sondy do żołądka.

– Nie, mogę mieć przecież rurkę wsadzoną przez nos. Wiem, że



nie jest to idealne rozwiązanie, ale w razie czego będziemy mogli włączyć odżywianie pozajelitowe.

Doktor Taffer zaciska usta. Widzi już, jaka jestem zdeterminowana, by donosić tę ciążę.

– Skoro o wszystkim pomyślałaś, dlaczego tu przyszłaś? Nie potrzebny ci onkolog. Zajmuję się leczeniem nowotworów, a ty nie chcesz leczenia. Nie ma nic, co mogłabym dla ciebie zrobić.

Jej głos jest ostry i mocno we mnie uderza. Żołądek ściska mi się z nerwów.

– Lheanne. – Wkładam w jej imię tyle stanowczości, ile tylko potrafię. Lheanne Taffer stała się moją przyjaciółką, wiem więc, że jej ostre podejście bierze się z troski. Niczego więcej. Jestem pewna, że jest zbyt profesjonalna, by mówić do innych pacjentów w ten sam sposób. – Wciąż potrzebuję twojej pomocy. Potrzebuję twojego doświadczenia, by wyprzedzić komplikacje. Zająć się wątrobą. Wiemy, że rak już ją dopadł. Jak to wpłynie na dziecko? Dam radę to znieść? Wciąż potrzebna mi twoja pomoc, tylko w trochę innej formie. Nie potrzebuję jej dla siebie. Nie chcę, byś pomogła mi przetrwać. Pragnę jedynie, żebyś pomogła donosić mi to dziecko. Tak długo, jak będzie to możliwe.

Puszczam rękę Nate'a, przesuwam się na skraj krzesła i ocieram łzy, które zdołały się wymknąć.

– Umarłabym dla tego dziecka. Aby dać mu życie, z chęcią oddałabym swoje. Proszę cię o pomoc w przetrwaniu tak długo, jak to będzie możliwe. Pragnę tego dziecka. Najbardziej na świecie pragnę, by żyło. Proszę, pomóż mi ofiarować ten dar mężowi. Błagam.

Po moim rozpaczliwym wyznaniu słyszę, jak Nate wciąga gwałtownie powietrze. Patrzą na niego w porę, by zauważyć szok i ból na jego twarzy, nim zwiesza głowę. Przyglądam się, jak patrzy na własne palce, którymi nerwowo przebiera. Koncentruje się na nich, jakby stanowiły klucz do tajemnic wszechświata. Lub były odpowiedziami na jego pytania.

Ale nie tego w nich szuka.

Znam mojego Nate'a.

Potrzebuje czasu, by się pozbierać. Dla mnie. Dla mojego dobra. Nie spodziewał się czegoś takiego, wiadomości uderzyły w niego jak cysterna z benzyną. Nie chce, bym widziała, jak go to niszczy.

Biorę go za rękę. Bo wiem. Nawet jeśli próbuje to przede mną ukryć, nawet jeśli stara się mnie chronić, wiem.

Wciąż gładzi kciukiem grzbiet mojej dłoni. W mojej podświadomości niewidzialny zegar odlicza mijające sekundy.

Jedna...

Druga...

Trzecia...

Powoli odlicza szóstą, gdy Nate całuje mnie w knykcie, następnie siada prosto i w kojącym geście zarzuca mi rękę na ramiona. Okazując wsparcie. Solidarność.

Tym właśnie dla mnie jest.

Tym właśnie jesteśmy dla siebie nawzajem.

Siłą.

Zaangażowaniem.

Niegasnącą miłością.

Spoglądam na lekarkę. Widzę subtelne emocje malujące się na jej twarzy: rozdrażnienie, współczucie, troskę i w końcu akceptację.

Akceptując moją decyzję, kobieta wzdycha zrezygnowana.

– Nie będzie łatwo, wiesz o tym, prawda?

Parskam śmiechem, pociągając jednocześnie nosem i ocierając policzki. Przysuwam się również do Nate'a, by się o niego oprzeć. Nagle jestem wyczerpana.

– Dokładnie to samo powiedziała doktor Stephens.

– Miała rację. Choć będzie to niełatwe, nie znaczy, że niemożliwe. Kobiety z zaawansowanymi chorobami wątroby potrafią donosić ciążę. Nie umiem wyobrazić sobie sprawy z ginekologicznego punktu widzenia, ale jeśli tego właśnie pragniesz... Zrobię, co w mojej mocy, by zapanować nad twoimi dolegliwościami. I postaram się zapewnić ci komfort. – Doktor Taffer zaczyna się zastanawiać. Znam to spojrzenie. – Powinniśmy to wszystko

skonsultować z internistą, sprawdzić, które leki można bezpiecznie podawać. Znam też specjalistę potrafiącego uśmierzać ból za pomocą akupunktury. Wiem, że miał do czynienia z ciężarnymi. Być może poleci zioła, by złagodzić inne schorzenia. Dam ci do niego numer. Możesz poszukać naturalnych sposobów walki z mdłościami. Słyszałam, że imbir jest dobry – podpowiada kilka innych przydatnych rzeczy, dzięki czemu wzdycham z ulgą.

Powoli zaczyna wracać mi optymizm. Kiedy doktor Taffer kończy listę ścieżek, którymi możemy pójść, korzystam z okazji i pytam. Nurtuje mnie jeszcze jedna sprawa. Przeszuję przed nią z nogi na nogę jak dziecko przed Wielkim Kanionem. To niezgłębiona przepaść, a przynajmniej tak mi się wydaje.

– Podsumowując, czy widzisz powód, dla którego powinnam przerwać ciążę? Dopóki będę starała się pozostać w jak najlepszym zdrowiu? To znaczy na tyle, na ile może być zdrowy pacjent chorujący na terminalną postać nowotworu.

Doktor Taffer zamiera, tak jak i moje serce. Czuję bezruch w piersi, jakby życie wstrzymało oddech, czekając na odpowiedź. Wisząc na krawędzi implozji. Całkowitej zagłady.

– Nie, nie widzę w tej chwili przeciwwskazań do ciąży. Oczywiście pod warunkiem, że twój stan nie pogorszy się zbyt gwałtownie, być może uda mi się udzielić ci niewielkiej pomocy w tym zakresie. Musisz też wiedzieć, że może wydarzyć się wiele innych rzeczy, zupełnie nieprzewidywalnych zdarzeń, spraw, na które nie będzie miało wpływu leczenie. Albo nie da się ich zdiagnozować, póki nie wystąpią problemy. Jeśli nie będę w stanie we właściwy sposób monitorować postępu choroby i twojego zdrowia... – Unosi ręce w geście poddania.

– Wiem. Nie proszę o cud. Ani o przyrzeczenie. Zostawiam to w rękach Boga.

Doktor Taffer unosi brwi. W tak wielu rozmowach po diagnozie nigdy nie padły słowa „modlitwa”, „cud”, „siła wyższa”, coś, ku czemu wielu pacjentów natychmiast się zwraca, gdy otrzymuje tak tragiczne wieści.

Lheanne uśmiecha się krzywo.

– Mam nadzieję, że Jego ręce są lepsze niż moje.

– Ja też – przyznaję, powracając do nadziei odzyskanej w Rzymie. – Ja też.

\*\*\*

Wychodząc z gabinetu doktor Taffer, czuję się bardziej zachęcona, niż to sobie wyobrażałam. Po raz pierwszy, odkąd usłyszałam śmiertelny wyrok, czuję, jakby pozostała mi reszta życia miała coś znaczyć. Nie chodzi już o pozostawienie mężowi dobrych wspomnień, gdy będziemy czekać, aż rak pochłonie moje ciało, ale o walkę o przetrwanie dla naszego nienarodzonego dziecka.

Wsiadamy do samochodu, w którym Nate obraca się do mnie cały zdenerwowany. Podekscytowana i ucieszona zapomniałam, że zrzuciłam na niego tak wielki ciężar, czego jeszcze nie skomentował.

– Wiedziałaś o tym wszystkim i mi nie powiedziałaś? – pyta oskarżająco.

– O czym wiedziałam? – dociekam, opóźniając nieuniknione.

Serce wali mi jak młotem. Czuję pełną moc szoku męża, jego nerwowość uderza we mnie falami.

– O wszystkich powodach, dla których nie jest to dobry pomysł.

– Nie znam żadnych powodów, dla których to nie jest dobry pomysł.

– Leno, będziesz cierpieć. Strasznie! – Słowa te wybuchają w ciszy samochodu, odbijając się od szyb i przechodząc przeze mnie. Jego ból, niedowierzanie i załamanie są namacalne. Słyszę je jak niskie buczenie w powietrzu, przez co włoski na rękach stają mi dęba.

– I tak mam cierpieć, Nate – przypominam mu cicho. Muszę zwalczyć jego ogień spokojem, stonowaniem i racjonalnością.

– Nie zdecydowałaś się na leczenie, ponieważ nie chciałaś, bym to z tobą przeżywał, więc wybrałaś śmierć. Ale to? Mam patrzeć, jak przechodzisz dla mnie przez piekło agonii? Aby dać mi to dziecko?

– Tak, Nate. Zrobię dla ciebie wszystko. I wszystko dla tego dziecka. Wszystko dla tej rodziny. Kocham cię. Mam tylko ciebie. Tylko ciebie będę mieć, ponieważ moje „zawsze” niemal się kończy. A gdy mój czas upłynie, nie zostaniesz sam. Będziesz miał dziecko, częśćkę nas obojga, by ją kochać. Dla mnie to warte każdego poświęcenia. Nie ma nic, czego bym dla ciebie nie zrobiła. Niczego.

– Jezus, Leno! Jak mam... Jak mam z tym żyć? Jak mam żyć z samym sobą, wiedząc, co dla mnie zrobiłaś?

– Żyj szczęśliwie. W pełni. Z naszym dzieckiem. I jak ktoś, kto jest kochany. Bez wątpliwości i granic. Ponieważ tak właśnie cię kocham.

Nate jęczy żałośnie, kładąc głowę na zagłówek i zamykając oczy.

– A do tego czasu? Co niby mam zrobić? Każdego dnia. Każdej cholernej... – urywa, zaciskając usta, gdy napływa do niego gniew.

– Powinieneś mnie kochać. Jak ja kocham ciebie. Powinieneś mnie kochać do samego końca, po czym kochać nasze dziecko aż do końca swoich dni.

Widzę, jak unosi się jego pierś, gdy oddycha głęboko, po czym wypuszcza powietrze. Sekundy zmieniają się w minuty. Pięć. Dziesięć. Piętnaście. Znam swojego męża. Wiem, że to dla niego trudne. Bardzo trudne. Nie podejmuje decyzji pochwycenie. Ani pośpieszenie. Zatem gdy w końcu zwiesza głowę, robiąc to tak powoli, że ledwie widać ten ruch, wiem, że zdecydował. Ból w jego zielonych oczach podpowiada mi, że czeka go w tym jeszcze długa droga. Może nigdy nie dotrze do celu.

Nie całkowicie.

Powtarzam więc, biorąc go za rękę, jakby moje serce przenikało przestrzeń między nami:

– Kochaj mnie, Nate. Potrzebuję jedynie twojej miłości. Tylko tego mi trzeba. To się nie zmieniło. Tylko to powinieneś robić.

Sekundy ciągną się w nieskończoność. Zastanawiam się, czy nie proszę przypadkiem o zbyt wiele, czy w końcu dotarłam do jego granic.

Ale nie. Widzę to po sposobie, w jaki Nate z determinacją zaciska

usta. Zauważam to w chwili, w której wraca jego siła do walki.

Grdyka podskakuje, gdy Nate przełyka ślinę i kiwa głową.

– Jeśli tego ode mnie potrzebujesz, dam ci to – odpowiada stanowczo. – Będę cię kochał. Każdej minuty, każdego dnia. Będę cię kochał, jakbym się nie bał, że cię stracę. Po czym jeszcze mocniej będę kochał nasze dziecko. Ale musisz wiedzieć, Leno Grant, że nie będzie innej po tobie. Umrę, tęskniąc za tobą, za cząstką mojej istoty. Nic, co mogłabyś zrobić czy mi dać, tego nie zmieni.

Z kącika jego oka wymyka się pojedyncza łza, która następnie spływa po jego ogolonym policzku. To jedyna łza, którą się ze mną dzieli. Jedyny obraz bólu, jaki odczuwa. Nie potrafi jej powstrzymać, nie umie sprawić, bym jej nie dostrzegła.

I łamie mi to serce.

– Chciałabym, by wszystko potoczyło się inaczej – mamrocę łamiącym się głosem i chwytam opuszką palca słońną kroplę, by podsunąć ją sobie do ust. Całuję czubek palca, smakując jego cierpienie, przyjmując ją do swojego ciała, wielbiąc nawet te bolesne chwile z człowiekiem, którego kocham bardziej niż własne ciało.

– Ja też, kochanie. Ja też.

Siedzimy w samochodzie na parkingu, patrząc sobie w oczy przez czas, który wydaje się godziną, nim Nate w końcu się obraca i odpala samochód.

Nie potrafię opisać, co się między nami wydarzyło, mogę jedynie powiedzieć, że dzieliliśmy właśnie coś głębokiego, coś wykraczającego poza słowa.

Coś, co – mam nadzieję – pokona śmierć.

## ROZDZIAŁ 14

### *LETTER TO A FRIEND*

LENA

Wiedziałam, że po powrocie z Europy będę musiała powiedzieć Nissie o mojej chorobie. Wiedziałam, że nie uda mi się tego przeciągać. Jest zarówno moją najlepszą przyjaciółką, jak i sąsiadką. Nawet jeśli chciałabym ukryć przed nią mój stan, choć nigdy nie miałam takowej intencji, nie mogłabym tego zrobić. W końcu zaczęłyby zauważać zmiany. Chociaż to wcale nie powstrzymało mnie przed odkładaniem tej rozmowy przez ostatnie trzy miesiące. Teraz jednak... jestem bardziej podekscytowana niż przerażona rozmową z Nissą. Tak, będę musiała przekazać jej złe wieści, ale będę miała również dobre. Nowiny o dziecku. Właśnie dzięki nim nie mogę się doczekać, by się z nią spotkać, by w końcu wyznać, co naprawdę dzieje się w moim życiu.

Na szczęście okazja, by porozmawiać z przyjaciółką, nie pojawia się niespodziewanie. Nissa nie odwiedziła mnie od naszego powrotu, przed wyjazdem powiedziałam jej, że po wycieczce zapewne będziemy potrzebowali kilku dni na odetchnięcie i pozбиieranie myśli. Nie miała nic przeciwko, jakby prośba nie była niezwykła. Pomogło zapewne wysyłanie e-maili ze Starego Kontynentu. Przesłałam jej wiele zdjęć i opowiadałam o naszych przygodach, więc nie musiała do mnie wpadać chwilę po tym, jak wylądowaliśmy. Nastał w końcu czas, by jej powiedzieć. Dziś jest ten dzień, przez co jestem jednocześnie zdenerwowana i podekscytowana.

Kiedy budzę się z zaskakująco głębokiego snu (przy ciąży i chorobie jestem nieustannie wyczerpana, więc śpię jak zabita), idę od razu do łazienki wyczyścić zęby. Gdy wracam do kuchni,

widzę, że Nate również wstał i przygotowuje sobie kawę.

– Idę do Nissy – mówię, zakładając wiatrówkę i puchate kapcie. – Życz mi powodzenia.

– Powodzenia – odpowiada zaspany, ziewając w dłoń.

W drodze do drzwi zatrzymuję się, by cmoknąć go w usta i klepnąć w tyłek. Nie mogę się powstrzymać, by nie dotykać tych jego idealnych pośladków.

– Tak, tak – mruczy, otwierając drzwi. – Poklep sobie ten piękny tyłeczek.

Wciąż się uśmiechając, przemierzam trawnik, zmierzając do domu Nissy.

Unoszę rękę, by zapukać w szybkę w drzwiach, które się otwierają, nim moja dłoń nawiązuje z nimi kontakt. Przyjaciółka piszczy i porywa mnie w objęcia.

– Wróciłaś! Nakopię ci, że kazałaś mi tyle czekać! Co jest? – pyta, odchylając się, by spiorunować mnie wkurzonym spojrzeniem.

Uśmiecham się i przypominam jej:

– Mówiłam ci, że będę potrzebowała trochę czasu na odsapnięcie, sklerotyczko. – Przyjaciółka wzrusza ramionami, w ogóle nieporuszona, na co się śmieję. – Mogę wejść?

Nissa przewraca oczami.

– Czy możesz wejść? Co ty jesteś, nieznajoma? Oczywiście, że możesz wejść! *Mi casa es su casa*. – Odwraca się i podchodzi do ekspresu do kawy, wyciągając po drodze kubek z szafki.

Zatrzymuję ją, nim zdąży nalać.

– Dla mnie nie. – Kątem oka dostrzegam jej zszokowaną minę. Nigdy wcześniej nie odmówiłam kawy.

– Dobra, zatem dowiaduję się ostatnia – odzywa się w końcu, wzdychając.

Podrywam głowę, zaskoczona.

– Słucham?

– Najwyraźniej dowiaduję się ostatnia, że najechali nas kosmici. Albo że wydarzyła się katastrofa narodowa. Albo zmieniłaś się w jakiegoś religijnego świra w kulcie zabraniającym picia



najcudowniejszego napoju na świecie. Coś się dzieje, a ja o niczym nie wiem.

Znów się uśmiecham.

– Nic z tych rzeczy, ale muszę ci o czymś powiedzieć.

Przyjaciółka poważnieje, co zdarza się jej niezwykle rzadko. Niemal czuję bijący od niej niepokój, niczym miękką falę rozchodzącą się po kuchni, by dotrzeć do czujników mojej anteny.

Przyglądam się, jak moja przyjaciółka i sąsiadka przygotowuje metodycznie własną kawę, dodając porcję śmietanki i łyżeczkę cukru. Odwraca się w stronę stołu. Przesuwa krzesło, które bez wątpienia zajmowała, zanim jej przeszkodziłam.

Mija dłuższa chwila, w której popija kawę, aż wreszcie patrzy na mnie.

– Dobra, siadaj i mów.

Zajmuję miejsce naprzeciw niej. Kładę ręce na blacie i splatam palce.

– Muszę ci o czymś powiedzieć. Właściwie o dwóch rzeczach. Mam też do ciebie prośbę. Ogromną.

– Zrobię wszystko – zapewnia przyjaciółka. Nie ma w tym wahania, niechęci czy pytania. Właśnie taka dla mnie jest.

– Nawet nie wiesz, o co chcę prosić.

– Nieważne. I tak to zrobię, bez względu na to, o co chodzi.

– Powinnaś przynajmniej poczekać, aż poznasz jakieś informacje.

– To nie ma znaczenia. Zrobię dla ciebie wszystko. Zrobię, co w mojej mocy, jeśli o coś poprosisz. Kropka.

Uderza we mnie – choć nie po raz pierwszy – to, jak wielkie mam szczęście, że moją przyjaciółką jest ktoś taki jak Nissa. Osoba otwarta i zawsze skora do pomocy. Kocha mnie bezgranicznie. Szczególnie teraz będę jej potrzebować.

I nie odpłacę się za jej dobroć. Nie będę przy niej, gdy będzie mnie któregoś dnia potrzebować.

To kolejna tragedia tej sytuacji.

– Kocham cię. Mówiłam ci o tym kiedyś?

– Niewystarczająco często. – Stara się poprawić atmosferę, ale jej

nie wychodzi. Nonszalancja słów przyjaciółki nie wpływa na emocje w jej oczach. Wzdychając, co mogę bardziej odczuć, niż usłyszeć, Nissa sięga przez wykonany ze szklanej mozaiki stół i bierze mnie za rękę. – Powiedz mi.

Odczuwam dziwne pocieszenie, ponieważ przyjaciółka tak dobrze mnie zna. Nie muszę jej mówić, że coś jest nie tak, bo już to wie. Nie pada wiele słów, ale jej zachowanie jest bardzo wymowne, jakby mówiła przez megafon podczas nocnej ciszy.

– Mam raka – mówię prosto z mostu. Milczę jedynie przez chwilę, nie czekając, by pochłonął mnie smutek. Zastanawiam się nad tym, co ma nadejść. – Mój stan jest poważny. Terminalny. Właśnie dlatego Nate zabrał mnie do Europy na trzy miesiące. Nie chciałam ci mówić przed wyjazdem. Uczyniłoby mnie to beznadziejną przyjaciółką.

Podobnie jak Nissa, próbuję poprawić atmosferę.

Podobnie jak sąsiadka, ponoszę porażkę.

Przyjaciółka nie tylko się nie śmieje, ale zabiera również obie ręce i zakrywa sobie usta.

Jej oczy natychmiast wypełniają się łzami, które zaraz spływają strumieniami po jej policzkach, następnie bezgłośnie skapują na stół.

Mówię dalej, nim stanę się jeszcze bardziej zdenerwowana.

– Z dobrych wieści to jestem w ciąży.

Uśmiecham się i milczę, czekając, aż to do niej dotrze. Wiem, że będzie całkowicie zaskoczona, ale za jakieś dwa dni będzie mnie jak zawsze wspierać.

– Jesteś... jesteś w ciąży? – Opada jej szczęka, usta tworzą idealne „O”.

Przytakuję.

– Ale Nate... Co z tą inną kobietą? Wiem, że to pewnie nic poważnego, ale nie sądzisz, że powinnaś...

– Spotykał się z moją lekarką, Nisso. Tylko tyle. Powiedział mi.

– Och. – Po chwili rozważania, mówi oschle: – Proszę, tylko mi nie mów, że chcesz urodzić to dziecko.

Moje szczęście znika jak mój uśmiech. Próbuję nad sobą zapanować.

– Chcę.

– Leno, co ty sobie myślisz? Wymagasz leczenia! To nie średniowiecze. Rak nie jest już nieuleczalny. Istnieją setki – jak nie tysiące – leków, które mogą ci podać. Jesteś pielęgniarką. Nie mówię niczego, czego byś już nie wiedziała.

– Nie, nie mówisz. Ale, Nisso, już to widziałam. Widziałam w przypadku siostry i ojca. Nie ma sensu, lepiej po prostu przeżyć to, co zostało. Zdać się na jakość, nie na ilość. Niestety, taka jest moja decyzja.

– Cóż, jeśli nie była, teraz być musi. Nie możesz przyjmować leków, gdy jesteś w ciąży.

Nissa wstaje od stołu, wkłada kubek z kawą do zlewu, wylewając resztki, a samo naczynie przekłada do zmywarki. Zamyka ją i układa ręce na blacie, uginając jedno kolano – taką właśnie pozycję przybiera, gdy jest sfrustrowana z powodu dzieci. Jakby zaraz miała stracić nad sobą panowanie.

Tylko że tym razem jest zła na mnie.

Zastanawiam się, czy będzie zabawnie, jeśli się odwróci i pogrozi mi palcem.

Zamiast tego pyta, nawet na mnie nie patrząc:

– Co na to wszystko Nate?

– Wspiera mnie. Chce tego samego co ja.

– Jakoś w to jednak wątpię.

– Co to ma niby znaczyć?

– Mogę się założyć, że wolałby mieć cię przy sobie przez kolejne czterdzieści lat, niż ryzykować twoje życie dla ciąży, której możesz nie donosić. – W jej głosie słychać gorycz. Wiem, że nie może powiedzieć tego samego o własnym mężu, co łamie mi serce.

Mimo to nie jestem ani trochę zaskoczona podejściem Nissy. Ta dezaprobata w głosie przyjaciółki boli bardziej, niż mogłabym się tego spodziewać, ponieważ oczekiwałam łzawego wsparcia, a nie potępienia. Walcząc ze łzami, wstaję i podchodzę do zlewu,

opierając się bokiem o szafkę, by móc patrzeć na przyjaciółkę. Wiem, że jej słowa i zachowanie wywodzą się z cierpienia, ale nie łagodzi to bólu mojego popękanego serca.

– Nie mam zbyt dużej szansy, Nisso. Bez względu na to, co zrobię. I nie planowałam tej ciąży. Umieranie nie jest najlepszym czasem na rodzenie zdrowych dzieci, ale – dodaję z większym przekonaniem – to dziecko dostarczyło mi już tyle szczęścia, a wiem o nim zaledwie od kilku tygodni. Czuję, jakbym znalazła się w miejscu, w którym nie spodziewałam się znaleźć. Mam nadzieję. Nadzieję, Nisso. Ten nowotwór... odebrał mi praktycznie wszystko: terażniejszość i przyszłość. Los przygotował dla mnie jedynie ból, chorobę i śmierć. A teraz, pomimo bólu, choroby i śmierci, mogę mieć również dziecko. Dziecko, które da mężowi niewielką część mnie, którą będzie miał do końca swoich dni. I przez chwilę po porodzie będziemy mogli być rodziną. Tylko tego pragnę. Aby nasza mała rodzina stała się rzeczywistością. Nie możesz się tym cieszyć razem ze mną?

Nissa patrzy na mnie, jej twarz jest czerwona ze złości.

– Cieszyć się? Cieszyć, gdy przyszłaś mi obwieścić, że umierasz i nie zamierzasz z tym nic zrobić? Za jakiego potwora mnie uważasz?

– Nie mam cię za żadnego potwora. Właśnie dlatego potrzebuję przysługi. Dlatego właśnie chcę prosić o pomoc dla Nate'a. Proszę moją najlepszą przyjaciółkę, by obecna była w życiu mojego męża, ponieważ ja nie dam rady. Proszę, by pomogła mu z dzieckiem, odpowiadała na pytania i wysłuchiwała żali, bo nie będzie miał nikogo innego. Będzie w żałobie i będzie przytłoczony, a jedyne co mogę zrobić, to dać mu do pomocy moją najlepszą przyjaciółkę. Polegałabym na niej, gdybym urodziła dziecko. Dzwoniłabym do niej w środku nocy przy ząbkowaniu i przychodziła zapłakana, nie śpiąc od wielu dni. Pokazywałabym jej z dumą, jak nauczyłam się zmieniać pieluchy w trzydzieści sekund, wzięłabym ją również do spa, gdy mężowie zajmowałiby się dziećmi. Jednak... ponieważ nie uda mi się to wszystko, mam nadzieję, że zrobi to mój mąż.

Właśnie o to chciałam prosić, ale... – urywam, bo serce niemal pęka mi ze smutku. Pośród wszystkich reakcji, jakich mogłabym się spodziewać po mojej długoletniej sąsiadce i przyjaciółce, tego nie było na liście.

Nigdzie.

Jednak nie mam zamiaru się poddać. Nie mogę.

Stoję więc z drżącym podbródkiem, wpatrując się w Nissę. Patrzę cierpliwie na nią i czekam.

Nissa powoli tłumy swój gniew. Dwukrotnie otwiera usta, by coś powiedzieć, ale zamyka je, ważąc słowa.

Wzdycha. Kręci głową. Uciska nasadę nosa, jakby bolała ją głowa. W końcu, po jakichś sześciu minutach, zapanowuje nad własnymi emocjami i ponownie staje się przyjaciółką, którą znam od tak wielu lat.

Zakrywa twarz dłońmi i szlocha.

– Jezu Chryste, Leno. Tak bardzo mi przykro.

Obejmuję ją i tulę mocno, głaszcząc po włosach, by ją ukoić. Podczas wielu lat pracy w szpitalu widziałam, jak ludzie nieprzewidywalnie przyjmowali złe wieści, a w przeważającej większości byli mi obcy. Wydawało mi się, że znam Nissę na tyle, by nie zaskoczyła mnie jej reakcja, ale przy takich wieściach... Nikt nie może stuprocentowo przewidzieć, jak zareaguje druga osoba.

Poza tym nigdy też nie przekazałam jej jednocześnie tak przerażających i wspaniałych informacji. Być może to zbyt wiele, by ktokolwiek przetworzył je bez załamania.

Nissa płacze przez dobre pięć minut. Cały czas ją tulę, gdy jej ramionami wstrząsa silny szloch.

Kiedy się w końcu odsuwa, ma napuchniętą twarz, zaczerwienione oczy, a na jej twarzy malują się wyrzuty sumienia i smutek.

– Przykro mi. Po prostu... nie spodziewałam się czegoś takiego. Sama myśl o tym, że cię stracę... – Ponownie się krzywi i zaczyna płakać. Chociaż tym razem jest w stanie wziąć się w garść nieco

szybciej. – Wiesz, że wszystko bym dla ciebie zrobiła. Naprawdę. I dla Nate'a także. I dla... dziecka. – Pociąga nosem i prychna, myśląc o opiece nad moim w połowie osieroconym dzieckiem. – Będę cię wspierać bez względu na to, co zdecydujesz, ale proszę, nie odsuwaj się ode mnie. Jesteś moją przyjaciółką. Proszę, pozwól mi spędzić z tobą ostatnie chwile. Błagam. Tylko tyle mi zostanie. – Po raz kolejny wybucha płaczem. Cierpliwie czekam, aż wyjdzie z szoku i upora się ze smutkiem.

W końcu się zbiera. Jej szloch przechodzi w dziwaczną czkawkę, którą uważam za całkiem uroczą. Kocham moją przyjaciółkę, nawet z jej nieprzewidywalnymi reakcjami i dziwnymi dźwiękami.

Nissa bierze papierowy ręcznik z ozdobnego stojaka ustawionego na blacie i wydmuchuje nos. Krzywię się na ten widok.

– Co? Mam gdzieś kozę?

Śmieję się głośno.

– Nie, nie masz kozy. Martwię się jedynie, że rozboli cię nos, gdy będziesz wycierać go w ten sposób.

– W końcu przerzucę się na chusteczki. – Pociąga nim. – Na pewno nie mam nigdzie kozy? – Przechyliła głowę, bym mogła sprawdzić.

– Jestem pewna, że nie masz.

– Ale czuję – wyjaśnia, ponownie wycierając nos. – A jeśli mam, będzie to twoja wina. Na tysiąc procent twoja wina! – krzyczy w pustej kuchni, wskazując na mnie oskarżycielsko palcem.

– Dobra. Jestem pewna, że sobie zasłużyłam.

Nissa wzdycha głośno, uśmiechając się zawstydzona półgębkiem.

– Nie. To ja zasługuję na kop w tyłek za bycie kretynką. Dlaczego pozwoliłaś mi się tak zachowywać?

Wzruszam ramionami.

– Niektóre dzieci tak reagują. Trzeba pozwolić im się wykrzyczeć. Widzisz, jak dobrą będę matką?

Nissa patrzy mi w twarz.

– Będziesz fenomenalna matką.

– Przynajmniej przez chwilę. Mam nadzieję. To chyba pozytywna

strona umierania, gdy twoje dziecko jest jeszcze małe. Nie masz wtedy zbyt wielu szans, by spieprzyć mu życie.

Próbując się uśmiechnąć, Nissa kiwa głową. Wyobrażam sobie, że gardło ma ściśnięte ze wzruszenia.

– Kręcimy też z Nate'em filmy. Nagrywamy wszystko i wszędzie. Chciałabym, byś i ty do tego dołączyła.

– Chciałabym. Przy mnie twoje dziecko nauczy się przynajmniej mieć dobry gust.

– Cieszę się, że poruszyłaś ten temat. Jeśli będzie dziewczynka, nigdy nie pakuj jej walizki na podróż. Chciałabym, byście trzymali ją z Nate'em z dala od tańca na rurze tak długo, jak to będzie możliwe.

Nissa się śmieje.

– Sugerujesz, że spakowałam ci same ciuchy dla striptizerek?

– Mówię, że ich ubrania są skromne w porównaniu z tym, co mi spakowałaś.

– A Nate'owi się nie podobały?

– Oczywiście, że się mu podobały! Ma przecież oczy i penisa.

– No to czemu narzekasz?

Uśmiejemy się do siebie, wracając do naszej komfortowej przyjaźni. Kiepska chwila minęła, możemy więc żyć dalej. Jak odkryliśmy już z Nate'em, nie ma miejsca na gniew, gdy mój czas jest tak drastycznie ograniczony. Nie chcemy poświęcać na niego już ani jednej cennej sekundy. Wydaje się, że Nissa również niedługo to sobie uświadomi, jeśli już tego nie zrobiła.

## ROZDZIAŁ 15

### *I'LL BE THERE FOR YOU*

NATE

Przez kolejne dwa miesiące wszystko jest normalne, a nawet gości u nas szczęście. Łatwo zatracić się w planach dla dziecka, szczegółach ciąży i zapomnieć o tym, że moja żona umiera i nikt nie wie, kiedy jej stan zacznie się pogarszać. Wiemy za to, że gdy już zacznie, nie będziemy mogli nic zrobić, by powstrzymać chorobę.

Lekarze mają związane ręce. My je im związaliśmy. Będą robić, co w ich mocy za pomocą leków i terapii bezpiecznych dla dziecka. Chociaż Lena jest z tego zadowolona. Właściwie szczęśliwa. Daje jej to spokój, z czego ostatnio czerpie siłę. Nie byłem stuprocentowo pewny, że podjęliśmy słuszną decyzję. Choć tak naprawdę nie należała ona do mnie. Nie w pełni.

Każdego dnia kręcimy przynajmniej jeden filmik dla dziecka, przenoszę go z telefonu na dysk komputera. Muszę przyznać, że niemal obsesyjnie rejestruję wszystkie nasze chwile. Ilekroć zapisuję któryś w pamięci komputera, oglądam go wielokrotnie, coraz bardziej zakochując się w żonie. Nie wiem, czy to mądre, bo powoduje jeszcze więcej bólu, a i tak mam go już dosyć, ale nie potrafię się powstrzymać.

Lena jest niesamowita.

Mimo to cichy głosik w mojej podświadomości szepcze, że może powinienem się zdystansować, jednak nie chcę odsuwać się od żony, bez względu na to, ile przyniesie mi to cierpienia. Doskonale wiem, że kochanie jej tak mocno ze świadomością, że niedługo ją stracę, będzie najtrudniejszą rzeczą do zniesienia w całym moim życiu. Jednakże wiem również, że nie zamieniłbym tych ostatnich



dni, tygodni, miesięcy za żadne złoto (lub ukojenie czy brak bólu) na świecie. Jestem szczęśliwy, mogąc poświęcić się naszemu życiu, miłości i rozwijającemu się dziecku aż do ostatniej chwili.

Aż do końca.

Kontynuuję więc przerzucanie filmików na komputer, oglądając je w kółko, gdy nie mogę spać, wiedząc, że pewnego dnia będą one jedynym, prócz dziecka i wspomnień zapisanych w głowie, co pozostanie mi po żonie. Chociaż nic nie będzie tak wyraźne jak te filmy. Właśnie dlatego tak o nie dbam.

Pewnego pięknego wiosennego marcowego poranka rozkoszujemy się z Leną naszym rytuałem – kawą (bezkofeinową dla niej) oraz śniadaniem złożonym z jajek i grzanek, gdy nagle otwierają się tylne drzwi. Czytam dział finansowy w gazecie, którą powoli obniżam. Nie zaskakują mnie już dziwne, wczesne wizyty Nissy. Tak samo jak nie zdumiewają Leny, która wyrzuca ręce w górę i mamrocze „dzień dobry”, nadal jedząc grzankę i kontynuując szukanie rzeczy dla dziecka w Internecie.

– Kręcimy! – krzyczy sąsiadka, przemierzając kuchnię, następnie zakłada Lenie czarną perukę. – Ona jest Monicą, a ja Rachel – wyjaśnia, jakby przedstawiała cały swój plan. Nic nie rozumiemy.

Wiem jedynie, że na hasło „kręcimy” mam zacząć nagrywać, poza tym nigdy nie jestem w stanie przewidzieć, co wymyśli Nissa.

Posłusznie wyjmuję komórkę, kieruję ją na żonę i wciskam czerwony guzik. Nissa również ma perukę. Przyciska coś na swoim telefonie, z którego zaraz płyną znajome dźwięki piosenki z serialu *Przyjaciele*.

Nissa bierze Lenę za rękę, podciąga z krzesła i zaczyna z nią tańczyć. Kiedy słyhać słowa z głośnika, obie śpiewają, klaszczą w odpowiednich momentach i śmieją się, gdy to robią. Mimowolnie też się uśmiecham, choć serce mi się ściska z powodu słodkogorzkiego szczęścia.

Podnosząc głos wystarczająco, by przekrzyczeć muzykę, mówię do naszego dziecka:

– Wydaje mi się, że to sposób przyjaciółki twojej mamy na

wyrażenie miłości. Zrozumiesz to później, kiedy puszczę ci *Przyjaciół*. Kiedy będziesz starsze – dodaję. – O wiele starsze.

Dopada mnie nostalgia, gdy nagrywam i słucham. Często oglądaliśmy z Leną ten serial. Do dziś przytaczamy go przy różnych okazjach. Rzucamy przypadkowe cytaty, na co w odpowiedzi zawsze obdarowujemy się uśmiechem. To jedna spośród wielu rzeczy, które dzielimy w naszym życiu, a choć głupia i nieistotna, boleśnie znacząca.

Po zakończeniu piosenki przyjaciółki ściskają się, następnie Nissa zdejmuje perukę z głowy Leny i wychodzi przez tylne drzwi. Zgaduję, że biegnie do domu, by płakać. Radzimy sobie ze smutkiem na osobności i w ciszy, żeby nie obarczać nim Leny. Mimo wszystko wciąż w nas jest.

Żona nadal się uśmiecha, gdy podchodzi i siada mi na kolanach, obejmując za szyję.

– Jesteś moim homarem – mówi, dotykając czubkiem swojego zimnego nosa mojego.

– A ty jesteś moim wszystkim – odpowiadam, a żołądek kurczy mi się na tę trywialną, choć znaczącą uwagę. Jest moim homarem. Jest moim wszystkim i zawsze będzie.

Nawet kiedy odejdziesz.

Nie po raz pierwszy chciałbym, by ktoś nas kręcił i utrwalił na nagraniu cenną chwilę. Wiem, że nadejdzie czas, gdy te wspomnienia zaczną blednąć, kiedy zacznę zapominać, jak ją tuliłem lub patrzyłem w jej ciepłe brązowe oczy, a sama ta myśl łamie mi serce. Nie chcę tego, ale wiem również, że żaden szczegół, który mam w pamięci, nie wytrzyma próby czasu i nie będzie już tak wyraźny. Przynajmniej nie wszystkie. To po prostu niemożliwe.

Gdybym miał jednak możliwość, pamiętałbym każdą chwilę spędzoną z żoną.

Mogę powiedzieć, że zapominanie będzie jak ponowne trwanie Leny i nie mam pojęcia, jak sobie z tym poradzę. Nie wiem nawet, jak przeżyć ten pierwszy raz.

Przesuwam swoją dłoń spoczywającą na biodrze Leny na jej rosnący brzuch.

*Właśnie tak to przetrwam, myślę.*

Jej dziecko.

Nasze dziecko.

Tylko ono pozostanie mi po Lenie.

## ROZDZIAŁ 16

### *I GOT THE GIRL*

LENA

Jestem podekscytowana, gdy Nate parkuje przed gabinetem ginekologiczno-położniczym. Biorę głęboki, drżący oddech, na co mąż ściska mnie za rękę.

– Spróbuj się uspokoić. Nie potrzebujemy, byś miała na badaniu podwyższone ciśnienie. – Uśmiecha się do mnie cierpliwie.

– Wiem, ale tak bardzo się cieszę!

– Wiem, kochanie. Ja też się cieszę.

– Boże, mam nadzieję, że tym razem zdoła nam powiedzieć.

Na poprzednich wizytach nie mogliśmy poznać płci dziecka, ponieważ nie chciało w odpowiednim momencie rozłożyć nóżek. Choć próbowałam zapanować nad emocjami i tak byłam rozczarowana, ale nie ma to żadnego wpływu na moje dzisiejsze podniecenie. Dziś chcę się dowiedzieć!

– Może to z powodu tego łyka kawy, który mi rano podwędziłaś? Zawstydzona, zwieszam głowę.

– Widziałaś?

– Widzę wszystko – stwierdza, nucąc motyw przewodni *Strefy mroku*.

– Najwyraźniej nie wszystko, bo jestem bardzo sprytna.

– Tak ci się tylko wydaje – droczy się.

– Potrafię być sprytna.

– Jak wtedy, gdy próbowałaś wyprawić mi przyjęcie niespodziankę, ale zapomniałaś powiedzieć gościom, by zaparkowali na innej ulicy? A może gdy próbowałaś mnie uprowadzić w naszą rocznicę, ale zamiast do mojego szefa, zadzwoniłaś do mnie? A może w każde Boże Narodzenie, gdy udaje

mi się ciebie namówić, byś powiedziała, co znajdę pod choinką?

– Dobrze, już dobrze! Spryt nie jest moją mocną stroną, ale znalazłam w Internecie informację, że odrobina kofeiny pobudza dziecko, przez co częściej się rusza. Jeśli będzie się poruszało, być może uda nam się poznać jego płeć.

– Jeśli tak bardzo chcesz wiedzieć, powiem ci, jakiej jest płci.

Nawet jeśli się ze mną droczy, mimowolnie patrzę na niego ze zdziwieniem.

– To znaczy? Skąd możesz wiedzieć? Lekarka coś ci powiedziała? Chcesz mi zrobić niespodziankę?

– Nie, po prostu wiem.

Jestem nieco zrezygnowana.

– A niby skąd, Panie Wszystkowiedzący?

– Polegając na starym, dobrym rozumie.

– I ten twój rozum już wie, jakiej płci jest nasze dziecko? – Próbuję brzmieć na sceptyczną, ale słysząc moje podekscytowanie.

– Tak. To dziewczynka.

Pomimo braku jakichkolwiek dowodów serce rośnie mi na myśl o podarowaniu Nate'owi córeczki.

– A niby skąd twój rozum wie, że to dziewczynka?

– Cóż, gdyby był to chłopak, nie byłby w stanie ukryć swojego... sprzętu. Mimo wszystko jestem ojcem i chyba widziałas mnie nagiego? Sama przyznaj, gdyby zobaczyli trzecią nogę, wiedzieliby, że to chłopak. Ale nic nie widzieli, co oznacza, że to dziewczynka. Wybucham gromkim śmiechem.

– Boże! Mężczyźni i ich penisy. Jesteście jak banda świrów wypuszczona w dzicz, by się rozmnażać, co?

Nate kiwa głową.

– Mniej więcej. Ale to i tak dziewczynka, więc możesz zacząć wybierać imię.

– Ja? – pytam, gdy mąż wysiada z samochodu. Czekam, aż otworzy mi drzwi i ciągnę: – Ja? A co z tobą? Podałam ci tysiąc możliwości, a tobie nic się nie podobało!

Nate ostrożnie bierze mnie za rękę, drugą wkłada mi pod pachę,

pomagając wysiąść. Mam anemię, lekarze uważają, że – pomimo przyjmowania żelaza – powodem są niewielkie krwawienia wywołane rozrastającym się nowotworem, który wysysa ze mnie energię.

– Nie martwię się tym, idealne imię samo się nam objawi. Mamy czas.

Czuję, że Nate się spina, gdy te słowa opuszczają jego usta. Mieliśmy czas, teraz to jedyne, czego nam brakuje. Atmosfera zmienia się, gdy rzeczywistość opada na nas jak zimny, mokry koc. Czasami przyszłość jest tak przytłaczająca, że proste czynności jak spacer są niemożliwe do wykonania. Uśmiecham się tymczasem do męża i ruszam do przodu, jakby wszystko było w porządku.

Podejrzewam, że i tak nie zdołam oszukać Nate'a, ale oboje jesteśmy zdecydowani udawać, odsuwać od siebie depresję i okrutną rzeczywistość na kolejne godziny, dni – miejmy nadzieję – tygodnie.

Mój entuzjazm wraca, gdy układam się na kozetce w niezbyt dobrze oświetlonym pokoju do USG. Nie wiem, czy to z powodu naszej przyjaźni, czy też wysokiego ryzyka, ale doktor Stephens zawsze robi mi badanie osobiście. Wyprasza technika, który pracuje we wszystkich innych przypadkach. Specjalne traktowanie sprawia, że czuję się bardziej komfortowo, ale również bardziej krucho, bo wydaje mi się, że wszyscy wstrzymują oddech, czekając, aż się roztrzaskam.

Próbuję wypchnąć takie myśli z głowy, ale one i tak wracają. A kiedy tak się dzieje, niszczą mnie, bez względu na to, jak szybko się ich pozbywam. Negatywnie wpływają na moje morale, a wygląda na to, że ciągle się martwię, zwłaszcza gdy jest cicho lub jestem sama. Lecz Nate... Nieprzerwanie spostrzegawczy Nate wydaje się wiedzieć, że nie lubię już ciszy i samotności. Dokłada starań, bym ciągle miała zajęcie, za co jestem niezmiernie wdzięczna.

Na szczęście mądrze inwestował przez lata, więc mamy wystarczająco pieniędzy, by Nate mógł ze mną spędzać czas

dwadzieścia cztery godziny na dobę, siedem dni w tygodniu. Nie potrzebuję ciągłej opieki, ale uwielbiam, gdy jest przy mnie. Sądzę, że on również chce mi towarzyszyć.

Tylko to nam zostało. Każda sekunda jest więc cenna.

Wdzięczna za jego bliskość w ciemnym pokoju biorę go za rękę.

– Kocham cię – szepczę.

– Ja kocham cię bardziej – odpowiada. Uśmiecha się zwyczajnie, ale dostrzegam jego zdenerwowanie. Choć mówi niewiele, myślę, że zawsze martwi się przy badaniu USG. Podejrzewam, że niepokoi go, że znajdą jakąś nieprawidłowość lub nie usłyszą bicia serca. Oczywiście zaprzecza i stara się ukryć uczucia, ale uważnie go obserwuję. Zbyt dobrze go znam, by nie zauważyć zmiany, która zachodzi w nim, gdy siedzimy w tym słabo oświetlonym pomieszczeniu, czekając na lekarkę.

Ten dzień nie stanowi wyjątku.

Wzdrygam się, kiedy drzwi nagle się otwierają i wchodzi rozradowana doktor Stephens.

– Przepraszam za spóźnienie. Czasami dzieci nie chcą czekać do daty porodu.

Wciąż ma na sobie zielony szpitalny kitel, na który nałożyła biały fartuch. Długie do ramion brązowe włosy spięła w kucyk, choć krótsze pasma okalają jej twarz. Wygląda trochę... jakby była wykończona.

– Pracowity dzień, co? – pyta Nate.

– Trochę się dziś dzieje! – wykrzykuje zmęczona, ale uśmiecha się i klaszcze, następnie zaciera ręce. – A może poznamy dziś płęć waszego dziecka?

Uśmiecham się, tak samo jak Nate. Ściskam jego dłoń, on ściska moją. Czuję, że ręka lekko mu drży. Mąż spogląda na ekran, nie chcąc patrzeć mi w oczy. Tańczymy wokół siebie ostrożnie, ja również spoglądam na ekran, czekając na pojawienie się obrazu dziecka i tego, co ma – lub czego nie ma – między nogami.

Kiedy lekarka przesuwa głowicą wokół mojego brzucha, rozprawdając żel, rozmawia z nami lekko, pyta o dietę, energię,

badanie moczu. Po długiej chwili milczenia porusza temat, który wie, że będzie dla nas trudny.

– Rozważałaś amniopunkcję?

Ściska mi się żołądek. Wydawało mi się, że ostatnim razem wyraziłam się wystarczająco dobitnie. Nie chcę nawet rozmawiać na ten temat.

– Nie. Nie zmieniłam zdania.

– Leno, jeśli genetyczna skłonność...

– Niczego to nie zmieni – przerywam jej. – Pragniemy tego dziecka. Kropka. Nie będziemy go mniej kochać, jeśli okaże się niepełnosprawne.

– Ale badanie może przygotować was na...

– Gdyby nie było ryzyka, zastanowiłabym się. Może. Ale przy amniopunkcji istnieje zagrożenie dla dziecka, a ja mam już dosyć zagrażających mu czynników. Doceniam troskę, ale nie chcę tego badania.

Wiem, że mój ton nie dopuszcza sprzeciwu, więc lekarka kiwa po prostu głową, nie naciskając więcej.

Dobrze!

– Cóż, nie widzę żadnych nieprawidłowości, ale... – urywa, by podnieść dramatyzm, poruszając głowicą i wciskając mi ją w brzuch. Klika i przesuwam myszką, po czym ponownie klika. W końcu unosi głowicę, wpisuje coś na komputerze i patrzy na mnie i Nate'a z uśmiechem.

– Nie widzę żadnych męskich organów. Proszę państwa, chciałabym przedstawić wam córkę.

Powiększa zdjęcie na ekranie, na którym ukazuje się dziecko leżące w idealnej pozycji, by dostrzec, że nic nie odstaje pomiędzy jego nogami.

Wciągam gwałtownie powietrze.

– Córka? – szepczę, próbując zapanować nad drżeniem głosu.

– Córka – potwierdza doktor Stephens, w kącikach jej oczu pojawiają się zmarszczki, gdy szeroko się uśmiecha. – I ssie kciuk.  
– Ponownie minimalizuje obraz, więc mogę zobaczyć niewielką



rączkę wetkniętą do ust.

– Nasza córeczka ssie kciuk – mówię z podziwem, patrząc na Nate’a.

Mąż wpatruje się w ekran, rozchylając usta, a oczy błyszczą mu w blasku monitora. Wiem, że brak mu słów. Minimalnie kiwa głową. Dopiero po dłuższej chwili wpatrywania się w cyfrowy obraz Nate odrywa od niego wzrok, by na mnie spojrzeć.

Nie padają pomiędzy nami żadne słowa, ale pojawia się wzruszenie, gdy patrzymy sobie w oczy. Bywały chwile, kiedy wszystko zmieniało się w naszym życiu. W ciągu ostatnich sześciu miesięcy było ich wiele, trudno więc określić, które znajdowały się najwyżej na liście.

Aż do dzisiaj.

Dzisiejszy moment jest inny, wyjątkowy. I oboje o tym wiemy. To prawdziwe. To naprawdę się dzieje. Po wszystkich staraniach i rozczarowaniach, po terminalnej diagnozie i kurczącym się czasie w końcu będziemy mieć dziecko.

Razem.

Idealną mieszaninę nas obojga, częśćkę i mnie, i Nate’a, która będzie żyła dużo dłużej niż my oboje. Nic nie może być od tego ważniejsze.

Nic.

Doktor Stephens mówi coś, ale jej nie słyszymy, następnie podnosi się i wychodzi. Kiedy drzwi się zamykają i zostajemy sami, Nate pochyla się i opiera czoło na moim.

– Dziewczynka. Wymarzona dziewczynka – przyznaje drżącym głosem. – Mam nadzieję, że będzie bardzo podobna do mamy. – Jego głos jest pełen intensywnej emocji. – Proszę, Boże, spraw, by była podobna do matki – mówi, zamykając oczy i ścisząc głos, jakby naprawdę się modlił.

Serce mocno mi kołacze. Boli mnie widok cierpiącego męża. Nawet jeśli niewątpliwie cieszy się z powodu dziecka, wiem, że przez nieuniknioną stratę żony jest zdruzgotany.

Bardzo cierpi.

Czuję to.

Orientuję się, że szczęście i rozpacz często idą ze sobą w parze, niemal jakby wzmacniały się nawzajem. Im większą radość sprawia nam dziecko, tym większy ból czujemy z powodu niemożności bycia rodziną. Kiedy jedno wzrasta, drugie rośnie proporcjonalnie.

Wykładniczo.

Wiem, że zawsze tak będzie. Póki oboje z Nate'em żyjemy. Wiem również, że nie istnieje światło bez mroku, tęcza bez deszczu. Zdaję sobie sprawę, że moje cierpienie sprawia, że szczęście jest tak wielkie. W obliczu śmierci życie daje mi ten cud. Mam ograniczony czas, by się nim cieszyć, zanim moja egzystencja dobiegnie końca.

Niedługo później wychodzimy z gabinetu doktor Stephens. Uprzednio proszę jednak męża, by poczekał na mnie w poczekalni. Wyjaśniam, że naciski lekarki na mój brzuch, by dała nam dobre zdjęcie z USG, sprawiły, że chce mi się siku.

Dopiero zamknięta w kabinie w łazience, z dala od wścibskich spojrzeń, pozwalam płynąć łzom. Przygryzam wargę, zsuwam się po ścianie i siadam na podłodze. Płacę cicho, wiedząc, że łzy mi nie służą, ale muszę się ich pozbyć.

Kiedy mija najgorsze, wstaję i myję twarz zimną wodą. Gdy się wycieram, zatrzymuję ręce w połowie drogi do mokrego czoła. Dokładnie w tej chwili wiem. Wiem, kim będzie dla mnie i dla Nate'a nasza córka.

Wyjmuję z kieszeni telefon, umieszczam go przed twarzą i rozpoczynam nagrywanie.

– Poznałam dziś twoją pleć – zaczynam, uśmiechając się z rozmarzeniem. – Jesteś dziewczynką. Moją córeczką. Kiedy zobaczyłam twoje maleńkie ciało na ultrasonografie, poczułam, że mój świat jest kompletny. – Muszę odwrócić się na chwilę od kamery, by się pozbierać, nim zdołam dokończyć tę krótką wiadomość. – Od niedawna rozmawialiśmy z twoim tatą o imionach, ale teraz już wiem, dlaczego nie mogliśmy zdecydować się na żadne. Jeszcze cię nie poznaliśmy. Teraz jednak się to stało

i wiemy już, kim jesteś. Jesteś Grace. Moją Grace. Moją cenną, kochaną Grace. Będę cię kochać nawet po tym, jak odejdę. Moja córeczka – szepczę. – Moja Grace.

Przerywam nagrywanie, a mój szloch się wzmaga. Pochylam się i płaczę. Nie potrafię się dłużej powstrzymywać, więc wyję jak kojot w kanionie. Cichnę dopiero, gdy słyszę pukanie do drzwi, po czym głos zaniepokojonej pielęgniarki:

– Wszystko w porządku, Leno?

Biorę głęboki wdech, zbieram się, jak tylko mogę, poprawiam ubranie i wycieram twarz.

– Tak. Zaraz wyjdę.

Wychodzę na cichy korytarz i próbuję pospiesznie wziąć się w garść, nim wejdę do poczekalni. W chwili, w której zauważa mnie Nate, wiem, jak strasznie muszę wyglądać. Biorę go po prostu za rękę i ciągnę do wyjścia.

Nie odzywa się, ja również milczę.

Wie.

Po prostu wie.

## **ROZDZIAŁ 17**

### ***BAD MEDICINE***

NATE

W połowie marca Lena jest w dwudziestym trzecim tygodniu. Zdaje mi się, że coraz bardziej żywimy przekonanie, że uda jej się donosić tę ciążę do dwudziestego ósmego tygodnia, a nawet mamy nadzieję, że dłużej. Lekarze są dobrej myśli, specjalista od chińskiej medycyny, z którym żona regularnie się widuje, naprawdę pomaga utrzymać jej ciało w formie, biorąc pod uwagę jej obecny stan. Lena niejednokrotnie twierdziła, że zaczyna uważać Boga za cudotwórcę.

Każdego dnia robimy, co w naszej mocy, by utrzymać Lenę i dziecko w zdrowiu, i każdego dnia trzymamy się również naszych „chwalebnych chwil”. Kręcimy filmy – osobno lub razem, a także z Nissą – które zabezpieczam w formie kopii na komputerze. Codziennie dopada mnie jednakże też strach, że mogę je stracić.

Przeglądając nagranie ze stycznia, wpadam na pomysł, jak rozweselić moją piękną żonę. Zawsze próbuję sprawić, by każdy z jej ostatnich dni był promienny i wyjątkowy.

Przerzucam w myślach rzeczy, których potrzebuję, następnie piszę do Nissy z prośbą o pomoc. Do wieczoru chcę być gotowy.

Dawno minął czas, gdy można było odkładać sprawy na później. Kiedy przychodzi mi na myśl, by coś zrobić czy powiedzieć, robię lub mówię to najszybciej jak się da. Zawsze obecne, ciche odliczanie zegara odmierza czas, którym teraz żyję. Każdy dzień jest jak wyścig, więc muszę sprawić, by liczyła się każda minuta.

Po obiedzie – posiłku bogatym w składniki odżywcze i minerały korzystne dla działania systemu immunologicznego Leny oraz jej wątroby – pomagam żonie przejść na kanapę, nakrywam ją kocem

i mówię:

– Zaraz wrócę. Wybiorę film.

Uśmiecha się do mnie, nie dopytując o szczegóły.

Wcześniej odkryliśmy, że tak wiele rzeczy nas łączy, wliczając w to gust muzyczny. Dorastaliśmy w latach osiemdziesiątych, dzięki czemu Lena wciąż uważa Bon Jovi za zespół wszech czasów. Zna na pamięć tekst każdej jego piosenki i od zawsze chciała iść na jego koncert. Miała szansę, gdy była w szkole średniej, ale niespotykana burza śnieżna uniemożliwiła jej wyjazd. Nigdy później koncert nie był dla nas priorytetem. A szkoda. Szkoda, że nie pojechaliśmy.

Jak w przypadku wielu innych rzeczy, odłożyliśmy wybranie się na koncert na później, sądząc, że będziemy mieć jeszcze dużo czasu.

Później.

Co za pospolite słowo. Przeważnie nic nieznaczące.

Tyle że nas nie czeka żadne „później”, więc muszę sprawić, by „żyła tu i teraz”, jak mawiała moja babcia. Właśnie dlatego o siódmej wieczorem nakładam perukę i skórzane, opinające tyłek spodnie.

## LENA

Odpoczywam na anatomicznej poduszce, którą kupił mi Nate, gdy w głośnikach zaczyna płynąć moja ulubiona melodia. Otwieram oczy, unoszę głowę i widzę, że mój zwariowany mąż wślizguje się przez drzwi, sunąc skarpetkami po podłodze. Ma na sobie czarne skórzane spodnie, rozchełstaną koszulę i blond perukę. I trzyma starą gitarę.

Natychmiast szczerzę się od ucha do ucha. Wygląd i muzyka uświadamiają mi, kim jest.

Jonem Bon Jovim.

Siadam i patrzę na drzwi, gdy znów się w nich pojawia. Udaje, że

szarpie struny gitary w rytm piosenki. Krzywi się tak, jak tylko rockman potrafi, wybucham więc niemal gromkim śmiechem na widok tych starań.

W końcu wchodzi do pokoju, a kiedy słyszę głos wokalisty, porusza ustami do *Bad Medicine*.

„Wyśpiewuje” mi tę serenadę o uzależnieniu od mojej miłości, we właściwy sposób układając wargi i kiwając głową do rytmu. Kiedy obserwuję odziany w czarną skórę zgrabny tyłek męża, jego nadal płaski brzuch widoczny pod rozpiętą koszulą i przystojną twarz, myślę, że ten koncert będzie lepszy niż prawdziwy. Nate jest prawdziwy. Był, odkąd go poznałam. Od naszego pierwszego pocałunku, który zdarzył się przed mieszkaniem, jakie wynajęłam zaraz po zakończeniu szkoły. Wieczór był chłodny i wilgotny, ale Nate mnie rozpałił. Już wtedy wiedziałam, że się zatraciłam. Że bez niego zawsze już będę niepełna.

W tej chwili mam pewność, że gdybym żyła kolejne sto lat, czułabym się dokładnie w ten sam sposób. Nate mnie dopełnia. Jest moją drugą połówką. Moją bratnią duszą. Kawalkiem mojego serca.

Kiedy piosenka się kończy, zrzucam koc, by korzystając z niewielkiej energii, która mi jeszcze została, pokazać mężowi, jak bardzo go kocham. Ale zanim udaje mi się podnieść, rozpoczyna się kolejna piosenka.

Natychmiast ją rozpoznałem. Moje serce przyspiesza na widok dalszego ciągu występu mojego męża, bije teraz w rytm słodko-gorzkiej piosenki miłosnej.

Opieram się o kanapę i czekam, aby obejrzeć ten niezapomniany pokaz.

Nate zbliża się do mnie, ściąga perukę i klęka. Kiedy rozbrzmiewają słowa piosenki *Always*, nie słyszę Bon Joviego. Słyszę jedynie głęboki, ochrypły głos męża, którym śpiewa każde słowo.

A to wszystko dla mnie.

Każde słowo nabiera zupełnie nowego znaczenia, gdy spoglądam

w zielone oczy męża. Błyszczące miłością niepodobną do niczego mi znanego. Jestem przekonana, że w moich widzi to samo. Oczywiście, że widzi w moich oczach serce. Jest tam. Bije jedynie dla niego. Choć wkrótce przestanie.

Kiedy melodia osiąga punkt kulminacyjny, oczy Nate'a wypełniają się łzami, które są lustrzanym odbiciem moich własnych. Podczas gdy mąż śpiewa, co dla mnie robi, jaką cenę zapłaci, obejmuję jego twarz i całuję go, wyciszając ból, o którego istnieniu wiem tylko ja – dołączając go do mojego własnego.

Pochłaniam jego słowa, czyniąc je skrawkiem własnej duszy. Smakuję jego usta, zapamiętując ich krzywiznę, fakturę jego języka. Konsumuję jego miłość, czerpiąc z niej jak z paliwa do pracy silnika.

Ostrożnie, choć ze stanowczością, której żadne z nas nie chce zaprzeczać, Nate kładzie mnie na podłodze i zdiera ze mnie ubranie, odsłaniając zarówno ciało, jak i duszę, by zaspokoić głód spojrzenia i rąk. Kochamy się w sposób, w jaki robią to ludzie, którzy nie mają czasu lub boją się przyłapania – z całkowitą desperacją.

A kiedy leżymy wyczerpani, wtuleni w siebie, Nate śpiewa mi resztę piosenki, gdy moje łzy skapują na skórę jego piersi.

\*\*\*

Budzę się zdezorientowana. Rozpoznaję własny salon, ale nie rozumiem, dlaczego leżę na podłodze.

Kiedy wracają do mnie wspomnienia, uśmiecham się i obracam, by spojrzeć na twarz męża, który leży przy mnie, prawdopodobnie słuchając mojego oddechu.

– Powiedziałybyśmy, że powinniśmy to nagrać, ale... – Śmieję się lekko, myśląc o naszym gwałtownym seksie. Akurat tego nasza córka nie powinna oglądać – nie żeby chciała.

– Ee, nagrałem to.

Siadam i odwracam się do niego twarzą. Uśmiecha się leniwie, przez co mam ochotę zacząć od nowa i znów po kolei zdejmować z niego ubrania.

– Jak to „nagrałeś”?

– Miałaś zamknięte oczy, ale położyłem telefon na stole, bym później mógł obejrzeć twoją reakcję.

– To zobaczysz znacznie więcej niż moją reakcję.

Oczywiście się tym nie martwię. Być może wcześniej przejmowałam się, że ktoś się włamanie do jego komputera i wszystko zobaczy, ale to już za mną. Ostatnio moje życie przepełnia niewiele uczuć, a wśród nich występuje przerażenie lub miłość.

Na inne po prostu nie ma miejsca.



## ROZDZIAŁ 18

### *LET'S MAKE IT BABY*

LENA

Wiosna przychodzi wcześniej, co niezwykle z Nate'em doceniamy. Czuję, jakby niebiosa zesłały nam kolejny dar – ciepłą, słoneczną pogodę – bym mogła wyjść na zewnątrz i przez kilka godzin posiedzieć na werandzie.

Choć mdłości i ból brzucha nie pogorszyły się, za co jesteśmy niezmiernie wdzięczni, moja energia stała się jedynie wspomnieniem. Objawy choroby nadal nie są widoczne, choć doskonale zdaję sobie sprawę z mojego pogarszającego się stanu. Wiem, co się ze mną dzieje. To coś więcej niż zmęczenie związane z ciążą. To moje ciało nieustannie walczące ze swoim wrogiem.

I wiem, że przegrywa tę walkę.

Mimo to budząc się każdego ranka, cieszę się, że udało mi się postawić kolejny krok na drodze do bezpiecznego donoszenia tej ciąży. Myśl o urodzeniu Heleny Grace – imiona, na które nalegał Nate – sprowadza energię do mojego życia. Każda wyczerpująca wizyta u ginekologa, onkologa, internisty, kręgarza i ziołarza, każdy posiłek czy wykonana czynność ma na celu tylko jedno – zdrowie mojego dziecka.

Zmuszam się do przełykania tylu papek bez smaku, ile tylko zdołam zjeść bez konieczności ich zwrócenia. Chodzę, gdy nie muszę, piję wodę, gdy nie chce mi się pić i poddaję się akupunkturze na ból, którego nie czuję.

Jeszcze.

I wszystko to działa. Dziecko rośnie, rozwija się, a wyniki badań są (przeważnie) w normie, więc nie tylko ja, lecz także Nate jesteśmy przekonani, że się uda. Że wszystko pójdzie gładko, jak

na to liczyliśmy, co każdego dnia przywraca mi wiarę.

Aż pod koniec marca dostaję skurczy. Jesteśmy z Nate'em na spacerze, gdy się rozpoczynają. Brak mi tchu, serce natychmiast przyspiesza ze strachu.

– Jestem pewna, że to skurcze Braxtona-Hicksa – mówię mężowi, walcząc jednocześnie z paniką. Próbuję przekonać samą siebie do przyczyny skurczów.

Powoli udaje się nam wrócić do domu, gdzie Nate pomaga mi się położyć.

– Musisz odpocząć. Nachodziłaś się dziś wystarczająco. – Próbuje poprawić mi nastrój, ale w jego oczach również czai się przerażenie.

– Najpierw pozwól mi skorzystać z łazienki, później się położę.

Dopiero w toalecie zauważam krew.

Orientuję się, że mogę mieć poważne problemy.

Jestem dopiero w dwudziestym szóstym tygodniu. Zbyt wcześnie dla dziecka. Chcę – nie – muszę donosić ciążę do dwudziestego ósmego. Przynajmniej tyle, by dziecko miało szansę. *Proszę, Boże, proszę*, modłę się, poprawiając ubranie i idąc do łóżka.

– Nate, nie chcę, byś się martwił, ale mam plamienie. Zadzwońię do doktor Stephens i zobaczę, co mi powie – informuję spokojnie męża, wyciągając komórkę z torebki i wybierając numer. Chciałabym, by ręce mi się nie trzęsły. Nate potrzebuje mojego spokoju, nie musi widzieć strachu.

Biorąc pod uwagę mój stan, doktor Stephens nie bawi się w monitorowanie skurczów, słysząc „krwawienie”, nakazuje natychmiastowe udanie się do szpitala. Nie dziwi mnie to. Na jej miejscu zaleciłabym to samo.

Tak spokojnie, jak tylko potrafię, proszę Nate'a:

– Podasz mi torbę z szafy? Tę, w której są przygotowane rzeczy do szpitala?

Oczywiście, że spakowałam się na wypadek nagłego wyjazdu na oddział do szpitala. Mój stan jest zbyt zaawansowany, by tego nie zrobić. Od samego początku zdawałam sobie sprawę, że donoszenie

cięży podczas walki z rakiem nie obędzie się bez szpitala. Zatem oto nadszedł czas na pierwszą wizytę. Modłę się tylko, by szybko mnie wypisano i bym nadal nosiła dziecko.

Choć Nate niczego nie komentuje, wciąż widzę, że jest roztrzęsiony. Mimo to robi wszystko, o co proszę, w tym wyjmuję torbę.

– Wrzucę ją do samochodu. Zaraz wracam.

Nie widzę go, ale zakładam, że rzeczywiście pobiegł do auta. Wiem, że w chwili, w której zniknął mi z oczu, przebiegł przez kuchnię, porwał klucze z blatu, wypadł przez drzwi i praktycznie wrzucił torbę na tylne siedzenie. Pomimo ciężkiego serca to wyobrażenie sprawia, że się uśmiecham. Wiem, że mąż wróci do mnie spokojny i opanowany. Bez wątpienia spożytkuje nadmiar energii i strach na bieg do auta, żeby mi ich nie okazywać.

Ale i tak wiem.

Podobnie jak w przypadku wielu innych spraw w naszym życiu, po prostu wiem.

Chwilę później, bez wątpienia z mocno przyspieszonym pulsem, Nate staje w drzwiach, a następnie podchodzi do mnie. Chwytając mnie pod rękę i za ramiona, pomaga wstać. Pozwalam mu na to, ponieważ częściowo ma wrażenie, że panuje nad sytuacją, ale również musi się czuć potrzebny i doceniony. Widok krwi obudził we mnie strach i wydobył resztki siły, która mi jeszcze pozostała.

Wstaję na miękkich kolanach, trzęsę się od bólu brzucha. Czuję, że Nate mocniej mnie trzyma. Nie na tyle mocno, by pozostawić siniaki, ale wystarczająco, bym czuła jego wsparcie.

– Będzie dobrze – odzywam się kojącym głosem i posyłam mu uśmiech. Nie jestem spokojna, ale czuję chęć dodania mężowi sił, tak jak on nieustannie wspiera mnie, gdy tego potrzebuję.

Nate trzyma mnie mocno, choć mam ochotę postawić krok w przód. Patrzę na niego intensywnie.

– Kocham cię. Bez względu na wszystko. – Żołądek mi się ściska, ponieważ mąż czuje, że musi mi to powiedzieć, jakby spodziewał się najgorszego.

– Wiem, kochanie. Będzie dobrze – powtarzam. Próbuję stłumić obawy oraz uwierzyć we własne zapewnienia.

Podróż do szpitala mi się rozmywa. Udaję, że potrafię powstrzymać kolejny skurcz lub wypływ krwi, który przeraża nas oboje. Po dotarciu do szpitala okazuje się, że moja bielizna pozostała sucha, co jest bardzo dobrym znakiem.

Nate parkuje tuż pod drzwiami i biegnie do środka po wózek, za co jestem mu niezmiernie wdzięczna. Pomaga mi przesiąść się z auta na wózek, następnie wwozi mnie do środka. Zostaję zabrana do sali, w której przy łóżku czeka pielęgniarka z przygotowaną szpitalną koszulą.

– Cześć, Leno! Jestem Tiffany. Pomogę ci się przebrać – oznajmia radośnie. Kiwam głową, zbliżając się do łóżka. – Proszę pana, proszę wrócić do recepcji, czekają tam na pana dokumenty do wypełnienia.

Nate się krzywi. Widzę, że mężowi nie podoba się nakaz opuszczenia mnie nawet na tak krótką chwilę. Idzie jednak posłusznie, choć uprzednio całuje mnie i obiecuje, że wróci za kilka minut.

– Świeży tatuś? – pyta Tiffany, kiedy Nate znika z zasięgu słuchu.

– Tak. Tak to widać?

– Przy pierwszym dziecku wszyscy są nadopiekuńczy. Przy drugim, trzecim i czwartym zazwyczaj siedzą w poczekalni.

Uśmiecham się, ale milczę. Bez względu na to, ile mielibyśmy dzieci, nie potrafię wyobrazić sobie Nate'a siedzącego grzecznie w poczekalni, podczas gdy w sali działałoby się Bóg wie co.

Z wprawą eksperta Tiffany pomaga mi się przebrać i położyć. Przypina mi do brzucha urządzenie monitorujące bicie serca dziecka, a także zakłada rękaw do mierzenia ciśnienia. Kiedy wszystko jest już na swoim miejscu, pielęgniarka przeprowadza wywiad. Choć wiem, że doktor Stephens dzwoniła i wydała dyspozycje, zdaję sobie sprawę, że to również nieunikniony proces. Papiery, papiery i jeszcze raz papiery.

Który tydzień, poprzednie poronienia, kiedy zaczęło się krwawienie, jak poważne było, jak często występowały skurcze, przez jak długo trwały, czy wystąpiły inne komplikacje, czy występują inne schorzenia, czy występuje alergia na leki, czy mam listę przyjmowanych medykamentów...

To niczym prenatalna hiszpańska inkwizycja. Wiem, że moja lekarka do nich dzwoniła, ale dobra pielęgniarka chce wszystko potwierdzić. A znając ten zawód, wiem, że nie pyta bez powodu. Choć to wcale mnie nie uspokaja. Nic, prócz badania przez lekarkę i zapewnienia, że dziecko nie jest w niebezpieczeństwie, mnie nie pocieszy.

W ciągu następnej godziny, gdy Nate wychodzi po wodę, przychodzi doktor Stephens. Mąż zmienia zatem kierunek i zamiast na stołówkę, kieruje się do kąta, nie chcąc przeszkadzać.

Uśmiecham się. Zamierza zostać. Nie pozwoli, by cokolwiek działo się bez jego udziału.

Lekarka zadaje te same pytania, a mimo to cieszę się, że mogę na nie odpowiadać. Jestem pewna, że przez telefon zaalarmowałam tylko, że krwawię. Poza tym chcę, by kobieta miała pełny obraz mojej sytuacji, nie co drugie słowo przekazane przez pielęgniarkę.

– Nie krwawisz mocno, więc sprawdzę szyjkę macicy, po czym zrobimy USG, dobrze?

Przytakuję, przesuwam się na skraj łóżka i przygotowuję do badania. Choć doktor Stephens jest kobietą o małych dłoniach, badanie szyjki macicy nie należy do najprzyjemniejszych. W ciągu ostatnich kilku tygodni zbyt wiele razy je przechodziłam, więc wątpię, by dziś było inaczej.

Ale się mylę.

Może to z powodu krwawienia, które badanie może pogorszyć. Albo dlatego że lekarka czuje, że musi postępować delikatniej, by nie rozkołysać już i tak bujającej się łodzi. A może z innego powodu. Bez względu na niego jestem za to wdzięczna.

Wzdycham z ulgą, kiedy kończy.

– Nie jest rozszerzona – ocenia, zdejmując rękawiczki. – I już nie

krwawisz. Ciśnienie masz w normie. Puls dziecka też jest dobry. Kiedy ostatnio uprawiałaś seks?

Pomimo medycznego wykształcenia to pytanie wciąż wywołuje rumieniec na moich policzkach, zwłaszcza że niecałe dwa metry dalej siedzi mój mąż i mi się przygląda.

– Dwa dni temu.

Doktor Stephens kiwa głową i zapisuje tę informację.

– Dobrze, zobaczymy, co pokaże USG. – Wychodzi z pokoju.

Dopiero teraz mogę się spokojnie oprzeć na poduszce.

Nate podchodzi do mnie i wierzchem dłoni odgarnia mi włosy z twarzy.

– Zrobiłem ci krzywdę? – pyta z wyrzutami sumienia wypisanymi na twarzy.

– Oczywiście, że nie, Nate. To nie ma z tobą nic wspólnego.

– Dlaczego zatem pytała o seks?

– Podczas ciąży krwawienia z szyjki macicy są częste. Nie potrzeba wiele, by wystąpiło plamienie. Zawsze zauważałam je po badaniu, a wywoływały je palce lekarki.

Troska nie znika z przystojnej twarzy, choć mąż próbuje udawać lekki nastrój.

– A oboje wiemy, że jestem większy niż kilka jej palców. – Uśmiecha się zarozumiale i psotnie jak dziewiętnaście lat temu, gdy się w nim zakochałam.

– Tak, kochanie – mruczę zalotnie.

– Jestem jak cholerna broń.

Nate uśmiecha się półgębkiem, na co odpowiadam podobnie.

*Boże, jak ja go kocham!*

Uwielbiam jego siłę to, jak mocno stara się mnie chronić, nawet jeśli sam ma wątpliwości i obawy. Kocham go, ponieważ nieustannie potrafi odnaleźć optymizm nawet w ciężkich chwilach. I przez to, że jego poczucie humoru nigdy nie zawodzi, zupełnie jak dzisiaj.

– Mam nadzieję, że nie postarasz się jej zarejestrować.

Unosi brwi.

– Według ciebie mógłbym to zrobić? – Nim mam szansę odpowiedzieć, kiwa głową, dając się porwać tej nedorzecznej myśli.  
– Może robiliby zdjęcia. Wysłaliby je do Księgi rekordów Guinnessa w kategorii „Najniebezpieczniejszy penis świata”.

– Nie, bo to brzmi, jakbyś samego siebie nazywał penisem. Chcesz, żeby ludzie nazywali cię Fiut?

Mąż uśmiecha się przez chwilę, po czym szczerzy zęby od ucha do ucha.

– Nie, chyba że nazywaliby mnie Pan Fiut. No wiesz, z szacunku dla najstraszniejszego penisa na świecie.

Oczywiście, że Nate nie jest poważny, ale podejmuję grę i mówię:

– Myślę, że nie potrzebujesz, tak jak i reszta męskiej populacji, jeszcze bardziej czcić swojego przyrodzenia.

– Och, daj spokój. Przyznaj, że je uwielbiasz. – Kiedy przewracam oczami, Nate chwyta mnie za podbródek. – No dalej. Możesz to powiedzieć. „Uwielbiam twojego penisa, Nate. To najładniejszy penis na całej wielkiej Ziemi, Nate. Dziękuję, że kochasz mnie najniebezpieczniejszym penisem na świecie, Nate”. – Przerzywa nam hałas pod drzwiami, więc nasłuchujemy.

Wciągam gwałtownie powietrze.

Nate patrzy szeroko otwartymi oczami.

Jestem przekonana, że ma nadzieję, że nikt nie podsłuchiwał naszej dziwacznej rozmowy.

Mija dłuższa chwila, w której nikt do nas nie wchodzi, więc mąż w końcu szepcze:

– Może powinniśmy zatrzymać temat najniebezpieczniejszego penisa na świecie tylko między nami. Ludzkość chyba nie jest jeszcze na niego gotowa.

– Chyba tak będzie lepiej – odpowiadam równie konspiracyjnym szeptem. – Sama nie wiem, czy jestem na niego gotowa.

Patrzymy sobie w oczy przez dobre piętnaście sekund, nim oboje parskamy śmiechem. Chichoczymy jak nastolatki – i to jest wspaniałe. Dobrze jest tak się śmiać, może nawet lepiej przy otaczającej nas ciężkiej chmurze niepewności. Jesteśmy razem,

a to stanowi ogromną różnicę.

Jesteśmy jak dwoje młodych zakochanych pod jednym parasolem w czasie deszczu. Znajdujemy schronienie przed żywiołem, ciepło w swoich ramionach i pocieszenie przy tak nieprzyjaznych okolicznościach. To my kontra świat.

My kontra czas.

Nasza wesołość blednie, a ja nadal leżę, patrząc Nate'owi w oczy. Odpowiada mi spojrzeniem.

– Kocham cię najbardziej na świecie – wyznaję cicho. Nie żeby o tym nie wiedział, ale ostatnio czuję potrzebę częstego powtarzania tych słów.

– I ja cię kocham. Przetrywamy to – obiecuje, pochylając się, by pocałować mnie w czoło, pozostawiając usta na mojej skórze nieco dłużej niż zwykle. – Wszyscy troje.

Wypuszczam powietrze z płuc, choć nie byłam świadoma, że je wstrzymuję. Może potrzebuję od niego zapewnienia, że wszystko będzie dobrze. Może potrzebuję, by to poczuł. Bez względu na powód, rozluźniam się i zapadam głębiej w materac.

W końcu zjawia się technik, by zabrać mnie na USG. Kiedy zostaję przywieziona z powrotem do sali, nie muszę długo czekać na doktor Stephens, by przedstawiła wyniki.

– Wygląda mi to na łożysko przodujące – mówi – ale nie sądzę, byś musiała zostać w szpitalu, ponieważ to nic poważnego. Powinnaś leżeć w łóżku i nie wstawaj, jeśli nie musisz. Nie ćwicz. Nie uprawiaj seksu – podkreśla ostatnie słowo z humorem, gdy odwraca się, ostrzegając Nate'a. – Porozmawiam z panem Li. Wcześniej już jeździł na wizyty domowe. Jestem pewna, że zjawi się u ciebie, byś nie musiała ruszać się z domu tak często. – Pan Li jest człowiekiem specjalizującym się w medycynie chińskiej, który przygotowuje mi zioła i wykonuje akupunkturę.

Lekarka wyznacza datę kolejnej wizyty i zaleca mi dodatkowo, by nie myć się za głęboko i nie wkładać niczego do pochwy, poza tym nie przemęczać się ani nie upadać. Generalnie mam traktować ciało, jakby było ze szkła. Nie sądzę, by stanowiło to problem. Nate



przeważnie tak właśnie mnie traktuje. I, szczerze mówiąc, mam gdzieś, na co muszę przystać, zrobię wszystko, by dziecko było bezpieczne.

– Ale wszystko jest w porządku? To znaczy dziecku nic nie będzie?

Doktor Stephens uśmiecha się.

– Nie widzę, dlaczego miałyby być inaczej. Spokojnie. Jesteście już niemal na mecie.

Po raz pierwszy, odkąd zobaczyłam krew, w pełni się rozluźniam.

\*\*\*

– Nate! Nie musisz mnie nieść. Na litość boską, potrafię jeszcze wejść do domu – wyklócam się, gdy mąż podrywa mnie z podłogi od razu po opuszczeniu auta w garażu.

– Lubię cię nosić – zapewnia, kołysząc mnie podczas zamykania drzwi samochodu. – Przypomina mi to o karmieniu płaszczyk na Kajmanach. Pamiętasz?

Opieram głowę na jego ramieniu, ale słyszę wesołość w jego głosie.

– Jak mogłabym zapomnieć? Ktoś mnie namówił na ich karmienie, mimo że bałam się wysmarowania śluzem czy ukłucia kolcem. Jednak byłam na tyle głupia, by to zrobić.

– To, że cię namówiłem, było w porządku. Ostrzegano cię, byś ich nie dotykała. Skąd mogłem wiedzieć, że po nakarmieniu ich wskoczysz do wody?

– Nie chciałam. Chyba zrobiłam to podświadomie. No przecież byliśmy w wodzie. Nie przemyślałam tego.

– Aż przypląnęła duża samica, wiedziona dziwnym zapachem.

– Tak, dopiero wtedy o tym pomyślałam!

Uśmiecham się na to wspomnienie. Zamarłam wystraszona, gdy przypląnęła do mnie płaszczyka i przyssała się do mojej nogi jak odkurzacz. Nie bolało, lecz było to przerażające. Przynajmniej dla mnie. Piszczalam i próbowałam uciec, ale nie za dobrze mi szło w słonej wodzie sięgającej mi po pachy. Jeśli już, zapewne pogorszyło to tylko sytuację. Ale słodki Nate tak zdenerwował się

moim stanem, że gdy znalazłam się na brzegu, zaniósł mnie aż na przystanek łodzi, a z niej do naszej kajuty po powrocie na statek. Nic mi się nie stało, ale nie chciał ryzykować.

Po tym incydencie, który był bardziej komiczny niż straszny, Nate zaproponował, że mnie rozbierze i umyje mi nogę. Wytłumaczył to chęcią sprawdzenia, czy nie doszło do infekcji, choć uśmiechał się seksownie i kusząco. Skóra nie była przerwana, ale i tak się zgodziłam, bo spodobała mi się intymność, jaką przy tym odkryliśmy. Dotykaliśmy się, śmialiśmy się i całowaliśmy co kilka minut przez resztę podróży. Poza zajściem w wodzie, nie było chwili, bym nie czuła się szczęśliwa.

Zaraz później się pobraliśmy. Byliśmy młodzi i energiczni, życie stanowiło wspaniałą zagadkę, która ciągnęła się przed nami jak zachodzące słońce nad oceanem – w nieskończoność. A nawet dalej.

Gdyby ktoś powiedział nam, co nas czeka, nie uwierzylibyśmy mu. Podejrzewam, że nikt nie spodziewa się wczesnego, bolesnego, okrutnego końca. Wielu się go obawia, ale nikt go nie wyczekuje.

Nate wnosi mnie bezpiecznie do domu, ale kiedy znajdujemy się w sypialni, do oczu napływają mi łzy. Nawet jeśli lekarka nie potwierdziła obaw o utratę dziecka, czuję głęboko w piersi ból, który nie chce przeminąć. Niedobre przeczucie atakujące serce, rozchodzące się po kościach, kończące się drżeniem rąk.

W efekcie końcowym trzęsę się jak osika na wietrze.

Kiedy się w końcu uspokajam, siadam na wielkiej kanapie i wyciągam telefon z kieszeni. Drżącymi palcami uruchamiam nagrywanie. Biorę kilka głębokich, kojących wdechów, walcząc ze szlochem blokującym mi gardło.

W końcu udaje mi się pozbierać.

Chociaż uśmiechanie się do kamery to już zupełnie inna historia.

Potrzebuję dwóch prób, nim mi się udaje, a gdy w końcu to się staje, wciskam czerwony guzik.

– Cześć, mała Grace. Tu twoja mama. – Podczas mówienia głaszczę się po zaokrąglonym brzuchu, jakbym w ten sposób mogła pocieszyć swoje dziecko. A może dziecko ma pocieszyć mnie? –

Wiem, że dziś było strasznie, ale... Nie chcę, byś się bała. Jeśli z jakiegoś powodu nie uda ci się przybyć na ten świat, odnajdę cię w następnym. Nie będziesz sama. Przysięgam. Jeśli obudzisz się w niebie, poczekaj na mnie. Niedługo się zjawię. Odnajdę cię. Przyjdę, by wziąć cię w ramiona. Utlę cię i... ci zaśpiewam. I spędzimy razem wieczność. Nie bój się więc, mała Grace. Zawsze będę przy tobie. Zawsze. Po prostu mnie poszukaj. W niebie, w ciemności, w falach, w świetlikach. Dokądkolwiek pójdziesz, będę przy tobie. Kocham cię, słodka córeczko. W tym życiu i w następnym. Zawsze.

Z siłą zarezerwowaną wyłącznie dla męża i dziecka uśmiecham się, aż przestaję nagrywać. W chwili, w której komórka się wyłącza, nakrywam twarz dłońmi i szlocham ze strachu i bezradności. Albo ze szczęścia i z ulgi. Nie wiem, co powinnam czuć, więc odczuwam wszystko – pozytywy i negatywy, dobre i złe rzeczy. Mam nadzieję i jednocześnie czuję się bezsilna.

Nie mam pojęcia, co przyniesie przyszłość, nawet jeśli mogę jej doczekać, czuję na karku chłodny powiew oddechu śmierci. Choć nie wiem, czy czyha na mnie czy na moje dziecko, tak czy inaczej droga, którą mam przed sobą, jest bardzo ponura.

Płaczę w ciszy. Nie wydaję żadnych dźwięków. Nie ma mowy, bym ujawniła dławiącą mnie agonię. Jedyne co czuję w tej chwili to upływ czasu.

Galopujące sekundy.

## ROZDZIAŁ 19

### *THE HARDEST PART IS THE NIGHT*

NATE

W ciągu następnych tygodni stan Leny gwałtownie się pogarsza. Wygląda to tak, jakby ciemna chmura unosząca się do tej pory w oddali, napłynęła w końcu i deszcz nieszczęść spadł na moją żonę. I na mnie również. Zła pogoda zastała nas oboje.

Zaczęło się rankiem po incydencie z krwawieniem i każdego dnia było coraz gorzej. Lena – oczywiście – z tym walczy. Wciąż nie chce poddać się w sprawie dziecka, ale z każdym dniem ma coraz mniej energii.

Walczy również z depresją, która niczym czarne pnącza bluszczu oplata jej serce. Niemal widzę wijące się liany, które ją obejmują i ściskają coraz mocniej, ciągnąc w dół.

Nissa próbuje pomóc. Przychodzi codziennie, by poczytać Lenie czy obejrzeć z nią film – zazwyczaj jakiś pochodzący z czasów ich młodości coś, przy czym mogą śpiewać lub się śmiać, jak *Grease* lub *Flasha Gordona*, co uważam za zabawne.

Żona zmaga się także z dezorientacją. Parę dni temu powiedziała, że poczuła, jakby obudziła się ze snu, ale nie rozpoznała rzeczywistości. Czasami myli jej się czas, nie jest też pewna, gdzie się znajduje. Po raz pierwszy zauważyłem to przy Nissie, która u nas była. Czytała coś Lenie, ale ta jej przerwała:

– Jak ci się układa z Markiem? Przepraszam, że od tak dawna nie pytałam.

Nissa wzięła ją za rękę.

– Przecież masz ważniejsze sprawy na głowie. – Puściła oko do mojej żony, która odpowiedziała uśmiechem, choć był smutny.

– No i? Jak wam się układa?

– Niezbyt dobrze. Chyba raz lepiej, raz gorzej. Czasami tylko zastanawiam się, jak długo jeszcze tak wytrzymamy. To znaczy, równie dobrze moglibyśmy być współlokatorami. Opiekunkami do dzieci. Chociaż to akurat głównie moja rola.

– Przykro mi, kochana.

Nissa wzruszyła ramionami.

– Któregoś dnia pójdę po rozum do głowy. Nie jestem jednak skłonna czegoś z tym robić, póki dzieci są małe. Nie mam pojęcia, co bym zrobiła, gdyby mnie teraz zostawił.

Lena skinęła głową ze współczuciem, między kobietami zapadła chwilowa cisza. Mojej żonie zaczęły ciążyć powieki i zasnęła. Nissa obserwowała ją z kanapy, ja – zza kuchennej wyspy. Zastanawiałem się, czy przyjaciółka cierpi tak samo jak ja, obserwując piękną, energiczną Lenę w tym stanie. Mnie ten widok łamał serce.

Żona drzemała jedynie dziesięć minut. Kiedy się obudziła, uśmiechnęła się do Nissy, jakby w ogóle nie spała i zapytała:

– A jak ci się układa z Markiem?

Muszę przyznać, że sąsiadka dobrze z tego wybrnęła. Nie zawahała się nad odpowiedzią:

– Jest dupkiem, ale mnie to nie dziwi. Zawsze był dupkiem.

Obie się śmiały, ale mnie ścisnęło się gardło.

Przez kilka dni Lena nie chciała o tym rozmawiać. Próbowала ukrywać swoje pomyłki. Ale i tak je widzę. Nawet bez przykładowej rozmowy z Nissą widzę, co się dzieje. Jestem świadomy każdej zmiany w żonie, jakby chodziło o moje własne ciało.

Wiem, że walczy, jestem też świadomy, dlaczego nie chce o tym mówić, przyznawać się do tego. Próbuje mnie chronić. A ja ją. Choć to nie zmienia rzeczywistości.

Fakty są takie, że choroba Leny postępuje. I nie możemy nic z tym zrobić. Dla mnie oznacza obserwowanie, jak ukochana ode mnie odchodzi i to w najstraszliwszy sposób, jaki można sobie wyobrazić – cząstka po cząstce, dzień po dniu, bez jakiegokolwiek

wsparcia.

Nieustannie jej pilnuję. Okresy, gdy wydaje mi się, że nie ma jej ze mną, występują coraz częściej. Najgorsze są noce. Właśnie z tego powodu nie pozwalam sobie na głęboki sen. Obawiam się, że wstanie w ciemności i jej nie usłyszę. Boję się, że jeśli tak się zdarzy, stanie się coś strasznego. Że coś sobie zrobi lub będzie wymagała mojej pomocy. Jestem przerażony, że nie będzie mnie przy niej, więc śpię z jednym otwartym okiem jak zając.

Dziś Lena zasnęła na kanapie. Nie zjadła kolacji, co jest do niej niepodobne. Chociaż postanowiłem jej nie budzić. Jeden raz bez posiłku nie powinien jej zaszkodzić, ale jeśli sprawa zacznie się powtarzać, skonsultuję to z lekarzami. Lena musi jeść. Dla siebie i dla dziecka. Mam nadzieję, że to jednorazowe zdarzenie.

Chciałbym, by Lena dobrze się czuła tak długo, jak to możliwe. Wiem, że sama również tego pragnie. Wymaga tego. Dodatkowo wystarczająco dużo się naczytałem, by wiedzieć, że w terminalnych przypadkach raka, takich jak jej, istnieje punkt krytyczny, po przekroczeniu którego nie ma możliwości powrotu do zdolności samodzielnego życia. Trzeba będzie odżywiać organizm przez sondę, a nie wyczekuję chwili, w której spotka to moją żonę.

Około jedenastej zaniósłem ją do łóżka i przytuliłem, od tego czasu drzemię. W chwili, w której się obraca, otwieram oczy.

Siadam.

– Wszystko w porządku? – pytam.

– Tak, tak – odpowiada wyraźnie. – Muszę wydać tylko dyspozycje.

*Dyspozycje?*

Wstaję i idę za nią. Mój wzrok szybko przyzwyczaja się do ciemności, więc bez problemu obserwuję, jak żona podąża korytarzem. Doskonale widzę, gdy przystaje, patrzy na swoje ręce, liże palec i przerzuca strony, które tak naprawdę nie istnieją. Obserwuję, jak z uwagą przegląda dokumenty, wodzi palcem po wyimaginowanej kartce. Zastanawiam się, czemu się przygląda. I dlaczego. Oczywiście to coś związanego z pracą, co mnie nie

dziwi. Przez całe dorosłe życie pracowała jako pielęgniarka. W białym fartuchu jest jej równie wygodnie jak w piżamie.

– Podwyższony poziom amoniaku – mamrocze, nim przyciska nieistniejącą teczkę do piersi i idzie dalej korytarzem.

Idę za nią do kuchni, gdzie Lena wyciąga stołek i siada na jego krawędzi przy wyspie, jak wielokrotnie w pracy przy biurku. Wiem, że to zwyczaj personelu medycznego – wszyscy siadają na krawędzi krzesła, w każdej dyżurce w kraju. Na tych krzesłach z kółkami. Może dlatego, by szybko z nich wstać. A może te krzeselka nie są zbyt stabilne. Nie znam przyczyny, wiem jedynie, że często to widywałem.

Lena odkłada wyimaginowane dokumenty na granitowy blat i ponownie przerzuca strony. Przegląda je przez kilka minut, jakby szukała czegoś szczególnego. W końcu wyciąga rękę i coś chwytą. Zaciska palce, jakby wyciągała to coś z niewidzialnej przegródki i dodawała do kupki. Zakładam, że kompletuje zalecenia, o których mówiła, zapewne wyciągając je z czarnych kuwet, jakie zazwyczaj miała na rogu biurka, tych, w których organizowała ważne dokumenty.

Nie ma pojęcia, że znajduje się w naszej kuchni ani że za nią stoję. Obecnie jest w świetle, który widzi, słyszy i czuje tylko ona.

Ściska mi się gardło. Tkwi w nim gęstwa wielkości mojego pierwszego samochodu, starego buicka z zardzewiałymi błotnikami i oponami nie do pary. Przełykam kilkakrotnie ślinę, jednak w niczym to nie pomaga. Odczuwam ból, przyglądając się tej scenie, żonie, która jest tak słaba i delikatna, ale przecież jej nie zostawię.

Nie odejdę. Ani teraz, ani nigdy.

Opieram się więc o ścianę w kuchni i przyglądam Lenie, która wypełnia dokumenty widoczne jedynie w jej wyobraźni. Pracuje nad nimi uważnie przez jakieś pięć minut, pisząc coś długopisem, który jedynie ona czuje, nim bierze banana z miski na blacie i przykłada go do ucha, jakby rozmawiała przez telefon.

– Potrzebuję zlecenia na badania dla pacjenta z sali numer sześć.

USG wątroby, próby wątrobowe i ponowna morfologia. Wydaje mi się, że dobrze by było sprawdzić też krzepliwość krwi i to tak szybko, jak to możliwe. Dziękuję. Zanim odkłada banan, trzyma go przez chwilę przed sobą, wpatrując się w niego intensywnie. Śmieje się cicho, kładzie obok, ale nie komentuje. Zastanawiam się, czy w końcu zdała sobie sprawę z tego, co robi, i że to wcale nie jest telefon.

Wraca jednak do „pracy”, nieustannie segregując dokumenty, nim składa je schludnie na blacie i układa na nich ręce. Czekam, co się dalej stanie, ale wydaje się, że postanawia po prostu posiedzieć usatysfakcjonowana w ciemnym, cichym pomieszczeniu, zatracona we własnym świecie. W końcu mamrocze, że musi zadbać o szczegółowe badania dla jakiegoś pacjenta.

– Ból w prawym górnym kwadrancie, utrata apetytu, narastające zmęczenie i dezorientacja – wylicza, jakby nad czymś dedukowała.  
– Założę się, że to wątroba.

Niewiele znam się na medycynie, ale po spędzeniu połowy życia z pielęgniarką i po wielokrotnych wizytach u lekarzy z Leną, orientuję się, co to może oznaczać. Żona skupia się nad przypadkiem zaburzeń pracy wątroby, więc mimowolnie zastanawiam się, czy w ten sposób nie odzwierciedla się jej własny strach przed postępem raka w jej gruczole. Czy to możliwe, by umysł żony katalogował objawy i zastanawiał się nad jej własnym stanem?

Nagle Lena cichnie. Kiedy milczy przez dłuższą chwilę, odsuwam się od ściany i podchodząc do niej, mówię cicho:

– Hej, kochanie, co robisz? – Odwraca się do mnie z zapierającym dech uśmiechem.

Przystaję. Czuję się, jakbym został uderzony gwałtownym podmuchem wiatru. Jej uśmiech porusza mnie do samego rdzenia duszy. Przez lata spędzone razem widywałem go niezliczoną liczbę razy. W tym uśmiechu się zakochałem, w wyrazie szczęścia na mój widok, obrazie jej zadowolenia.

Nie widywałem tego uśmiechu już od jakiegoś czasu.



Od diagnozy Lena potrafiła jedynie udawać szczęście, ale było to tylko powierzchowne. Teraz to widzę, porównując uśmiech sprzed diagnozy z tym po czasie, gdy dowiedziała się o swoim terminalnym stanie. Robi, co może, by ukryć przede mną swój ból, ale i tak wiem.

W głębi duszy jest zrozpaczona.

– Co za miła niespodzianka! – wykrzykuje, odchylając głowę, by mnie pocałować. Spełniam niemą prośbę. Z ochotą.

Ostatnio nie mogę się nią nasycić, nie potrafię być wystarczająco blisko. Czuję się, jakbym opuścił powieki przy mruganiu, po uniesieniu których mogłaby zniknąć, wyparować bez śladu. Boję się, że coś przegapię. Cokolwiek, bo tak niewiele mi zostało.

Głaszczę palcem jej gładki policzek, zastanawiając się, co powiedzieć. Jestem porażony. Jej piękno i dobro sączące się z każdego pora porcelanowej skóry oszałamiają. Zawsze tak było. Przez lata często zastanawiałem się, dlaczego miałem tak wielkie szczęście.

Teraz już wiem.

Ale dostałem ją jedynie na połowę życia, na niewystarczająco długo. Ceną miłości jest utrata jej. Będę kochał ją wiecznie, nawet kiedy odejdzie.

– Głodna? – pytam.

Nie wiem, co innego miałbym powiedzieć, co nie zaburzyłoby świata w jej głowie. Słyszałem kiedyś, że niedobrze przywracać kogoś do rzeczywistości, gdy mentalnie tkwi gdzie indziej. Nie mam pojęcia, czy tyczy się to też Leny, ale nie chcę ryzykować, więc gram zgodnie z jej wyobrażeniami.

– Bardzo – odpowiada, łapiąc mnie za szyję i przyciągając do siebie. Ponownie ją całuję, próbując zapanować nad drżeniem dolnej wargi. Jest mi coraz trudniej opanować smutek, który mnie przytłacza.

Przełykam ślinę, nim ponownie się odzywam, odsuwając od siebie wpływające na moje struny głosowe emocje. Nie chcę, by żona wyłapała mój strach. Nie mam pojęcia, jak miałbym odpowiedzieć

na pytania, które mogłaby zadać, a nie chcę jej niepotrzebnie denerwować.

Ukrywam więc wszystko.

Ostatnio cały czas to robię.

Dla dobra żony ukrywam swój ból i próbuję zachowywać się w miarę normalnie. Nie chcę, by wiedziała, że ja również umieram, choć w inny sposób, przez co moje ciało pozostanie żywe, ale reszta stanie się zbieraniną zdruzgotanych, martwych cząstek, bez szans na wyzdrowienie.

– Zrobię jajecznicę – proponuję.

– Wspaniale.

Odsuwam się niechętnie i obchodzę wyspę, by włączyć światło nad kuchenką, dzięki któremu zdołam coś przyrządzić.

– Jak ci mija dzień? – pytam nonszalancko, wyciągając patelnię z szafki, a z lodówki jajka i masło, by przygotować moją słynną jajecznicę.

Lena wzdycha ciężko.

– Lepiej, gdy tu jesteś. Mam pacjentkę, która może mieć niewydolność wątroby lub nawet raka. Ona... ona... – Słowa zamierają, Lena cichnie za moimi plecami. Obracam się i widzę, że z miski na owoce wyjęła sześć jabłek i poustawiała je na blacie.

– Co z nią? – nalegam na wyjaśnienie.

Żona wzdyga się i patrzy na mnie.

– Co?

– Mówiłaś o pacjentce, która cierpi z powodu wątroby.

– Czekał. Muszę je posortować. Daj mi chwilę. – Ponownie wpatruje się w jabłka na blacie. Układa je w rzędzie, pilnując, by się stykały.

Robię jajecznicę, przyglądając się jej poczynaniom. Nie odzywa się przy pracy. Poprawia wielokrotnie jabłka zatracona we własnym świetle, który tak naprawdę nie istnieje.

Stracona dla mnie.

Oczy szczypią mnie od łez, gdy przypominam sobie o czymś, co przeczytałem na temat objawów występujących w ostatnich

tygodniach życia, gdy poszczególne organy przestają funkcjonować. W artykule, który znalazłem na stronie hospicjum, było napisane, że pacjenci często zachowują się dziwnie, gdy zbliża się czas na opuszczenie tego świata. To podświadomy wysiłek, by uporządkować życie przed odejściem.

Przed śmiercią.

Muszę się odwrócić i zacisnąć mocno powieki, ponieważ uderza we mnie ogromny smutek.

Stracę ją.

Stracę żonę. Moją bratnią duszę. Moją drugą połowę. Powietrze, którym oddycham. Stracę ją i nic nie mogę na to poradzić.

Choć wiedzieliśmy, że jej stan jest terminalny, nie chciałem wierzyć, że nie ma dla niej nadziei, że naprawdę niczego nie da się zrobić. Wierzyłem, że skoro jest młoda i zdrowa, jej ciało wytrzyma nieco dłużej, będzie walczyło mocniej, aż w końcu lekarze znajdą sposób, jak jej pomóc. Nie wprowadziłem się w błąd celowo, ale teraz widzę, że właśnie tak się stało – uwierzyłem samemu sobie.

W jakiś sposób udało mi się przekonać własny umysł i serce do tej błędnej teorii, lecz w tej chwili rzeczywistość – wiedza, że ciało żony zawodzi i nieuchronnie zbliża się jej koniec – uderza we mnie jak rogi byka, którego rozwścieczyłem na tyle, że jest gotowy mnie zniszczyć.

Prawda pod postacią tego byka mnie goni.

Coraz szybciej.

Zabieram patelnię z kuchenki i odsuwam się, chwytam się blatu i zwieszam głowę. Stoję w bezruchu, próbując się pozbierać.

Potrzebuję całej swojej siły, by zapanować nad bólem serca. Koncentruję się usilnie, choć i tak zabiera to sporo czasu, nim powracam do akceptowalnego poziomu równowagi. Dopiero gdy wydaje mi się, że mój stan wrócił już do normy, obracam się twarzą do Leny. Znowu jestem dogłębnie roztrzęsiony. Widok, jaki mam przed sobą...

*Jezu Chryste.*

Lena wciąż układa jabłka, próbując zapanować nad swoim

życiem, a scena ta nadal odrywa moją duszę od ciała.

– Jajecznicza gotowa – mówię tak wesoło, jak tylko potrafię, uśmiechając się, gdy żona na mnie patrzy. Marszczy czoło, jakby nie wiedziała, gdzie jest ani dlaczego jestem z nią.

– Jajecznicza?

– Tak. Nie zjadłaś kolacji. Musisz jeść.

– Ach, tak, tak. Umieram z głodu – stwierdza, jakby poprzednie dziesięć minut w ogóle nie istniało.

Kładę jajka na talerzu i podchodzę do żony na niestabilnych nogach niczym nowo narodzony cielak. Stawiana na blacie porcelana grzechocze, ponieważ drżą mi dłonie.

Podaję jej również widelec wyciągnięty z szuflady. Staję naprzeciwko miłości mojego życia i przyglądam się, jak spożywa jajecznicę, śmiejąc się z czegoś, co słyszy tylko ona.

Przyglądam się i płaczę w duchu z powodu bitwy, jaką toczy, bitwy, której ja mogę się tylko przypatrywać.

Bitwy, którą przegra.

Boję się również, jak będzie wyglądała reszta mojego życia bez niej.

\*\*\*

Dezorientacja pogłębia się z czasem. Lekarze nie potrafią nic na to zaradzić, ponieważ leki, które mogliby podać, by wypłukać amoniak z ciała Leny, gromadzący się z powodu upośledzenia funkcji wątroby, zagrażałyby dziecku. Powiedziano mi, że to część choroby, która przychodzi i odchodzi samoistnie.

Ale nie wróży to dobrze.

Lenie nie zostało za wiele czasu.

Moja silna i wspaniała żona dotrwała do dwudziestego ósmego tygodnia ciąży. Kiedy jest przytomna i świadoma, niesłychanie się z tego cieszy.

Cieszę się jej szczęściem i jasnością umysłu.

Nauczyłem się wykorzystywać ten czas, by mówić, co musi zostać powiedziane, by cieszyć się chwilami, które mogą być ostatnie, ponieważ każda z nich może się taka okazać.

Podczas tych dobrych momentów nadal kręcimy filmy. Chociaż są one coraz krótsze. Coraz mniej reżyserowane. Teraz to bardziej myśli, które żona pragnie przekazać córce, rozmaite mądrości i sporadyczne anegdoty.

Cenię je tak samo jak wiadomości, które miały perfekcyjny sens, ale coraz trudniej mi na nie patrzeć. Czuję, jakby żona nikła na moich oczach. Jest bladą, podobną do ducha wersją energicznej kobiety, która zaczęła kręcić te filmy, a każda sekunda nagrania jest teraz szpilką wbijaną w moje serce.

Dziś kieruję na nią komórkę, kiwając głową, by zaczynała. Kiedy mówi, żołądek kurczy mi się, zaciskając w nieprzyjemny supeł.

– Często się śmiej i kochaj mocno, mała Grace – radzi. Wpatruje się w kamerę, jakby za jej pomocą naprawdę mogła zobaczyć twarz córki po drugiej stronie. – Wypełniaj słój. Póki twój słój będzie pełen, twoje życie nigdy nie będzie puste. I ilekroć będziesz miała ku temu szansę, wystawiaj twarz ku słońcu, ucz wiatr, jak wiać. Nie bój się, moja córeczko. Bądź nieustraszona.

Zazwyczaj pod koniec nagrania się uśmiecha, zaprzeczając pogodnym nastrojem temu, co dzieje się z jej ciałem i życiem. Ale tym razem głos jej się łamie, a czoło marszczy, gdy żona próbuje nie okazać prawdziwych emocji. Czekam przez chwilę, aby się pozbierała, ale tak się nie dzieje. Siada w milczeniu i zwiesza głowę. Obserwuję ją na ekranie komórki. Widzę, jak unosi się jej pierś, w pewnym momencie orientuję się, że zasnęła.

Coraz częściej jej się to zdarza – po prostu zasypia. Właściwie niespodziewanie odpływa. Częściej śpi, niż jest przytomna.

Zastanawiam się, ile czasu zostało do chwili, gdy w ogóle się nie obudzi.

Wiem, że to w końcu nadejdzie. Lena wpadnie w śpiączkę, z której nigdy się już nie obudzi.

Za każdym razem, gdy zasypia, mam w głowie tę samą myśl: czy zobaczę jeszcze piękne oczy mojej żony?

Wyłączam nagranie. Wstaję powoli i przemierzam pokój. Dopiero gdy znikam za rogiem, opadam na podłogę, przeczesując palcami

włosy, spuszczać głowę w geście porażki.

Walczę, by nie załamywać się przy żonie. By trzymać uniesioną głowę. Wszystko, by pokazać, że daję radę.

Ale, gdy mnie nie widzi, rozpadam się.

\*\*\*

W kolejnych dniach, gdy Lena jest w trzydziestym pierwszym tygodniu ciąży, dopada ją ból. Pierwsze oznaki zauważam, gdy żona chwytą się za prawy bok i krzywi, sapiąc, wstrzymując na chwilę oddech.

– Dobrze się czujesz? – pytam natychmiast.

Wcześniej obserwowałem jej walkę, by się nie poddać, by się uśmiechnąć.

Widziałem, jak przywdziewała na twarz maskę.

– Tak. To tylko małe klucie.

Z czasem „małe klucie” występuje coraz częściej i trzyma o wiele dłużej. Pan Li przychodzi dwa razy w tygodniu i robi co w jego mocy, by jej ulżyć. Zmienia zioła. Stosuje akupunkturę, aromaterapię i projekcję... Jednak nic nie wydaje się pomagać. Lena zaciska usta i trwa w bólu, uśmiechając się do mnie, gdy jej przechodzi, jakby nic się nie stało. Nawet w chorobie i bólu, wciąż stara się mnie pocieszać, bym myślał, że wszystko jest w porządku, że nic jej nie jest. Widzę jednak te wysiłki. Oczywiście, że potrafię je dostrzec. Przecież ją znam.

Doskonale ją znam.

Widzę bladość jej cery, cienie pod oczami, grymas, który coraz częściej ma na twarzy. Wyraźnie widzę, że nie jest dobrze.

Czasami mam ochotę nakrzyczeć na nią, by pokazała, jak naprawdę się czuje, żeby przestała się przede mną ukrywać. Złoszczę się, bo niekiedy wydaje mi się, że stara się mnie chronić, ponieważ uważa, że sobie nie poradzę, że nie jestem wystarczająco silny. Racjonalizm za każdym razem bierze jednak górę, przypominając mi, że taka właśnie jest Lena. Troskliwa, kochająca, czuła. W ten właśnie sposób kocha mnie jak tylko może.

Jak tylko potrafi.

Właśnie dlatego z uporem tłumię wybuchy gniewu. Nie ma w tej sytuacji miejsca na przerost ego, dumę czy egoizm. Po prostu nie ma.

Okazuje się zatem, że ból w jej boku to zaledwie początek tego, co najgorsze. Lena coraz gorzej znosi jedzenie.

Początkowo wszystko jej mielę, ponieważ nie jest w stanie przełykać dużych kęsów pożywienia. Do koktajli dodaję zioła polecane przez pana Li, by pomogły złagodzić ból i wpłynęły korzystnie na wątrobę. Przez chwilę wydaje się to nawet działać. Waga nie spada, wyniki badań w przeważającej większości wyglądają dobrze, więc niczego nie zmieniam.

Koktajle sprawdzają się jednak przez dwa tygodnie, ponieważ widzę, że stan Leny ponownie się pogarsza. Żona zaczyna się krztusić, nawet gdy próbuje przełknąć płynny pokarm. Coraz szybciej się również męczy.

Wiem, że od tej właśnie chwili wszystko ulegnie gwałtownemu pogorszeniu. Nie podejrzewam, nie zakładam, nie zgaduję. Wiem.

Na wizycie u ginekologa zostaje zważona i widzę, że zaczęła chudnąć.

– Myślę, że to czas, by pomyśleć o dodatkowym odżywianiu – mówi ze smutkiem doktor Stephens. Kiedy się odzywa, zwraca się do mnie. Lena przestała uczestniczyć mentalnie w wizytach. Ostatnio spędza coraz więcej czasu w swoim świecie, robiąc dziwne rzeczy, które mają sens wyłącznie dla niej. Dziś zajęta jest układaniem długopisów na biurku stojącym w kącie niewielkiego gabinetu.

Przekłada wielokrotnie przybory do pisania, jakby nie istniały na świecie ważniejsze rzeczy.

– I musimy rozważyć formę porodu, bo jeśli... jeśli jej dezorientacja nie przestanie się pogłębiać, naturalny poród stanie się niemożliwy.

– Może być cesarskie cięcie. Cokolwiek będzie dobre dla Leny i dziecka. – W klaustrofobicznym pomieszczeniu odbija się męski głos, choć nie brzmi jak mój. Nie rozpoznaję jego monotonii.

Zza moich pleców dobiegają słowa, od których pęka mi serce.

– Dobranoc, księżycu. Gwiazdki, dobranoc. Dobranoc, świetliki, przylećcie znów rano.

Oglądam się i widzę, że Lena wpatrzona jest w swój brzuch. Głaszcze go jedną ręką, w drugiej trzyma pojemnik znaleziony na biurku. Jej głos jest łagodny i kojący, gdy powtarza kołysankę swojemu nienarodzonemu dziecku, i dodaje:

– Nie chodź spać z brudnymi stopami i pustym słojem. Każdej nocy zmów modlitwę i nigdy nie przestawaj biegać za świetlikami.

Ból wślizguje się przez drzwi, wypływa z otworów wentylacyjnych i przebija przez ściany. Wypełnia pomieszczenie i przytłacza, starając się mnie udusić. Przez chwilę nie mogę oddychać, powietrze po prostu nie wpływa do moich płuc. Sapię, zaciągając się ciężką atmosferą. Wciąż nie potrafię tego znieść.

– Przepraszam – mamrocze ochryple, podrywając się z nienacka z miejsca. Rzucam się do drzwi i wypadam na korytarz.

Zataczając się, chwytam pierwszą lepszą klamkę i wchodzę do pustego gabinetu. Zatrzasnę drzwi, upadam na kolana i zwieszam głowę, poddając się przerażeniu.

Cały się trzęsę, wyobrażając sobie żonę siedzącą w sali obok, recytującą córce kołysankę ojca. Mogę myśleć tylko o tym, że nasze słodkie dziecko nigdy nie usłyszy tych słów od matki kładącej je do snu. Grace zapewne nigdy nie dowie się, jak łagodniał wyraz twarzy Leny, gdy powtarzała te wersy. Nigdy nie pozna czułości dotyku jej szczupłych palców na policzku. Nigdy nie będzie tulona w ramionach, które tak mocno ją kochały.

Tragizm tej sytuacji pochłania mnie szybciej, niż jestem się w stanie pozbierać. Dziś... dziś po prostu nie potrafię z tym walczyć.

Więc się poddaję.

Klęcząc, uwalniam swój smutek. Pozwalam, by pokazał się na mojej twarzy, spłynął z oczu. Zaciskam dłonie w pięści, gdy unosi się moja pierś. Czuję, jak pęka mi serce i kruszy się dusza. Przeżywam to, aż tracę całą energię.



Dopiero wtedy oddycham.

Dopiero wtedy mogę zaczerpnąć tchu.

Biorę głębokie, kojące wdechy i powoli wypuszczam powietrze. Na myśl przychodzi mi obraz zdezorientowanej żony, która zastanawia się, gdzie się podziałam. I dlaczego nie wracam.

Nie potrafię znieść myśli, że choć przez sekundę mogłaby sądzić, że ją zostawiłam. Dzięki tej myśli i wspomnianemu obrazowi podnoszę się z kolan i wracam do gabinetu, do tej, która dała mi tak cudowne życie.

Choć w tej chwili i ból.

## ROZDZIAŁ 20

### *STICK TO YOUR GUNS*

NATE

Budzi mnie huk. Natychmiast wstaję i wybiegam z sypialni, nim umysł ma szansę przetworzyć, co się tak naprawdę dzieje. Dopada mnie strach.

– Leno? – wołam.

Nie dostaję odpowiedzi.

Przestraszony i oszołomiony szukam jej w kuchni, po czym w salonie, karcąc się przy tym w duchu. Jakim cudem zasnąłem tak głęboko, że nie usłyszałem, jak wstała? Dlaczego pozwoliłem ciału całkowicie się zrelaksować?

Znam odpowiedź – to wyczerpanie. Od tygodni nie zmrużyłem oka. To oraz nieustanne zmartwienie w końcu się na mnie zemściło.

Kiedy wieczorem położyłem Lenę do łóżka, zwinąłem się obok, a ona przywarła do mnie jak zwykle.

– Kocham cię – mruknęła, nim zapadła w zbliżony do śpiączki stan snu. Moje serce pełne było jednocześnie uwielbienia i cierpienia, więc nie sądziłem, że w ogóle będę w stanie zasnąć.

Ale zasnąłem.

Musiałem głęboko spać, gdy wyszła z pokoju.

– Chryste Wszchemogący! – wzdycham, gdy zauważam żonę leżącą na boku na ceglany patio. Walczy, by wstać, ale się jej nie udaje. Sięga, by się czegoś przytrzymać, ale jej palce trafiają jedynie na pustkę.

Podbiegam do niej, biorę ostrożnie pod pachy i sadzam.

– Coś ci się stało?

Oceniam ją wzrokiem, zatrzymując spojrzenie na majtkach,

szukając oznak krwawienia. Wzdycham z ulgą, gdy żadnych nie zauważam.

Lena się śmieje, piszcząc jak mała dziewczynka.

– Poślizgnęłam się na mokrej trawie – wyjaśnia, klepiąc cegły. – Ale prawie się udało. Patrz! – Wskazuje na ciemne niebo, pokazując coś, co widzi jedynie ona. – Złap je, tato! Złap, zanim uciekną!

Właśnie wtedy orientuję się, o co jej chodzi – o świetliki. Uważa, że znów jest dzieckiem łapiącym z ojcem robaczki świętojańskie.

Wydaje się, że z każdym mijającym dniem Lena coraz bardziej się ode mnie oddala. Tracę ją godzina po godzinie, milimetr po milimetrze, oddech po oddechu. Wiem, że nie potrwa długo, nim całkowicie odejdzie z mojego świata i już nigdy do niego nie wróci. Każde pęknięcie na sercu zmienia się w ogromną dziurę, przez którą ucieka kolejna odrobina mojej nadziei i siły, a dusza ulatuje w chłodne, nocne powietrze.

Stabilizuję pozycję i pochylam się, by wziąć Lenę na ręce. Jej spojrzenie pozostaje wbite w świetliki, których nie widzę, jej twarz promienieje wesołością i podziwem. Pomimo jej zapadniętych policzków i fioletowych cieni pod oczami, jest niesamowicie piękna. Wystarczająco, by zaparło mi dech.

Mimo wszystko.

Wciąż.

Właśnie dlatego siadam na leżaku i sadzam ją sobie na kolanach, odgarniając uprzednio kremowy koc. Tulę ją do swojej piersi i sięgam przez Lenę, by okryć nas oboje. Naciąga koc pod brodę, opiera głowę w zagłębieniu mojego ramienia, a następnie wzdycha, jakby nie mogła być szczęśliwsza. Całuję jasne włosy, które w poświacie księżyca wydają się srebrne, i tulę żonę, która wkrótce zasypia.

\*\*\*

Następnego dnia wiozę Lenę do szpitala, by założono jej sondę nosowo-żołądkową, przez którą będzie odżywiana. Onkolog podejrzewa, że brak zdolności przełykania oznacza

rozprzestrzenienie się nowotworu w dolnej części przełyku. Doktor Taffer chce założyć sondę tak szybko, jak to możliwe, nim rak się rozrośnie i uniemożliwi umieszczenie rurki.

Nie jestem pewien, czy to coś dobrego czy złego, ale Lena jest dziś wyjątkowo świadoma. Odpoczywa na noszach, czekając na lekarza, a w pewnej chwili patrzy na mnie brązowymi oczami.

– Będzie dobrze, Nate. – Jej uśmiech podpowiada mi, że próbuje przekonać zarówno mnie, jak i siebie. – Zobaczysz.

– Wszystko, co zatrzyma cię przy mnie nieco dłużej, jest dobre.

W którejś chwili postanowiliśmy porzucić temat jej przetrwania. W tej chwili wiemy już, że mówimy tu o dniach i tygodniach, z pewnością nie miesiącach. I definitywnie nie latach.

Domyślam się, że Lena jest tego świadoma, ponieważ zdaje sobie sprawę z pogarszającego się stanu własnego ciała. Wydaje się, że wie o tym, nawet gdy odpływa jej umysł. Widać to również w spojrzeniach pielęgniarek i lekarzy. Na ich twarzach gości smutek i litość, które rozrywają moje serce niczym zatruta strzała. Wszyscy wiedzą, że zbliża się koniec. Zbliża się szybko – szybciej, niż potrafię to znieść.

– Pokażą ci, jak się ją obsługuje, byś się tym zajął, gdy nie będę mogła sobie poradzić – zapewnia mnie Lena. Stwierdza fakt, ale w jej słowach jest pustka, która wyciska łzy z moich oczu.

Omawianie śmierci w ten sposób jest straszne.

\*\*\*

Czuję ulgę, ponieważ po umieszczeniu sondy widać różnicę. Pouczono mnie starannie odnośnie procesu karmienia. Lodówkę pełną mam cytrusów i warzyw, które mielę i każdego dnia podaje przez rurkę w płynnej formie. Dwukrotnie w ciągu dnia podaję również niebiesko-zielone suplementy, następnie przepłukuję sondę wodą. Lena jest nie tylko bardziej ożywiona i pobudzona, lecz także ogólnie nie wygląda już na tak bardzo chorą. Skóra się zaróżowiła, jej umysł wydaje się bardziej skupiony, nawet oczy błyszczą jaśniej. Daje mi to niewielką nadzieję.

Może po porodzie uda się ją leczyć. Może lekarze będą w stanie

coś zrobić. Może nie będzie za późno.

– Nie sądziłeś, że to będzie praca na pełen etat, co? – droczy się żona. Siedzimy razem na patio, wygrzewając się w majowym słońcu.

– A myślisz, że dlaczego zwolniłem się z banku? Nie chciałem przegapić ani jednej sekundy z tobą, nawet jeśli oznacza to plamy na moich koszulach. – I rzeczywiście tak jest. Kolor, który zawierają suplementy diety, widać już na wszystkich moich ubraniach.

Uśmiecham się za każdym razem, gdy robię pranie. Mimowolnie przypominam sobie wszystkie te chwile, gdy przez lata Lena wychodziła z pralni, kręcąc głową i mamrocząc pod nosem, jakim jestem brudasem. Teraz widzę, że miała rację. Nie mam pojęcia, jakim cudem całe to jedzenie nieustannie na mnie ląduje, ale nie potrafię zaprzeczyć, że tak nie jest. Dowód widnieje na materiale. Zacząłem nosić nawet fartuch do grillowania, przyrządzając któryś z koktajli.

– Ciekawa jestem, kto okaże się większym flejtuchem, ty czy Grace.

Uśmiecham się do zamyślanej Leny, wodząc wzrokiem po jej delikatnym czole, idealnym nosie i kształtnych ustach. Uwielbiam słuchać, gdy mówi o chwilach, gdy będziemy we troje. Wbrew rozsądkowi mam wielką nadzieję, że będzie ich wiele.

Mój uśmiech blednie na chwilę, ale prędko otrząsam się z zamyślenia. Ostatnio muszę być jeszcze bardziej ostrożny. Coraz trudniej jest mi walczyć ze smutkiem. Czasami atakuje w najmniej spodziewanych momentach, choć nadal jestem mocno zdeterminowany, by ukrywać jego skutki przez żonę.

– Nie mogę się doczekać, aż cię z nią zobaczę. Jesteś urodzoną matką.

Lena milczy, wpatrując się w moją twarz, jakbym był słońcem na niebie. W końcu mówi:

– Nate?

– Tak, kochanie?

Przygryza wargę ze zdenerwowania i wodzi palcem po kołnierzyku mojej koszulki.

– Myślisz, że moglibyśmy odwiedzić moją mamę?

Spinam się.

– Dlaczego byś tego chciała?

Czuję, że wzrusza ramionami.

– Chciałabym się z nią zobaczyć po raz ostatni.

*Moje serce! Jezu!*

Czuję, jak obija się boleśnie o żebra, choć zaczynam się do tego przyzwyczajać.

– Nie jestem pewien, czy byłoby to dobre. To znaczy, powinnaś leżeć w łóżku i odpoczywać.

– Ale nie krwawiłam, odkąd wróciłam ze szpitala – milknie, marszcząc w skupieniu czoło. – Prawda?

Kolejny kolec w mojej piersi. Lena wie, że traci chwile. I wie też dlaczego. Kiedy jej umysł jest przytomny, staje się świadoma utraty całych dni, których nie pamięta. Zdaje sobie sprawę, co się dzieje. Niewątpliwie właśnie dlatego chce spotkać się z matką. I dlatego pyta, czy krwawiła.

– Nie – potwierdzam cicho, choć ochryple. – Nie krwawiłaś już.

– Może więc moglibyśmy się wybrać? – Jej brązowe oczy są pełne nadziei.

– Najpierw zapytamy lekarzy. – Lena kiwa głową, wyraźnie pokonana, więc dodaję: – Jeśli się nie uda, może przywiozę ją do ciebie. Jestem pewien, że dadzą jej przepustkę. Zwłaszcza, że będzie ze mną. Dla ciebie.

– Dziękuję, kochanie.

– Dla ciebie wszystko – odpowiadam, pieszcząc jej jedwabisty policzek. Naprawdę tak uważam. Wszystko bym dla niej zrobił.

Przypominam sobie o chwilach, w których jej umysł jest skołowany, ale Lena próbuje zorganizować własne życie. Spotkanie z matką stanowi zapewne próbę uporządkowania pewnych spraw – pogodzenia się z kobietą, która ją porzuciła.

Jestem zdeterminowany, by doprowadzić do tego spotkania w ten

czy inny sposób. Chcę, by żona była szczęśliwa, bez względu na to, jakie stanowisko obrało moje serce i umysł, nawet jeśli oznacza to czas spędzony z jej matką.

Milczymy zamyśleni, a słońce zaczyna spowijać końcówkę dnia złotym blaskiem. Przyglądamy się, jak niebo z pomarańczowego staje się granatowe. Lena pierwsza zauważa błysk dziwnego światelka.

– Nate! – Siada nagle, zaskakując mnie.

– Co? Co się stało? – Sztywnieje każdy mięsień w moim ciele, a skóra mrowi, gdy szykuję się na akcję.

– Biegnij po słój! Szybko!

Przez kilka sekund to ja jestem zdezorientowany, ale zauważając jej podekscytowaną minę, patrzę w to samo miejsce. W oddali połyskuje pojedynczy świetlik, zmierzający w stronę naszego ogródka. Nigdy ich nie zauważałem, ale Lena od razu go wypatrzyła.

– Dobra, czekaj – mówię, próbując się wydostać, bez niepotrzebnego ruszania żony. Ruszam do kuchni, otwieram szafki, szukając jakiegoś słoika, ale żadnego tam nie ma. Słyszę głos dobiegający z patio:

– Poszukaj w spiżarni. – Odwracam się, idę do spiżarni, włączam światło i zauważam słój stojący w kącie na górnej półce. Wydaje mi się, że w zeszłym roku Nissa przyniosła w nim dzem truskawkowy domowej roboty.

W drodze powrotnej zatrzymuję się w kuchni, by wyciąć nożem otwory w pokrywce. Biorę też telefon ładujący się przy gniazdku i wychodzę.

Lena siedzi prosto na leżaku, zaokrąglony brzuch spoczywa na nim pomiędzy jej rozszerzonymi nogami. Przypomina mi piękną statuetkę Buddy.

Pod wpływem impulsu unoszę komórkę, odnajduję Lenę na ekranie i robię zdjęcie. Niewątpliwie będę je często oglądał. W wyrazie jej twarzy widać magię. Czystą magię.

Unoszę głowę i patrzę na ogród.

Opada mi szczęka.

Świetliki są wszędzie. Setki owadów błyszczą, hipnotyzując swoją mocą. Wygląda to tak, jakby przygotowały przedstawienie wyłącznie dla Leny.

Podchodzę do niej ze słojem, myśląc, że jednak nie powinna z nim biegać po ogrodzie. Wiem, że myśli o tym samym, gdy zwraca się do mnie:

– Złap kilka, a ja cię nakręcę. Nie wydaje mi się, że powinnam skakać po trawie.

Widząc światło na jej twarzy oraz w oczach i wiedząc, że nie może w pełni cieszyć się tą sytuacją, czuję się, jakby ktoś wbił mi nóż prosto w serce i parokrotnie go przekręcił. Nawet tak prosta rzecz stanowi dla niej zbyt wielki wysiłek.

Z uśmiechem, który mam nadzieję, że jest uroczy, a nie zgorzkniały, kiwam głową, podaję jej telefon i odkręcam słoje.

Przechodzę przez ogród, trawa łaskocze moje białe stopy, gdy zgarniam niewielkie owady do naczynia. Lena z ekscytacją kieruje mną z patio.

– Złap tamtego! – krzyczy. – Nie, po twojej lewej. Zaraz obok twojej głowy.

Śmiejemy się głośno, gdy kręcę się wiedziony jej wskazówkami. Ślizgam się wielokrotnie, gdy patrzę w ciemne niebo i namierzam ofiary. W pewnej chwili zaczyna mi się kręcić w głowie, więc przystaję, by odzyskać równowagę. Najpierw patrzę na Lenę, której mina sprawia, że kurczy mi się żołądek. Z oddali, w słabym świetle, wygląda jak młoda kobieta, którą poślubiłem wiele lat temu. Dla mnie zawsze nią będzie, z wiekiem zmieniała się tylko w lepszą wersję samej siebie.

Przyglądam się jej, głęboko wdzięczny, że dany jest mi ten obraz. Na wypadek, gdybym miał go przed oczami po raz ostatni. Zauważywszy, że się jej przyglądam, Lena opuszcza telefon.

– No co?

– Twoja kolej – wyjaśniam. Podchodzę do niej ze słojem i odbieram jej komórkę. – Siedź, nagonię ci je.



Zajmuje mi to chwilę, ale jakieś siedem świetlików leci w kierunku mojej żony, która siedzi na skraju leżaka z szeroko otwartymi oczami i gotowym słojem. Kiedy znajdują się w jej zasięgu, zaczyna je zbierać. Jakby sam Bóg zesłał wietrzyk, by zanieść je ku niej, Lena ostrożnie łapie każdego owada do słoja, aż pojemnik pełen jest ich światła.

Uśmiecha się rozmarzona, zakręcając nakrętkę i wpatrując się w zawartość. Patrzy z różnych stron, nim spogląda na moje nogi, po czym w komórkę.

– Popatrz na brudne nogi taty – mówi, zwracając się do naszego nienarodzonego dziecka, do osoby, która pewnego dnia wpatrywać się będzie w kochające oczy matki na ekranie. Oczywiście opuszczam telefon i podnoszę nogę, by nagrać ich stan. Śmieję się tak samo jak Lena.

– Właśnie dlatego przed pójściem spać musisz umyć nogi. Nigdy nie wchodzi do łóżka z brudnymi stopami.

– Chyba już wiem, co dalej zrobimy – mówię do kamery, nim obracam telefon w stronę żony, która zgarbiła się nieco, a zmęczenie uwydatniło się w jej postawie i na twarzy.

– Czas spać. Dobranoc, Grace – szepcze, głaszcząc zaokrąglony brzuch. – Kocham cię. Zawsze.

*Zawsze.*

Pojedyncze słowo brzmi ostatecznie, choć z definicji nie ma końca. Ale koniec nadejdzie. Mam nadzieję jednak, że później niż wcześniej. Mimo to czuję...

I tak po prostu coś słodkiego i pięknego przekształca się w coś smutnego i łamiącego serce. Wydaje się, że dzieje się tak w każdym przypadku. To nieuniknione. Bez względu na to, jak bardzo się śmiejemy i ile dni nas jeszcze czeka, sytuacja pozostaje niezmienna. Rzeczywistość jest nieubłagana. Koniec i tak nadejdzie. Zawsze czuć go w pobliżu, jak unosi się w cieniu niczym chmura burzowa na horyzoncie. Jednak w tej chwili huragan zbliża się szybciej, niż zdołamy uciec. W końcu nas dogoni i wciągnie.

Oboje o tym wiemy.

## ROZDZIAŁ 21

### *BORN TO BE MY BABY*

#### NATE

Trzeciego czerwca Lenę budzi ból. Słyszę jej sapanie.

Natychmiast się przekręcam, nieomal spadając z łóżka. Widzę, że żona podpira się na łokciu, przyciskając dłoń do prawego boku, zaraz pod żebrami.

Wątroba.

Moje ciało przeszywa arktyczny chłód, jakby owiał mnie zimny wiatr. Żona cierpi coraz częściej i coraz mocniej. Choć wydaje się bardziej świadoma, odkąd poprawiło się jej odżywienie, czuje też ból. A może występuje on niezależnie.

Nie chcę myśleć o tych możliwościach, bo oznaczają, że wcale jej się nie poprawia, a to, że nadal ją tracę. Bez względu na stan jej świadomości (uwzględniając chęć ulżenia jej w cierpieniu i podawanie środków przeciwbólowych) i tak ją stracę. Jak w przypadku innych, związanych z nią sytuacji, nie ma dobrej odpowiedzi, nie ma idealnego rozwiązania.

Jedynie smutek, cierpienie i rozbicie.

W ciągu kilku minut ból z prawego boku rozprzestrzenia się na lędźwie. Lena nie potrafi położyć się w wygodnej pozycji, nie umie siedzieć, więc biorę ją na ręce i niosę do salonu, po czym sadzam w ulubionym fotelu, z nadzieją, że poprawi to sytuację. Gdy mości się na miękkiej poduszce, zauważam wilgoć. Patrząc na podłogę u naszych stóp, następnie za siebie na korytarz, który przemierzyłem, i widzę ścieżkę z mokrych kropek.

Patrząc na żonę, gotowy to skomentować, kiedy na jej twarzy dostrzegam ekscytację wymieszaną ze zmartwieniem.

– Chyba wody mi odeszły.

Po tym stwierdzeniu rozpętuje się piekło. Wszystko robimy w pośpiechu, próbując pomyśleć jednocześnie o koniecznych rzeczach, w razie gdyby stało się coś innego.

Lena jest zaledwie cztery tygodnie przed terminem. Udało jej się dotrzeć do trzydziestego szóstego tygodnia ciąży, choć nie sądziła, by w ogóle mogła donosić to dziecko.

Czas jest nam na rękę. Nasza córka w końcu przyjdzie na świat, ale mam problemy z zachowaniem zimnej krwi. Dopada mnie strach, obawy, do których nie chcę się przyznać.

Skrycie obawiam się, że stracę zarówno Lenę, jak i Grace podczas tego porodu. Lena nie jest zdrowa ani silna, wiele rzeczy może pójść nie tak. Próbuję skupić się na pozytywach i odsunąć od siebie negatywy, ale jest to niebywale trudne!

Po raz milionowy wyrzucam z głowy te myśli, zmuszam je, by wróciły w miejsce, gdzie nikogo nie skrzywdzą. Podobnie jakbym wrzucał te przekłete narty do szafy. Z której pewnego dnia mogą mi wypaść na głowę.

## LENA

Walczę z dezorientacją zasnuwającą mi umysł. Wiem, że jestem w ciąży i jadę na porodówkę. Wiem, że jestem chora i moja choroba postępuje. Mam też poczucie innych rzeczy, wydaje mi się, że znajduję się w innym czasie i innym miejscu, otoczona innymi ludźmi, domagającymi się mojej uwagi. Jestem rozdarta, bo nieustannie muszę walczyć, by zostać w rzeczywistości.

Mieszają mi się dziwne sceny i obrazy, myśli wirują, grożąc przeskokiem w zupełnie inną sytuację. Jestem świadoma tego, co się ze mną dzieje – do pewnego stopnia, ale kompletnie nie potrafię tego powstrzymać.

Tym razem boję się bardziej niż zwykle. W jednej chwili jestem w aucie z Nate'em. W drugiej – w szpitalu przygotowywana do nagłej cesarki.

Ktoś jest gotowy, by rozciąć mi brzuch.

Zaczynam histeryzować. Próbuję dotrzeć do świadomości, podobnie jak pies wykopuje z ziemi starą kość. Oddycham coraz szybciej.

– Co się dzieje?! – krzyczę. – Co się dzieje? Czy z dzieckiem wszystko dobrze?

Zaskoczona i zakryta maseczką pielęgniarka pochyła się nade mną. Widzę jedynie jej gładkie czoło i wielkie szare oczy.

– Dziecko okręcone jest pępowiną, pani Grant. Oznacza to, że pępowina zaciska się na jego szyi. Przygotowujemy panią do cesarskiego cięcia. Może pani oddychać głęboko?

Głos kobiety jest profesjonalny i chłodny. Wcale nie przynosi ukojenia tak samo jak i gładki biały sufit ponad mną.

Potrzebuję ciepła.

Potrzebuję czegoś znajomego.

Potrzebuję odpowiedzi.

Potrzebuję Nate'a.

– Mój mąż. Gdzie jest mój mąż? Gdzie lekarka? Dlaczego nie czuję nóg? – Pytania zalewają mój umysł niczym powódź. Są zupełnie chaotyczne i nieskładne. Napływają nieprzerwanie.

Dyszę gorączkowo, w ustach mam sucho, czuję na twarzy chłodne powietrze.

– Niech ktoś mi powie, co się dzieje!

Mój umysł jest zamglony, ale desperacko szuka słów, ruchów albo obrazów, którymi mógłby wypełnić luki.

Ale niczego takiego nie znajduje.

Czas... Czas przychodzi i odchodzi. Zostaję wrzucona do rzeczywistości, której nie potrafię uporządkować. Nie mam pojęcia, gdzie jestem. Co się stało, że wymagam cesarki?

Jeszcze chwilę temu byłam na izbie przyjęć, gdzie wykonywano podstawowe badania. A jeszcze wcześniej łapałam z tatą świetliki. A wcześniej...

A może nie?

Zmieszanie i lęk znów się nasilają.

– Leno, oddychaj głęboko! – zaleca stanowczo anestezjolog.

Próbuję się podporządkować i brać głębokie wdechy, ale nie potrafię. Moje płuca nie współpracują. Zamiast się rozluźnić, kurczą się jeszcze mocniej, odcinając dopływ tlenu.

Serce wali mi jak młotem, gdy dopada mnie przerażenie.

– Błagam – nalegam na kobietę w niebieskim kitlu i z maseczką na twarzy, przymocowującą jakieś worki przy stole na którym leżę. – Błagam, proszę zawołać mojego męża.

Sekundę, a może godzinę później słyszę znajomy głos:

– Jestem, kochanie. Jestem.

Chłodne, silne palce dotykają mojego czoła, więc zamykam oczy.

*Nate.*

Czuję go każdą cząstką mojej duszy. Nim rozpoznaję jego głos, czuję jego dotyk. Rozpoznaję go na poziomie komórkowym.

Odczuwam ulgę oraz inne emocje. Nagle boli mnie serce, choć nawet nie wiem dlaczego. Co przegapiłam? Co się stało?

– Nate, co się dzieje? Boję się. – Moje łyży są gorące, ale na twarzy czuję jakby były lodowate.

– Ciii – koi. – Nie bój się. Jestem przy tobie i nigdzie się nie wybieram. Masz znieczulenie zewnątrzoponowe. Dlatego nie czujesz nóg. Doktor Stephens musi wyjąć Grace, ponieważ pępowina okręciła się wokół jej szyi. Nic wam nie będzie. Przynuram. Nie martw się, kochanie – szepcze z ustami przy moim uchu.

Kiedy patrzę na Nate'a, jestem jeszcze bardziej dezorientowana. Nie widzę go dokładnie, a muszę dojrzeć znajome rysy jego twarzy. Przechylam więc głowę maksymalnie, aż jego obraz się wyrównuje. W tej samej chwili jednak moje zdenerwowanie sięga zenitu i nie mogę już wziąć ani jednego spokojnego wdechu.

– Nate – mówię.

Dźwięk jego imienia w cichej sali, odczucie w ustach jest... wszystkim. Księżycem, Słońcem, gwiazdami i wiatrem.

Całym światem.

Nate jest moim światem.

– Nie płacz, kochanie – mruczy, a jego twarz rozmazuje mi się przed oczami, gdy przysuwa się i opiera czoło na moim. – Nie płacz.

Chyba głos mu się łamie, ale nie jestem pewna. Puls w moich uszach zagłusza wszystko, przez co świat wokół trzęsie się niekontrolowanie.

– Nie... pozwól... – Twarz męża znów znajduje się przed moimi oczami. Próbuję mrugać, by skupić wzrok, ale wciąga mnie ciemność i cisza.

– Leno, odpręż się. – Słyszę głos, który pasuje do doktor Stephens. – Jeszcze kilka minut i poznasz córkę. Odpoczywaj. Po prostu odpoczywaj.

Nie chcę odpoczywać. Chcę zobaczyć Nate'a, usłyszeć go, poczuć, ale wciąga mnie bezlitosna nicość. I jestem za słaba, by z nią walczyć.

– Kocham cię, Leno Grant. – To ostatnie, co słyszę, zanim odpływam.

*Nate.*

## NATE

Wpatruję się w spokojną twarz żony, wsłuchując się w dziwne dźwięki sali operacyjnej. Pomimo pytań i wątpliwości wirujących w mojej głowie, widok śpiącej Leny mnie uspokaja. Wygląda jakby nie odpoczywała całą wieczność, choć wiem, że wcale tak nie było. Odnoszę jednak takie wrażenie. Czuję jakby dni od jej diagnozy ciągnęły się niczym lata, a jednocześnie jakby uleciały z prędkością światła.

Desperacko chciałbym cofnąć zegar, wrócić do miejsca, gdzie staliśmy twardo na ziemi. Do czasu gdy naszym największym zmartwieniem było to, gdzie spędzić święta czy na jaki kolor pomalować salon. Do każdego czasu przed dniem dzisiejszym, przed teraz.

Wiem, że to początek końca. Pomimo diagnozy po prostu czuję, że to początek końca.

Po urodzeniu Grace wszystko się zmieni. Nie jestem pewien jak, ale mam przeczucie, że tak będzie. Lena walczyła, by donosić ciążę. Czy teraz się podda?

Jej choroba przestała gwałtownie postępować. Czy w tej chwili lekarze orzekną, że ma jeszcze czas i zaczną ją leczyć?

Nie znam odpowiedzi na te pytania, ale w mrocznej części umysłu wydaje mi się, że wiem.

Jestem zamyślony i głaszczę jedwabiste włosy żony, nie zwracając uwagi na to, co dzieje się wokół, ale dźwięk – pojedynczy dźwięk sprowadza mnie do rzeczywistości. Jestem zszokowany, bo się go nie spodziewałem.

To płacz dziecka.

Mojego dziecka.

Naszego.

Stają mi włoski na rękach, gdy zaglądam za prowizoryczną zasłonkę i widzę, jak lekarka wkłada oślizgłe, pomarszczone, małe fioletowo-czerwone coś w ręcznik trzymany przez pielęgniarkę, która odwraca się, ale udaje mi się dostrzec najpiękniejszą twarzyczkę na świecie.

Prócz twarzy żony.

To Grace.

Moja córka.

Jak zauroczony wpatruję się w plecy pielęgniarki. Nie opuszczam wzroku, gdy porusza rękami, przestępuje z nogi na nogę, myjąc moje dziecko. Przyglądam się i czekam na chwilę, w której znów będę mógł ją zobaczyć.

W tle słyszę jakieś dźwięki, głos doktor Stephens proszącej o zaciski, nici czy więcej światła. Głosy odpowiadających pielęgniarek. Przez dłuższy moment nie odrywam spojrzenia od miejsca, w którym znajduje się nowa osoba w moim życiu.

Następnie pielęgniarka, jakby poruszała się w zwolnionym tempie, bierze Grace na ręce i, uśmiechając się, podchodzi do mnie.



Moje serce rośnie, czuję jakby miało wyrwać mi się z piersi niczym kosmita w filmie *Obcy*. Wraz z każdym krokiem kobiety bije coraz szybciej i mocniej.

Dostaję niewielkie zawiniątko.

Wyciągam zachłannie ręce. Biorę dziecko i tulę do piersi jak rannego koliberka. Czuję, że trzymam coś tak maleńkiego i wrażliwego. Coś tak cennego, że głęboki wdech mógłby to zniszczyć.

Wpatruję się w jedyny skrawek skóry widoczny spod ciasno owiniętego kocyka – niewielką anielską twarzyczkę, wciąż ciemnoróżową od głośnych krzyków.

– Helena Grace – szepczę częściowo zdumiony, częściowo z ulgą.

Uderza we mnie miłość równie silna jak ta, którą czuję do żony. Przez siedem miesięcy zastanawiałem się, co będę czuł do tego dziecka, do tego prezentu od miłości mojego życia. Czy będę w stanie kochać córkę tak, jakby chciała tego żona? Czy będę obarczał ją winą za odejście Leny? Czy będę czuł odrazę?

Teraz już wiem.

Napływają do mnie odpowiedzi na wszystkie te pytania.

Tak, będę kochał dziecko dokładnie tak, jak pragnie tego Lena. To jedyna odpowiedź, jakiej mi trzeba. Inne pytania wydają się w tej chwili niedorzeczne.

Wpatrując się w niewielkie zawiniątko w moich dłoniach, już wiem, co to miłość rodzicielska. Wiem, jak wypełnia ukryte przestrzenie serca i rozciąga je szeroko. Wiem, że dotąd nieaktywne jego obszary czekały jedynie na ten moment.

Grace wydaje słodkie, odurzające dźwięki, jej twarzyczka krzywi się do płaczu, ale córka zaraz łączy do mojej piersi, jakby planowała długą drzemkę.

Przepełnia mnie ciepło i miłość.

Trzymam córkę blisko, pragnąc, by otworzyła oczy. Nie wiem, czego oczekiwać, mam jedynie nadzieje i modlitwy.

Chwilę później, jakby chciała zaspokoić moją ciekawość, Grace unosi powieki i pokazuje, że moje modły zostały wysłuchane.

Z drobnej twarzy wpatrują się we mnie oczy żony. Choć w tej chwili są nieokreślonego koloru, nie muszę widzieć barwy, by wiedzieć, że są dokładnie jak Leny.

W tej chwili, w tym ułamku sekundy wiem, że w wieku czterdziestu dwóch lat przepadłem.

Jakbym nie był tego wcześniej pewien, teraz dokładnie wiem – w momencie, w którym Grace patrzy na mnie znajomymi oczami. Nie mam wątpliwości, że potrafię i będę kochał to dziecko wystarczająco za dwoje rodziców.

– Już cię kocham, córeczko – szepczę, unosząc zawiniątko do twarzy, by pocałować zmierzwiłone, wilgotne jasne włoski na jej głowie.

– Nate? – woła mnie słodki głos. Nie muszę się obracać i patrzeć na Lenę, by wiedzieć, co zobaczę. W jej oczach będzie całe jej serce. Wiem o tym. Czuję szczęście, bijące we mnie niczym fala przetaczająca się po krystalicznie niebieskiej wodzie, wypełniająca luki mojej duszy. Przytłaczająca wdzięczność osadza się wokół moich strun głosowych, dławiąc słowa, które chciałbym wypowiedzieć, rozprzestrzeniając pierwotną, silną miłość wylewającą się z serca. Nie odzywam się więc, gdy przysuwam się powoli do żony, i kładę kokon na jej piersi, przyciskając policzek do twarzy Leny, która płacze.

– Dziękuję ci za nią, Nate – mamrocze, szlochając nad naszym dzieckiem. – Jest idealna. Jest moim perfekcyjnym małym cudem.

Sam lepiej bym tego nie ujął.

Rzeczywiście taka jest.

Jest perfekcyjna i jest cudem.

Jestem szczęśliwy, a jednocześnie zrozpaczony.

Wyciągając komórkę, by nagrać tę chwilę, zastanawiam się, czy Grace będzie jedynym cudem, jakiego dane nam będzie doświadczyć.

## ROZDZIAŁ 22

### *BLIND LOVE*

NATE

Od porodu Lena wielokrotnie traciła przytomność i ją odzyskiwała. Widziałem, jak doktor Taffer rozmawia z doktor Stephens w korytarzu zaraz po tym, gdy trafiliśmy na salę pooperacyjną. Chwilę temu pielęgniarka przyniosła Grace i pomogła Lenie po raz pierwszy nakarmić małą.

Równie dobrze ktoś mógłby wbić mi nóż w brzuch. Właśnie tak się czułem, przyglądając się, jak piękna żona karmi piersią naszą córkę. Nie mam wątpliwości, że nigdy już nie zobaczę nic tak zapierającego dech.

Jestem też pewien, że nigdy nie zapomnę wyrazu twarzy Leny.

Jej świat jest kompletny. To wszystko, czego chciała – byśmy byli rodziną – i jej życzenie się spełniło. Na jej twarzy maluje się miłość – widać ją w spojrzeniu, na ustach i gładkim czole. Jest szczęśliwa.

I ja jestem szczęśliwy, obserwując je.

Scena jest absolutnie idealna, aż doktor Stephens przychodzi sprawdzić, co z Leną. Wraz z nią do mojego umysłu napływają pierwsze obawy.

– Wygląda, że mama i córka się poznają – mówi z kojącym uśmiechem. – Cieszę się, że karmisz piersią. To ważne w pierwszych dniach. Daj jej tyle pokarmu, ile tylko zdołasz, zanim zacniemy przyzwyczajać ją do sztucznego mleka.

– Sztucznego? – pytam.

Doktor Stephens uśmiecha się do mnie.

– Tak. Biorąc pod uwagę lekarstwa, które dostanie Lena, jej mleko nie będzie odpowiednie dla dziecka.

Milczę.

Choć w mojej głowie pojawiło się wiele pytań, nie zadaję ich na głos. Nie w takiej chwili. Nie chcę przeszkadzać, gdy Lena karmi po raz pierwszy i poznaje naszą córkę, byłoby to świętokradztwem. Stoję cicho z boku, rozważając słowa lekarki, a mój strach wzrasta, aż doktor Stephens zwraca się do mojej żony.

Przyglądam się, jak Lena patrzy na swoją panią ginekolog, a na jej twarzy gości spokój, gdy kiwa głową. Nie zadaje pytań, nie spiera się. Po prostu się zgadza. Może wie coś, o czym ja nie mam pojęcia.

Dopiero wizyta doktor Taffer – onkolog – rozwiewa wątpliwości.

– Jak się czujesz? – pyta Lheanne, gdy wchodzi do sali, opierając się biodrem o łóżko Leny, by mogła widzieć nas oboje.

– Cudownie – odpowiada Lena bez wahania.

– Cieszę się. Wygląda na to, że mała miała wielkie wejście. – Pochyla się, by przyjrzeć się Grace.

– Tak. Ale jest z nami. To najważniejsze.

Po chwili doktor Taffer znów skupia się na Lenie.

– Boli cię?

– Nie.

– Korzystając z twojego pobytu w szpitalu, chciałabym zlecić kilka badań, by ocenić postęp choroby nowotworowej, zanim zostaniesz wypisana. Co ty na to?

Lena nie spieszy się z odpowiedzią, przez co się spinam.

– A możemy poczekać z tym kilka dni? Mogłabym się najpierw nacieszyć córką?

Doktor Taffer się nie rusza. Zastanawiam się, o czym myśli. Rozważa, czy nalegać na swój pomysł? Czy próbuje przekazać Lenie jakieś złe wieści? Czy stara się złagodzić cios, co tylko ja widzę? Jeśli tak, Boże uchroni, czy według niej Lena nie ma czasu czekać?

Pierś ściska mi się tak, że płucom brakuje tlenu.

Kiedy lekarka w końcu odpowiada, mowa jej ciała jest pilnie kontrolowana.

– Oczywiście, jeśli tak wolisz.

– Tak wolę.

Obie kobiety wymieniają wymowne spojrzenie. Oczywiście jest, że onkolog chciałaby powiedzieć coś więcej, ale nie jest pewna, jak to zrobić.

– Leno, będziesz przynajmniej musiała zacząć przyjmować leki.

Nie słyszę, by żona wzdychała, ale widzę, jak unosi się jej pierś, którą ssie dziecko.

– Dlaczego? Co się dzieje?

– Sprawdzalam wyniki twoich badań. Poziom amoniaku rośnie. Cięża wpłynęła na wątrobę i powiększyła problem. Musimy nad tym zapanować. Podejrzewam encefalopatię wątroby. Przynajmniej pierwszy jej etap. To ważne, byśmy od razu ją opanowali, Leno. Wiem, że miałaś ataki dezorientacji i... Cóż, wiesz, jak to jest.

Choć Lena może wiedzieć, o co chodzi lekarce, ja nie mam pojęcia.

– O czym mówisz?

Doktor Taffer tym razem patrzy na mnie.

– Mówię, że według mnie jej choroba znacznie się posunęła i musimy sprawdzić, z czym dokładnie mamy do czynienia, żebyśmy mogli jak najszybciej zastosować odpowiednie leczenie, nawet jeśli paliatywne.

Paliatywne.

Kiedy nie mogłem spać, martwiąc się o żonę i czytałem przeróżne artykuły w sieci, natknąłem się na to słowo w odniesieniu do stanu Leny.

Leczenie paliatywne.

Chodzi w nim jedynie o komfort. Nie ma na celu uleczenia choroby, a wyłączenie bólu lub innych nieprzyjemnych symptomów powiązanych z terminalnym stanem pacjenta. Nie chodzi o leczenie lub o przedłużenie życia. Chodzi o zastosowanie leków, które pomogą umrzeć tym, których czeka wielki ból i dyskomfort.

Leczenie paliatywne.

Stosuje się je, gdy śmierć puka do drzwi.

Niedobrze mi. Czuję, jakby w moim żołądku panował biały szkwał uderzający w piaszczysty brzeg – szybko i niespodziewanie. Mam ochotę wydrzeć się na Lheanne Taffer, mówiąc, że to miał być szczęśliwy dzień i powinna dać nam nadzieję, a nie... nie... to! Chciałbym wyrzucić tę kobietę za drzwi i wymazać wszystko, co padło z jej ust, odkąd tu weszła. Ale nie robię tego.

Nie mogę. Muszę pilnować spokoju żony. Wyrzucenie lekarki z sali poskutkowałoby wyrzuceniem mnie ze szpitala, więc przełykam oskarżenia, jakby były gorzkimi pastylkami.

Ponownie przełykam ślinę.

– Dasz jej więc coś, co pomoże na ból w boku? I na zmieszanie? – dociekam. Nie podoba mi się rozmowa o żonie, jakby jej tu nie było, ale muszę zrozumieć, jakie mamy opcje.

– Tak. Przynajmniej na te dwie rzeczy. Po badaniach będziemy wiedzieć coś więcej.

Nie wiem, czy błędnie zauważalnie, gdy zastanawiam się, co to oznacza, ponieważ doktor Taffer reaguje, jakby tak właśnie było. Zauważam kilka emocji przemykających przez jej twarz.

Mimowolnie zastanawiam się, czy w pospiesznej chęci leczenia zapomniała, że Lena Grant jest moją żoną, a teraz matką mojej córki. Rozważam, czy w ogóle pomyślała, że Lena chciałaby nacieszyć się rodziną przez kilka dni, zanim zacznie być kłuta, testowana i obarczona niekorzystnymi informacjami.

Nigdy nie dowiem się, jak było. Zdaję sobie jedynie sprawę z chwili, gdy to sobie uświadamiam, ponieważ dopuszcza do siebie współczucie.

Wyjaśnia, że przepisze Lenie plastry przeciwbólowe łagodzące dolegliwości w boku. Dawka środka może być stopniowo zwiększana aż do całkowitej ulgi.

Opowiada również o leku, który przepisze, mającym na celu wyeliminowanie nadmiaru amoniaku z ciała żony i redukcję dezorientacji.

Kiedy kończy, Lheanne spogląda ze smutkiem przez ramię na Lenę.

– Chodzi głównie o to, by mogła się cieszyć tak długo, jak zdoła. – Wskazuje na Lenę i Grace, która śpi najedzona w ramionach matki.

Pod wpływem chwili wyciągam telefon z kieszeni i robię zdjęcie. Nie chcę zapomnieć ani czułości i uwielbienia na twarzy mojej słodkiej żony, ani tego, jak dziecko zaciska dłonie w piąstki, leżąc tuż przy jej piersi. To scena, której nie zdołałby oddać nawet sam Michał Anioł.

I taka, która na zawsze zostanie wyryta w moim sercu.

– Mam nadzieję, że zrobisz ich wiele – mówi cicho lekarka, wskazując ruchem głowy na telefon, nim wraca do łóżka mojej żony. Zwracając się do niej, ścisza głos do szeptu: – Gratuluję, Leno. Mała jest piękna. Jak jej mama.

Lena promienieje z dumy, patrząc błyszczącymi oczami na kobietę.

– Dziękuję.

Doktor Taffer kiwa głową i wychodzi. Choć nie przekazała nam najgorszych wieści, czuję się, jakby to właśnie zrobiła. Jakaś siła ściska mi duszę, która nagle jakby zamarza.

„Mam nadzieję, że zrobisz ich wiele”.

Słowa te nieustannie odbijają się echem w mojej głowie.

W tej chwili rozpala się we mnie determinacja, by zrobić ich jeszcze więcej.

\*\*\*

Grece ma trzy dni, gdy szpital gotowy jest wypisać nas do domu. Mała jest dobrym, słodkim dzieckiem. Jest sympatyczna, ma pogodną naturę, co oboje z Leną zauważamy.

Jest dla nas jak pierwsze promienie słońca.

Dla mnie może jak drugie. Zznałem już wcześniej tak silnej miłości. Lecz tylko raz. To miłość do żony. Choć nigdy nie sądziłem, że poczuję coś porównywalnego, ale Grace... Dotarła do mojego serca i zagościła obok Leny już pół minuty po tym, jak ją poznałem.

Jestem równie rozczarowany jak Lena, że nie będzie mogła karmić dziecka piersią, ale oboje zdajemy sobie sprawę, że tak jest

lepiej. Według mnie wszystko, co odejmie Lenie bólu i sprawi, że zostanie z nami dłużej, warte jest wypróbowania.

Problem polega jednak na tym, że lek, który miał za zadanie obniżyć poziom amoniaku, nie działa tak dobrze, jakbyśmy się tego spodziewali. W moim mniemaniu umysł Leny powinien powrócić do normalnego funkcjonowania. Całkowicie. Ale nie wraca, bo lek nie do końca działa.

Przy podaniu pierwszej dawki pielęgniarka powiedziała, że powinien nieco pomóc, co niekoniecznie mnie przekonało. Niestety, tak właśnie było i lek pomógł tylko trochę. Lena wciąż jest zdezorientowana. Dużo śpi, jednak gdy się budzi, często nie wie, gdzie się znajduje.

Jej urojenia wydają się mniejsze – może na tym polega zbawienne działanie leku, może ma jedynie zmniejszyć siłę i długość trwania dezorientacji. Miałem nadzieję na całkowite wyeliminowanie symptomów, ale jak do tej pory czuję się zawiedziony.

Muszę jednak przyznać, że Lena wydaje się bardziej zadowolona i swobodna w domu. Wciąż mam niewielką nadzieję, że na skutki działania lekarstwa trzeba poczekać i że znajome otoczenie jej pomoże. Pokaże to tylko czas. A nie jestem pewny, ile nam go jeszcze zostało.

Próbuję nie myśleć o przyszłości. Zamartwianie się o nią odczuwam jak zdradę, jakbym oszukiwał teraźniejszość, oplakując coś, co się jeszcze nie wydarzyło. Jednak to trudne. Nie umiem się nie martwić i nie pilnować nieustająco żony, jakby w każdej chwili mogła zniknąć, gdy tylko obrócę głowę.

Budzę się przy najmniejszym ruchu materaca. Jest środek nocy, ale potrzeba sekundy, bym otworzył oczy, a wzrok przywykł do skąpanego poświata księżycy pokoju. Ostatnio wszystkie moje zmysły budzą się gwałtownie, są wyczulone bardziej niż kiedykolwiek.

Nasłuchuję uważnie płaczu dziecka, ale nie słyszę niczego prócz kroków żony na miękkiej wykładzinie. Nie ruszam się, czekając, aż



Lena opuści sypialnię, dopiero wtedy wstaje i idę za nią.

Wciąż nie śpię głęboko. W tej chwili nie tylko nasłuchuję ruchów żony, lecz także dźwięków wydawanych przez córkę. Mimowolnie zastanawiam się, czy nie przespałem jakiegoś płaczu i czy to właśnie on obudził Lenę.

Żona często śpi tak mocno, że nawet nie słyszy, gdy wołam ją po imieniu, ale jak do tej pory wydaje się słyszeć nawet najmniejsze kwilenie małej Grace. Podejrzewam, że to instynkt macierzyński.

Przemierzam korytarz na paluszkach, zatrzymuję się w drzwiach pokoju dziecka i opieram się ramieniem o futrynę. Widzę wyraźnie – bujany fotel w kącie, grzechotkę zawieszoną nad łóżeczkiem, litery namalowane puchnącą farbą na ścianie. Pomimo niewielkiego oświetlenia lampki nocnej pokój jest niesłychanie jasny. To zasługa jasnożółtej farby, przez którą ściany mają w nocy waniliową barwę – miękką i aksamitną.

Lena podchodzi powoli do białego łóżeczka i spogląda do środka.

– Cześć, piękna – mówi czule, sięgając po córkę. Bierze ją na rękę i tuli do piersi. – Jak masz na imię, dziewczynko?

Spinam się, słysząc to pytanie. Nie mam pojęcia, czy Lena się droczy czy naprawdę nie pamięta imienia własnej córki. Ani tego, że Grace jest jej dzieckiem.

Ostatnio niczego nie jestem pewny. W tych dniach samopoczucie żony wskazuje na negatywny kierunek rozwoju jej choroby, zamiast stabilizację jej stanu. Przebłyski świadomości Leny – niekiedy trwające nawet kilka godzin – zawsze jednak wystarczają na rozpalenie we mnie niewielkiej iskry nadziei.

Wiem, że nie powinienem jej do siebie dopuszczać. Wiem, że jest ryzykowna, ponieważ fałszywa nadzieja może być straszna, ale czasami nie potrafię się powstrzymać. Zbyt dobrze się czuję, gdy odnajduję pozytywy i myślę o przyszłości z żoną i córką.

Po prostu dobrze mieć nadzieję.

Lena obraca się z córką na rękach i zatrzymuje gwałtownie na mój widok.

– Kto to? – pyta, ruchem głowy wskazując na małą. –

Zapomniałam, że opiekujemy się czyimś dzieckiem?

– To Grace, kochanie. Kilka dni temu miałaś cesarkę. Brzuch już cię nie boli?

Na czole Leny pojawiają się niewielkie zmarszczki, gdy przetwarza moje słowa. Widzę również, kiedy dociera do niej rzeczywistość. Uśmiecha się i próbuje zbagatelizować sprawę.

– Oczywiście, że pamiętam, głuptasie. Z moją pamięcią jeszcze nie jest tak źle. – Przechodzi przez pokój i staje na palcach, by pocałować mnie w policzek. – Wracaj do łóżka. Zajmę się nią.

– I tak już wstałem. Może wam potowarzyszę? – Nie zostawiam miejsca na spory, po prostu idę za nią do salonu. Nie mogę mieć pewności, że nie zapomni o czymś ważnym i niechcący skrzywdzi siebie lub Grace.

Kiedy przemierzam dom za żoną, żołądek ściska mi się ze smutku. Od tak dawna Lena pragnęła dziecka, a teraz nie jest w stanie się nim cieszyć. Los jest okrutny.

Tak szybko jak wpada w dezorientację, równie szybko z niej wychodzi. Kiedy przygotowuje córce butelkę, zauważam w niej zmianę.

– ...nie będzie mnie później przy tobie, więc może jutro weźmiemy słój i złapiemy trochę świetlików. Odpocznę, bym miała na to siłę, żebym mogła wziąć cię do ogrodu i schwytać te, które mi wskażesz. I będą mogły świecić ci w nocy, jak świeciły mnie, gdy byłam mała. A tata nakręci to wszystko, żebyś mogła obejrzeć, gdy będziesz starsza. Będziesz mogła zobaczyć, jak bardzo mama cię kochała i jak po raz pierwszy łapała z tobą świetliki. Fajnie, co? – Lena patrzy na mnie i się uśmiecha. – W razie, gdybyś nie słyszał, powiedziała: „Pewnie, że tak!”.

Uśmiecham się, ale boli mnie serce. Ostatnio często się to zdarza. Coraz mniej mam prawdziwej Leny, coraz bardziej boli, gdy na nią patrzę. Przebłyśki świadomości stają się słodko-gorzkie. Czuję, jakbym nieustannie tracił moją bratnią duszę, co centymetr po centymetrze rozrywa mnie na kawałki.

– Zapierasz mi dech – wyznaję ochryplym z emocji głosem. Tak

działała na mnie jej uśmiech. Przez sekundę naprawdę nie mogę oddychać.

Zastanawiam się, czy kiedykolwiek znów zdołam nabrać powietrza.

Kiedy butelka dla Grace jest gotowa, wszyscy idziemy na kanapę. Zajmuję miejsce, Lena siada obok mnie, opierając się o moją pierś, głowę kładąc na moim ramieniu, gdy karmi córkę. Nuci cicho, unosząc głowę, by co chwilę patrzeć na małą. Wydaje się, że również jest świadoma, jak cenne są te chwile.

Powoli nucenie cichnie, Lena milknie. Wyciąga smoczek z ust śpiącej córki. Odbieram od niej butelkę, stawiam cicho na podłodze, by obiema rękami objąć żonę.

Tulę ją na tyle mocno, by nie obudzić dziecka. Jestem zdesperowany, by ją obejmować, by trzymać ją przy sobie tak długo, jak tylko zdołam.

Nie tylko dzisiejszej nocy.

Częściowo zdaję sobie sprawę, że okno naszego świata się zamyka i nic nie zdołam zrobić, by powstrzymać ten proces. Wyczuwam, że Lena również o tym wie. Podejrzewam, że właśnie dlatego nie chciała, by doktor Taffer przeprowadzała badania, gdy była w szpitalu. Nie chciała wiedzieć, że zostało jej zaledwie kilka dni. I rozumiem to. Też nie jestem pewien, czy chcę wiedzieć.

Przesuwam się, by Lena zdołała się lepiej o mnie oprzeć z Grace na rękach, jednocześnie próbuję pozbyć się nieprzyjemnych myśli z głowy, by po prostu rozkoszować się chwilą z żoną. Biorę głęboki wdech i zamykam oczy. Skupiam się na miękkiej skórze pod opuszkami palców. Na kwiatowo-cynamonowym zapachu włosów i ciężarze spoczywającym na mojej piersi.

Kiedy odpływam w sen, jestem ledwie świadomy lży wymykającej się spomiędzy moich rzęs i spływającej powoli po policzku.

## ROZDZIAŁ 23

### *HUSH*

#### NATE

Budzą mnie pierwsze promienie słońca wpadające przez okno o świcie. Żona wciąż leży w moich ramionach, a Grace śpi w jej rękach.

Nawet nie będąc świadomą, Lena trzyma dziecko ostrożnie, blisko siebie. W jej uchwycie jest czułość, która według mnie pochodzi z macierzyństwa, jakby tkwił w niej instynkt ochronny, a mięśnie miały naturalną pamięć. Ta myśl pociąga za sobą wir innych, są jak kaczki pływające jedna za drugą po pustym stawie. Z powodu burzy w mojej głowie, choć tego nie chcę, wysuwam rękę spod żony i córeczki.

Najpierw idę do kuchni. Podchodzę do okna i spoglądam na ogród i sąsiedni dom.

Cieszę się, gdy zauważam światło u Nissy. Współczuję ludziom cierpiącym na bezsenność, chociaż w duchu od zawsze jestem wdzięczny, że przytrafiła się też Nissie. Zapewniała Lenie towarzystwo i pocieszenie w sposób, który mnie nigdy nie przyszedłby do głowy. Sąsiadka nie śpi, co działa na moją korzyść. Mam plany i potrzebuję jej pomocy.

Pospiesznie wychodzę przez tylne drzwi i przemierzam ogród. Pukam cicho, spoglądając na własny dom, upewniając się, że nie zauważę żadnego ruchu.

Otwiera mi Nissa, która jest ewidentnie zaskoczona moim widokiem.

- Nie mam wiele czasu. Poświęcisz mi sekundkę?
- Oczywiście – odpowiada i otwiera szerzej drzwi.
- Nie, dziękuję, zostanę tutaj. Chcę mieć oko na Lenę i dziecko.

– Dobrze. – Krzyżuje ręce na piersi, uprzednio mocniej zawiązując paski szlafroka, ponieważ owiewa ją wczesnoporanne czerwcowe powietrze. – Co tam?

– Będę musiał wyjść dzisiaj z domu. Może dałabyś radę wpaść i popilnować Leny do mojego powrotu?

– Jasne.

Przedstawiam sąsiadce szczegóły, po czym wracam pędem do siebie. Ostrożnie otwieram drzwi, przechodzę na paluszkach przez kuchnię i wchodzę do salonu. Dwie miłości mojego życia nadal smacznie śpią, jedna cicho pochrapuje. Stoję w drzwiach, przyglądając się im przez dłuższą, gorzką chwilę. To kolejna scena, którą chciałbym zachować w pamięci, wiedząc, że pewnego dnia będę miał tylko to wspomnienie.

Robię zdjęcie, nim wracam do kuchni, by zaparzyć kawę i przygotować się na dzisiejszy dzień.

## LENA

Wiem, że coś jest nie w porządku. Byłam pielęgniarką przez niemal dwadzieścia lat. Pracowałam na kilku specjalistycznych oddziałach, głównie dlatego, że na początku nie wiedziałam, czym powinnam się zająć. Trafiłam w końcu do centrum leczenia nowotworów. Natychmiast spodobała mi się ta praca, postanowiłam więc zostać na dłużej i doszkolić się w umiejętnościach.

Podczas pracy wśród pacjentów chorych na raka naoglądałam się naprawdę wiele. Nie potrzebuję dużo czasu, by połączyć części układanki. Kiedy się budzę, zdaję sobie sprawę, że zgubiłam sporo czasu, a dodając do tego ból (który na szczęście jest pod kontrolą) i słowa wypowiedziane przez doktor Taffer... wiem.

Wiem.

Moja wątroba nie działa. Nowotwór rozprzestrzenił się na tyle, że wyłączył ten organ. Obserwowałam ten stan u pacjentów, więc

wiem, że dalsze postępowanie uwzględnia jedynie leczenie paliatywne. Wiem, że mądrze byłoby zadzwonić do hospicjum, w którym miałabym zapewnioną opiekę, by cały proces był nieco łatwiejszy, zwłaszcza dla Nate'a.

Nate.

Czuję ucisk w gardle.

Boże, tak bardzo nie chcę go zostawiać!

Sama myśl o tym mnie dusi.

Przytłacza.

Niszczy.

Nie chcę odchodzić, ale jeszcze bardziej nie chcę zostawiać go z tak okropnymi wspomnieniami.

Bólu i choroby.

Wyniszczenia i śmierci.

Czasu, gdy nie wyglądałam i nie zachowywałam się normalnie. Właśnie to przez dłuższy czas Nate będzie najsilniej pamiętał.

Łamie mi to serce.

Nie mogę nic na to poradzić, prócz odebrania sobie życia. Ale tego nie zrobię. Świadomość mojego samobójstwa byłaby dla Nate'a i Grace jeszcze gorsza.

Grace.

Uśmiecham się na myśl o tym imieniu.

Moje dziecko.

Córeczka.

Moje małżeństwo.

Uosobienie mojej miłości do męża i jego uczucia do mnie. Wszystko bym oddała, żeby pożyć wystarczająco długo, by widzieć, jak się rozwija. Jak stawia pierwszy krok, jak wypowiada pierwsze słowo. Doskonale zdaję sobie sprawę, że to się nie uda.

Nie żebym miała jakkolwiek nadzieję. Mam pewność co do przyszłości. Widziałam niezliczoną ilość pacjentów w tym stanie. Wydawało się, że mieli nadnaturalną zdolność wyczuwania śmierci. W tej chwili już rozumiem. Wiem, że umrę i nie ma nic, co mogłabym w tej kwestii zrobić.

Prócz stawienia temu czoła.

Nastawienia się na to.

Ułatwienia tego bliskim, jak tylko zdołam. Właśnie to zamierzam zrobić.

Grace śpi, a Nate'a nie ma, więc idę po komórkę. Nie pamiętam, gdzie ją zostawiłam.

Przeszukuję sypialnię, łazienkę, salon i w końcu wchodzę do kuchni.

Sapię na widok Nissy siedzącej przy wyspie, popijającej kawę, przerzucającej strony na iPadzie.

– Cześć – wita się wesoło, gdy unosi głowę na dźwięk mojego gwałtownego wdechu.

– Przestraszyłaś mnie. Nie spodziewałam się tu ciebie. – Musiałabym być ślepa, by nie zauważyć smutku na twarzy przyjaciółki. A nie jestem. Mogę się jedynie domyślać, co oznacza, ale podświadomie już wiem. – Od jak dawna tu jesteś?

– Od kilku godzin – odpowiada kontrolowanym głosem.

– Zgaduję więc, że już się widziałyśmy.

Do oczu Nissy napływają łzy, gdy kiwa głową.

Wzdycham ciężko i siadam na stołku obok wieloletniej powierniczki. Obejmuję ją i kładę głowę na jej ramieniu. Czuję, że drży, więc wiem, że próbuje powstrzymać szloch.

– To nie potrwa już długo – mówię.

Nie wyjaśniam, o co mi chodzi; Nissa zdaje sobie sprawę, do czego się odnoszę. Nie wydaje dźwięku płacząc, ale i tak wiem, co się dzieje. Cała się trzęsie, gdy wielki smutek wypływa z niej falami. Trzęsę się wraz z nią.

Nigdy nie ofiarowywałam pustych słów pocieszenia, nawet swoim pacjentom, więc wiem, że nie pora, by zacząć, bo to nikomu nie pomaga, mogę zamiast tego jedynie ją tulić. Siedzieć przy przyjaciółce, gdy próbuje pogodzić się z nieuniknionym, poradzić sobie z cierpieniem. Mam nadzieję, że to wystarczy.

– Przepraszam – mówi w końcu Nissa, głośno pociągając nosem.

– Nie przepraszaj. Kocham cię. Chciałabym, by było to dla ciebie

łatwiejsze, ale nic nie mogę na to poradzić.

– Co się z tobą, u diabła, dzieje? – pyta gniewnie. – To ja powinnam ci wszystko teraz ułatwić.

– Jestem pewna, że tego chcesz. Mamy w naturze chęć pomocy i ulżenia w cierpieniu ukochanym. A ty mnie kochasz. Wiem o tym, ponieważ tak samo Kocham cię.

Nissa znów zaczyna płakać, wobec czego ponownie ją tulę i czekam. Żałoba to trudny proces. Chwila płaczu niczego nie ułatwi. Niekiedy potrzeba tygodni lub miesięcy wylewania łez.

Kiedy przyjaciółka ponownie się uspokaja, kontynuuję:

– Nate też cię Kocha. I Grace cię pokocha. Chciałabym, byście troszczyli się o siebie we trójkę. Dla mnie. Zróbcie to dla mnie. Będę czuła się lepiej, wiedząc, że Nate nie będzie ze wszystkim sam. I że moja córka będzie mieć obok wspańiałą kobietę. Obiecay mi.

Nissa kiwa głową, ocierając oczy.

– Obiecuję.

Wiedząc, jakiego rodzaju reakcję wywołam, czekam ze zdradzeniem Nissie moich planów. A kiedy opowiadam o wszystkim, przyjaciółka ponownie pociąga nosem. Hospicjum to takie brzydkie słowo. Wszyscy wiedzą, z czym się wiąże. Nie muszę dogłębnie wyjaśniać.

– Mam zamiar zadzwonić dziś do hospicjum. Chcę to zrobić przed powrotem Nate'a. Wiem, że to złamie mu serce. Wiem, że mocno go zaboli, ale również mu pomoże. Bardziej, niż będzie chciał przyznać.

– Tobie również pomoże – dodaje Nissa.

– Tak, mnie też. – Moja wygoda jest na końcu listy powodów, ponieważ bardziej zależy mi na komforcie bliskich. – Nisso, ja... ja....

Nie bardzo wiem, jak mówić dalej.

– Co? – pyta, gdy nie kończę.

– Nie chcę, żebyś przestała przychodzić. Bez względu na to, jak trudna będzie sytuacja, nie chcę, by Nate został z tym sam. Proszę.



Łzy cisną mi się do oczu, ale nie chcę płakać. Dla mnie żałoba się skończyła. Mój los został przypieczętowany. Bez sensu, bym ostatnie dni spędziła na żalu z powodu przyszłości. Na płakaniu z powodu tego, co nadejdzie.

– Będę przy tobie. Każdego dnia.

Kiwam głową, siedząc w ciszy przez dłuższą chwilę, nim biorę telefon. Uśmiecham się, trzymając go. Kuchnia. Zostawiłam go w kuchni, zapewne gdy wcześniej przyszła Nissa, choć tego nie zapamiętałam.

Trzęsą mi się dłonie, gdy dopada mnie silny smutek. Jest ostry jak najostrzejszy nóż.

To żal z powodu tego, że tracę tak wiele czasu z rodziną. Nawet jeśli nie potrafię nad tym zapanować i nie mam pojęcia, co wtedy mówię czy robię. Nie pamiętam połowy chwil, gdy tuliłam córkę czy całowałam męża. Nie pamiętam, czy mówiłam im dziś, że ich kocham. Mam na to jedynie nadzieję.

Wielką.

Odnajduję w sobie resztki siły, która mi jeszcze pozostała, przerzucam kontakty, aż odnajduję numer doktor Taffer. Łączę się z jej asystentką, prosząc, by przekazała, że zamierzam skontaktować się z hospicjum.

Wystarczająco dużo razy widziałam przenoszenie pacjenta do hospicjum, by wiedzieć, że wystarczy, by moja pani onkolog wypisała dokumenty z diagnozą, a dostanę miejsce.

Mój stan tego wymaga.

Dyktuje to miłość do męża.

Następnie dzwonię do Wendy, koordynatorki w moim ulubionym ośrodku. Słyszę, jak kobieta dyskretnie pociąga nosem, jakby odsuwała telefon od twarzy. Nie chce, bym wiedziała, że płacze, gdy proszę ją o ostatnią przysługę.

Składając ostatni w moim życiu wniosek do hospicjum.

\*\*\*

Kiedy się budzę, Nate siedzi na skraju mojego łóżka. Nie wiem nawet, kiedy zasnął.

– Cześć, piękna – odzywa się z miłością dostrzegalną zarówno w łagodnym głosie, jak i uśmiechu.

– Witaj, przystojniaku – odpowiadam, uśmiechając się pomimo dezorientacji. Nie mam pojęcia, czego się spodziewać, co jest niepokojące. Czuję, jakbym bawiła się w chowanego, gdy nie potrafię przypomnieć sobie poprzedniego kroku czy dnia.

Nieustannie wszystko kwestionuję. Co mi umknęło? Jak długo spałam? Co mi powiedziano, a czego nie pamiętam?

Przeszukuję umysł za wskazówkami, jak znalazłam się w sypialni, jak się położyłam i odpłynęłam w sen, ale niczego nie znajduję. Nie pojawia się żadna podpowiedź.

Ostatnie co pamiętam to udawanie, że nie usłyszałam płaczu Wendy. A potem... pustka.

Nic.

– Mam dla ciebie niespodziankę. Chodź.

Coraz trudniej wykrzesać mój entuzjazm. Ciągle jestem zmęczona, czuję się, jakbym miała energię tylko do takich podstawowych rzeczy, jak chodzenie, oddychanie i trzymanie butelki przy ustach dziecka. Zmiana zaszła szybko i niespodziewanie.

Przynajmniej takie mam wrażenie.

– Super – mówię z ekscytacją tak dużą, jaką tylko potrafię okazać. Nie kłócę się, gdy Nate pomaga mi usiąść i wstać. Nie spieram się, gdy pomaga mi przejść korytarz, idąc tak blisko, że mogę się na nim oprzeć. Moje nogi nie współpracują już tak jak kiedyś i często kręci mi się w głowie.

A przynajmniej tak mi się wydaje.

O ile mogę to sobie przypomnieć.

Wprowadzając mnie powoli do salonu, Nate zatrzymuje się w drzwiach z ręką prawie niezauważalnie zawiniętą wokół mojej talii. Może zdaje sobie sprawę z tego, jak bardzo jestem wyczerpana. Może myśli, że potrzebuję dodatkowego wsparcia, gdy zobaczę moją „niespodziankę”. A może jego ręka spoczywała tam cały czas, a ja jej nie zauważyłam.

Ostatnio mam coraz mniejszą pewność.

Opieram się mocniej o męża, łapiąc oddech na widok niespodziewanego gościa. Na naszej kanapie siedzi moja matka. Wygląda na skrepowaną, a kiedy karmi Grace butelką, na jej twarzy maluje się nieczytelny wyraz.

– Mama? – mówię cicho, nim potrafię się powstrzymać.

Mama podnosi głowę i zauważam wbite we mnie spojrzenie niemal tak samo brązowych oczu jak moje.

– Dlatego.

*Dlatego.*

To jedyne enigmatyczne słowo, jakie wypowiada Patricia Holmes.

Obserwuję, jak kołysze się w przód i w tył na kanapie. Można by pomyśleć, że huśta Grace, jak każda babcia swoją wnuczkę, ale ja wiem, co się dzieje. Widziałam wielokrotnie, jak matka robiła to, gdy była zdenerwowana. Zupełnie nie potrafię zrozumieć, co dzieje się w tej chwili w jej głowie.

Wiem, że nie mogłam powiedzieć niczego, co by ją rozproszyło. Spałam chyba przez dość długi czas, ale nie mam pojęcia, co się wcześniej działo. Nate coś jej powiedział? Pokłócili się? Mama wyraziła się niekorzystnie o Grace?

Nie wiem.

Wiem tylko, że nie chcę, by ta kobieta trzymała moje dziecko, gdy popadnie w jeden z tych swoich stanów. Doskonale zdaję sobie sprawę, co się zaraz wydarzy.

Jakby rażona piorunem, rzucam się przez pokój. Wydaje się, że Nate się tego nie spodziewał, ponieważ rozluźnia uchwyt. Wyciąga rękę, by mnie złapać, ale mu się wymykam.

Docieram do córki, nim mąż zdoła mnie powstrzymać.

– Dlatego? Co to znaczy, mamo? – pytam, biorąc córkę na rękę, następnie odbieram matce również butelkę, by móc dokończyć karmienie małej. Kiedy dziecko opuszcza jej rękę, mama zaczyna wykręcać palce, przyglądając się im, jakby nie potrafiła zrozumieć, dlaczego stały się nagle puste. Niewielkie wyrzuty sumienia za zranienie matki szybko przestają mieć znaczenie, bo wiem, że

chronię córkę. Żadna kobieta nie powinna czuć się winna, dbając o dobro dziecka. Zatem odmawiam tym emocjom wstępu do mojej głowy.

Mama nie odpowiada mi przez dłuższą chwilę. Wszyscy znajdujący się w pokoju – Nissa, Nate, ja, nawet mała Grace – zdają się wstrzymywać oddech, czekając, aż kobieta się uspokoi i odpowie. Cisza się przedłuża, mimowolnie zastanawiam się, czy inni są równie spięci.

– Dlatego cię już nie chciałam. – W końcu wyjaśnia matka. – Wiedziałam, że ciebie też stracę. A nie mogłam znieść utraty następnej osoby. Nie widzisz? – Łka żałośnie, co łamie mi serce, nawet pomimo problemów, jakich przysporzyła mi w przeszłości. – Nie mogę już nikogo stracić.

Przeszywa mnie niechęć, niczym wstrząsy wtórne po trzęsieniu ziemi, które miało miejsce bardzo dawno temu. Matka skoncentrowana jest jedynie na tym, co może stracić i jak się będzie z tym czuła. Najwyraźniej wciąż nie poświęciła nawet chwili, by pomyśleć nad tym, co czuje jej pozostałe przy życiu dziecko. Nie pokusiła się, żeby wziąć pod uwagę, jak jej zachowanie wpłynie na mnie.

W moim głosie wyraźnie słychać chłód, gdy się odzywam. Nawet ja go słyszę.

– Och, widzę, mamó. Zapomniałaś tylko, że byłam w tej samej sytuacji. Ja również straciłam rodzinę. Najpierw Janet, potem tatę. Chociaż straciłam nawet więcej, bo ty też odeszłaś. Oni nie mieli wyboru, ale ty? Ty go miałaś, prawda, mamó? Straciłam cię, ponieważ odcięłaś się ode mnie. Miałam tylko ciebie, a ty się po prostu... poddałaś. Równie dobrze można powiedzieć, że ty również mnie zostawiłaś.

Czuję w ustach gorycz, jakbym napiła się żółci.

– Nie zostawiłam cię! – broni się matka.

– Nie opuściłaś mnie fizycznie, ale odcięłaś się w każdej liczącej się kwestii. Wycofałaś się i pozostawiłaś mnie na pastwę losu, bym sama o siebie dbała i sama się wychowywała. I żebym troszczyła

się o ciebie. Byłam dzieckiem! Straciłam wszystko, co miało dla mnie wartość, i nie mogłam nawet przeżyć żałoby. Nie było na nią czasu. Musiałam chodzić do szkoły, gotować, robić zakupy, sprzątać i zajmować się tobą. Nie mogłam tego odpuścić.

Widzę, jak pierś matki unosi się gwałtownie. W pokoju panuje cisza, ale prócz przyspieszonego oddechu kobiety nie słychać, by ktokolwiek próbował zakłócać ten emocjonujący moment. Matka i córka – po prostu patrzymy sobie w oczy, aż w końcu to ona przerywa milczenie:

– A teraz sprowadziłaś mnie tutaj, by się zrewanżować, tak?

Opada mi szczeka.

– Tak sądzisz? Uważasz, że ściągnęłabym cię tutaj, by się zemścić? Po tych wszystkich latach?

– Więc dlaczego? – pyta z bólem, kołysząc się szybciej, odbijając się od oparcia kanapy.

Nagle czuję się, jakby ktoś otworzył pod moimi stopami niewidzialną przepaść, w której znika cała moja siła i energia, pozostawiając moje ciało, jakby było ulepione z ciepłej gumy. Zanim mam szansę się osunąć, moja lepsza, silniejsza połowa materializuje się przy mnie.

Nate.

Nigdy mnie nie opuszcza.

Obejmuje mnie delikatnie, zapewniając potrzebne wsparcie. Czuję na plecach ciepłą, szeroką, solidną pierś męża, więc przez chwilę się o nią opieram. Jak zawsze Nate jest moją opoką, moim łodem podczas sztormu.

Kiedy zaczyna się poruszać, wiem, że ma zamiar przenieść mnie na spokojniejsze wody, ale obracam się najpierw i umieszczam w jego silnych, niezwykłych ramionach naszą córeczkę. Patrząc mu w oczy, a moja determinacja spotyka się ze zmartwieniem w zielonych tęczówkach. Kiwam głową, nim ponownie się odwracam.

Patrząc na matkę – kobietę, która odsunęła się w chwili, gdy najbardziej jej potrzebowałam. Widzę kogoś, kto zmusił mnie do

opieki nad sobą, gdy cały mój świat rozpadał się na kawałki. Widzę osobę, która nie potrafiła znaleźć w sobie siły, by się pozbierać dla błagającej ją o to córki. Zawsze będzie dla mnie tą kobietą.

Choć wciąż tli się we mnie gniew, jest tam również niechęć i ból, ale i coś jeszcze. Dziś czuję litość. Po raz pierwszy w życiu patrzę na Patricię Holmes i widzę załamana, zniszczoną kobietę. Widzę kogoś, kto nie miał po prostu wystarczająco dużo siły, by przetrwać straszną tragedię, którą była strata aż dwóch ukochanych osób, zmarłych na raka. Widzę kogoś, kto został powalony na kolana, z których nie potrafił się podnieść i walczyć.

Może dokonała złych wyborów, była słaba, gdy powinna być silna, poddała się, gdy powinna walczyć, ale to jednak moja matka. Na dobre i złe, to moja mama i choć o to nie prosi, chcę skorzystać z szansy i jej wybaczyć.

Ponieważ nie dostanę kolejnej.

Dobrze się nią zajmowałam. Zapewniłam jej też najlepszą opiekę, odwiedzałam ją co miesiąc i robiłam dla niej wszystko, choć z obowiązku. Nigdy nie czułam się przez nią kochana. Czułam ból, zdradę, więc odgrodziłam się od niej murem, by to wszystko ukryć. Jednak słowa księdza z Rzymu wracają do mojej głowy i mojego serca, przypominając mi, co powinnam powiedzieć, co powinnam zrobić. *Bóg nigdy nie pozwoliłby na tak wielki dramat bez powodu, nie dałby daru bez uprzedniego planu. Poprowadzi cię, jeśli Go o to poprosisz. Czekaj, byś z tym do Niego przyszła. Powierz Mu swą chorobę. Powierz Mu dziecko. Powierz decyzje, a On cię poprowadzi.*

Tragedia mojego życia przywiodła mnie do tej chwili. Umieram, ale za tak wiele powinnam być wdzięczna. W moim życiu nie ma już miejsca na mrok. Pozostał czas jedynie na miłość.

Miłość i przebaczenie.

Pobudzana miłością do własnego dziecka, dającego mi nieskończoną zdolność odpuszczania grzechów innym, zbliżam się więc powoli do matki i klękam przed nią.

– Nie próbuję cię zranić, mammo. Chciałam jedynie, byś wiedziała,

że... że... – Z trudem przełykam ślinę i próbuję zapanować nad łzami napływającymi mi do oczu. To jak oczyszczenie starej, brudnej rany, którą nie zajęłam się na czas i wdała się gangrena. – Chciałam tylko, byś wiedziała, że umieram. Że mam córkę, która nigdy mnie nie pozna, i że tylko ty jej po mnie zostaniesz. Chciałabym... byś mnie jej przedstawiła. Byś opowiadała jej o mnie. Mówiła jej, jak bardzo ją kochałam i że zabrałam ze sobą tę miłość w zaświaty. Nie pozwól, by choć przez chwilę czuła się jak ja w dzieciństwie. Spraw, by nie czuła się odrzucona i samotna. Niechciana. Stań się częścią jej życia. Jeśli nie dla mnie, to dla samej siebie. Będzie wszystkim, co ci pozostanie. – Patrzę matce w oczy przez długą, bolesną chwilę, nim się poddam, zwieszam głowę i ronię łzy. Szlochając, wyznaję kolejny powód, dla którego ją tu ściągnęłam: – Umieram, mamo, i chciałam zobaczyć cię po raz ostatni. Jeszcze ten jeden raz. To aż tak złe?

Słyszę cichy głos męża, który mówi:

– O Jezu!

Wyobrażam sobie, że zdenerwowany przeczesuje włosy palcami, odwracając się od umierającej żony, która na klęczkach błaga matkę o miłość. Boli mnie świadomość, że jest tego świadkiem, ale to coś, co po prostu muszę zrobić. Jednak prócz mojego własnego szlochu odbijającego się echem w pokoju panuje zupełna cisza.

Mijają sekundy.

Nikt się nie odzywa.

Czuję smutek i bezsilność. Przesycają powietrze, jakby nad meblami w salonie zawisła ciężka, wilgotna chmura.

Minuty, godziny, dni później pojawia się dźwięk. To mama, która opada obok mnie na podłogę i porywa mnie w objęcia. Pozwalam jej. Pragnę tego. Chłonę jej miękkość, ciepło. Szlochamy we dwie.

– Przepraszam, serduszek – mówi. Słowa te są kojącym balsamem na moją zranioną duszę. Matka nie nazywała mnie w ten sposób od śmierci Janet. – Tak bardzo cię przepraszam. Proszę, wybacz mi. Błagam, Leno, wybacz. Proszę, nie myśl, że cię nie kochałam. Kochałam cię najbardziej na świecie. Właśnie

dlatego się odsunęłam. Bałam się, że kocham cię za bardzo. Bałam się, co zrobi ze mną strata ciebie. – Jej głos przechodzi w szept, gdy jak mantrę powtarza w kółko: – Bałam się. Bałam się. Bałam się.

Unoszę ręce i obejmuję matkę, tulę ją również.

– Już dobrze, mamó. Wszyscy się boimy.

– Powiedz, że mi wybaczasz. Proszę, powiedz, że możesz mi wybaczyć.

Nie waham się. Nie mam luksusu boczenia się w nieskończoność. Teraz albo nigdy.

– Wybaczam ci, mamó. Mimo wszystko cię kocham. Zawsze kochałam.

W końcu uświadamiam sobie, że to coś więcej niż zwykle poczucie obowiązku skłaniało mnie do odwiedzin rodzicielki przez całe te dwadzieścia dwa lata. Miałam nadzieję, że matka może znów mnie pokocha. Sądziłam, że straciłam nadzieję za młodu, ale chyba tylko pogrzebałam ją pod warstwami bólu i żalu.

Odczuwam w tej chwili głęboki spokój. Rozchodzi się po mojej głowie i pulsuje miękko pomiędzy moimi skroniami. Spływa na moje ramiona, przeganiając napięcie, następnie kieruje się w dół.

Czuję w całym ciele trzepotanie skrzydeł kolibra. Oczyszcza mnie ono z cierpienia, goryczy, złości, urazy, wściekłości i żalu. Pozostaje jedynie miłość.

W głębi serca wiem, że pozostało mi ostatnie wyznanie. Dla Nate'a. Wiem, że kiedy padną słowa, moja dusza zostanie ukojona.

Będę wolna.

Wiem również, że nie mam wiele czasu, by mu powiedzieć.



## ROZDZIAŁ 24

### *WANTED DEAD OR ALIVE*

LENA

Mama została przez cały dzień. Była przy mnie, gdy zasypiałam w fotelu i wiele godzin później, kiedy obudziłam się w sypialni podczas zachodu słońca. Zobaczyłam jej twarz zaraz po obliczu męża, gdy pochylała się nade mną, celowo panując nad emocjami.

– Przygotowałam ci pyszny mielony stek na kolację – oznajmia Nate, uśmiechając się nieznacznie. – Brokuły, chleb, pieczone ziemniaczki z dodatkowym masłem. Jest wszystko. – Pokazuje pojemnik, którego wcześniej nie zauważyłam. Jego zawartość wygląda jak wymiociny. To pożywienie mające zostać dostarczone prosto do mojego żołądka przez sondę założoną przez nos.

– Dlaczego nie jem z tobą?

Na twarzy Nate'a pojawia się zaskoczenie – mąż otwiera szerzej oczy, a jego usta tworzą literę „O”.

– A mogłabyś?

– Oczywiście, że bym mogła. Musiałabym tylko porządnie pogryźć. – W najgłębszym zakamarku duszy wiem, że to mój ostatni posiłek z rodziną, więc chciałabym, by był najbardziej normalny, jak to tylko możliwe. Wiem wystarczająco dużo o ostatnich, „złoty dniach”, by zdawać sobie sprawę, że powinny być one wyjątkowe i niezapomniane, nawet jeśli nie spędzimy ich razem wiele.

– A co z...? – Nie kończy zdania, ale wskazuje nieznacznie na rurkę, która wciąż wystaje mi z nosa.

– Pomożesz mi przejść do łazienki?

Kiwając głową, Nate odstawia pojemnik ze zmiksowanym posiłkiem na szafkę nocną, po czym pomaga mi wstać z łóżka.

Kiedy stoję, patrzę na matkę, która trzyma na rękach śpiącą Grace. Uśmiecham się.

– Kocham cię, mamó.

Patricia Holmes po prostu przytakuje. Nie obrażam się. Wiem, że matka najprawdopodobniej jest przytłoczona i nie potrafi wydusić z siebie ani słowa. Rozumiem, że nie będzie jej łatwo w tych ostatnich chwilach. Będą słodko-gorzkie. Mama wie, co mnie czeka. Widziała to zbyt wiele razy.

Z pomocą męża przechodzę obok matki i córeczki, zatrzymując się jedynie, by pocałować małą w główkę.

– Mój aniołek – szepczę, zaciągając się głęboko zapachem dziecka, i ruszam w kierunku łazienki. Na miejscu przeganiam z niej Nate'a.

– Może pomóc?

– Zawołam, jeśli będzie trzeba.

– A jeśli nie zdążę na czas?

– Zdasz.

– Ale jeśli nie?

– Zawsze dasz. Nic mi się nie stanie. Obiecuję. – Aby podkreślić swoje słowa, wyciągam się, jak tylko mogę, i całuję męża w perfekcyjne usta. Nie potrafię ustać na palcach zbyt długo, nawet przy tak niewielkim wysiłku drżą mi mięśnie nóg. – A teraz wyjdź, przystojniaku, nim rzucę się na ciebie, choć mama znajduje się tuż obok.

– Naprawdę mam gdzieś jej obecność – odpowiada z uśmiechem.

– Wezmę cię gdziekolwiek i kiedykolwiek.

Nawet jeśli połyka przynętę i odpowiada w sposób, w jaki zrobiłby to w każdym innym momencie naszego życia, na jego twarzy widzę jedynie smutek. Wie, że nie czuję się na siłach, by uprawiać seks. A ja jestem pewna, że jest tego świadomy. Mimo to żadne z nas nie chce tego przyznać. Łatwiej jest udawać, że jest jak dawniej. Nawet jeśli wszystko się zmieniło.

Nate całuje mnie czule w czoło i cofa się do drzwi.

– Będę na zewnątrz, gdybyś mnie potrzebowała.

– Dam ci znać, jeśli zajdzie taka konieczność.

Kiedy drzwi w końcu nas rozdzielają, opieram się o umywalkę i ciężko zwieszam głowę. Biorę kilka oddechów, zanim unoszę ją i spoglądam w lustro, w którym ledwie się rozpoznaję.

Co stało się z kobietą, która patrzyła na mnie jeszcze kilka miesięcy temu? Kiedy stałam się upiorną skorupą po Lenie Grant?

Blond włosy, niegdyś spływające falami na ramiona, teraz są suche i pokruszone, przypominają raczej siano. Skóra, która kiedyś błyszczała młodzieńczo, w tej chwili jest szara i cienka jak papier. Oczy, które połyskiwały życiem, teraz są matowe i zbolące.

Zauważam wszystko – od worków pod oczami, przez zapadnięte policzki, aż po widoczne kości obojczyków, które wystają mi spod koszuli. Kiedy tak bardzo schudłam? Kiedy zaczęłam tracić na wadze? Jak to się stało, że nie zauważyłam?

Pod wpływem impulsu chwytam za rurkę, którą mam w nosie, i wyciągam ją, jednocześnie walcząc z odruchem wymiotnym. Bez oglądania się na nią wyrzucam sondę do śmietnika i zaczynam się rozbierać. Czuję niemal szaloną potrzebę przyjrzenia się nowej sobie, podczas gdy mój umysł wciąż jest czujny i zorientowany. Chcę zobaczyć, co widzi Nate, co widzi matka.

Minutę później stoję naga przed lustrem znajdującym się w rogu łazienki. W błyszczącym szkle zauważam za sobą elegancką, głęboką wannę na lwich łapach. Dostrzegam również zyrandol, na widok którego Nate przewrócił oczami, gdy pokazałam mu go w katalogu dekoratorskim. Widzę też kupkę zrzuconych w pośpiechu ubrań, leżących przy toalecie.

Dopiero wtedy patrzę na swoje ciało – ciało chorej kobiety.

Przesuwam spojrzeniem po wymizerowanej sylwetce. Widzę transparentną skórę naciągniętą na kościach klatki piersiowej, w której można policzyć zebra. Widzę chude ręce wiszące po bokach – każdy nadgarstek wręcz sterczy. Widzę piersi, które są wciąż zaokrąglone po ciąży, choć zastanawiam się, dlaczego nie są nabrzmięte i obolałe, skoro nie karmię i nie odciągam pokarmu. A przynajmniej tak mi się wydaje. Nie pamiętam, bym to robiła.

A może, biorąc pod uwagę mój stan, zażywam lekarstwa na powstrzymanie laktacji, o których nawet nie pamiętam. A może to skutek uboczny któregoś leku na podtrzymanie mojego stanu. Tak czy inaczej, nie potrafię stwierdzić.

Niezależnie od tego wiem, że umknęło mi kilka szczegółów z życia.

Spuszczam wzrok na brzuch, który wciąż odstaje po ciąży. Dotykam go drżącymi palcami, naciskając u góry i na dole. Czuję, jakby woda przemieszczała się pod skórą.

To opuchlizna.

Pomimo tego, że ostatnio mój umysł często znajduje się w stanie delirium, lata pracy w zawodzie pielęgniarki utwierdzają mnie w przekonaniu o tym, co się dzieje. Zbieranie się płynów w jamie brzusznej często zdarza się u ludzi z chorobami wątroby. A mój stan jest zaawansowany – mam raka żołądka z przerzutami do wątroby.

Ciepłe łzy płyną po moich policzkach, gdy dokonuję inspekcji reszty ciała. Nogi, które nieustannie uważałam za zbyt grube, teraz są chude jak patyki, skóra zwisa luźno po wewnętrznej stronie moich ud. Obracam się na bok i widzę znikające pośladki, które niegdyś uważałam za przesadnie wystające. Zabawne, ponieważ w tej chwili oddałabym niemal wszystko, by je odzyskać, by znów być zdrową. Aby nie być tym... tym... cieniem.

Nie mam pojęcia, dlaczego Nate wciąż patrzy na mnie, jakbym była najpiękniejszą kobietą na świecie. To bardzo dalekie od prawdy, a mimo to właśnie tak na mnie patrzy. Każdego dnia.

Z uwielbieniem.

Pożądaniem.

Miłością.

Pomimo całej tragicznej sytuacji wciąż jest moim rycerzem na białym koniu. Zawsze wiedziałam, że dobrze wybrałam, ale nie sądziłam, że aż tak dobrze.

Ponownie patrzę na siebie w lustrze, taksując wzrokiem swoje ciało od stóp do głów. W sumie wszystko jest jasne. Widok

potwierdza diagnozę, która pojawiła się w mojej głowie. Tak samo trudno o niej myśleć, jak ją usłyszeć.

*Umierasz, Leno Grant. A teraz to widzisz.*

Ciche pukanie sprawia, że się wzdrygam.

– Wszystko w porządku, kochanie?

Nate.

Nie wiem, jak mam mu odpowiedzieć.

*Z goryczą? Nie, Nate, nie jest w porządku. Umieram i nikt nie może nic na to poradzić.*

*Fałszywie? W porządku, kochanie. Zaraz wyjdę.*

*Czy szczerze? Nie wiem. Nie rozpoznaję już siebie w lustrze i boję się tego, co widzę.*

Okazuje się, że wcale nie muszę odpowiadać. Kiedy milczę, Nate otwiera drzwi i zagląda do środka. Po jego przerażonej minie zgaduję, że chyba spodziewał się znaleźć mnie martwą na podłodze.

Ulga, która maluje się zaraz na jego twarzy, łamie mi serce.

– Wszystko dobrze – zapewniam go w końcu ze słabym uśmiechem.

– O co chodzi? – pyta, wchodząc do łazienki i zamykając za sobą drzwi.

Zaczynam płakać. Nie potrafię powstrzymać cichego szlochu, przedzierającego się przez ściśnięte gardło.

– Nie wyglądam już jak ja. Kiedy to się stało? Jak do tego doszło?

– O Boże, Leno! – jęczy, przyciągając mnie do piersi i tuląc.

Wiem, że gdyby mógł, zabrałby ode mnie chorobę. To właśnie przekazują mi jego ręce, za każdym razem, gdy mnie obejmują. Mówią: „Chciałbym”, „Jeśli tylko” i „Gdyby była szansa”.

Ale nie ma szans.

Już nie.

– Co się stało z „chwalebnyimi chwilami”? – płaczę, tracąc siły na utrzymywanie samokontroli.

Nate pochyla głowę i przygląda mi się z czułością.

– Miałaś swoje „chwalebne chwile”. Nadal je masz.

– Nie. Wcale nie. Zawiodłam.

– Nie zawiodłaś. Donosiłaś i urodziłaś dziecko, walcząc jednocześnie z rakiem. Pomagałaś je karmić i się nim zajmowałaś. Każdego dnia dawałaś mężowi nadzieję. Śmiałaś się, kiedy powinnaś płakać, i dbałaś, byśmy wszyscy dobrze się czuli, nawet jeśli to my powinniśmy się troszczyć o ciebie. Leno, zasłużyłaś, by określić to mianem „chwalebnych chwil”. Nikt nie zachowywałby się lepiej w tej sytuacji.

Wciąż jestem zdenerwowana, patrząc mu w oczy.

– Tylko na mnie spójrz. Poległam, Nate – jęczę z bólem. – Dałam rakowi wygrać!

Wiem, że moje słowa w końcu do niego docierają. Widzę cierpienie, które próbuje ukrywać. Jest niczym okrągły grzbiet Potwora z Loch Ness, który pojawia się ponad powierzchnią na sekundę, nim ponownie znika w ciemnych odmętach, z których przybył. W miejsce, które widzi jedynie Nate.

– Zrobiłaś wszystko po swojemu. Nie pozwoliłaś mu wygrać. Znałaś ryzyko i podjęłaś najlepsze decyzje. I byłaś konsekwentna. Zrobiłaś, co uważałaś za właściwe. Zawsze będę cię wspierał.

– Ale powinnam była walczyć, Nate. Dla ciebie. Dla nas. Ale nie zrobiłam tego! Bałam się. Byłam zbyt przerażona, by walczyć. Nawet dla ciebie. I bardzo cię za to przepraszam, Nate. Tak bardzo mi przykro.

Kolana się pode mną uginają.

Żal mnie osłabia.

Wraz z ostatnim wyznaniem opuszcza mnie resztką energii. Opadam, ale Nate mnie łapie. Zawsze jest przy mnie, by mnie złapać.

Zawsze.

– Nie zrobiłam tego dlatego, że cię nie kochałam – ciągnę łamiącym się głosem, oddając się w jego ciepłe, kojące ramiona. Nie mam już sił, by stać. Ani walczyć. Już nie. – Ale dlatego, że byłam słaba. I przerażona.

– Nie jesteś słaba, Leno. I możesz się bać. Ja też się boję.

– Ale ty się nie poddałeś. Ja tak. Podałam się, Nate. Będziesz potrafił mi to przebaczyć? Proszę, powiedz, że mi przebaczysz, Nate. Błagam!

Wtulam twarz w jego szyję. Czuję, jak jego plecy trafiają w ścianę, gdy się opiera, jakby sam potrzebował wsparcia.

Jego głos jest pełen bólu.

Udręki.

Agonii.

– Nie rób tego, Leno. Nie torturuj się. Jesteś najsilniejszą, najodważniejszą kobietą, jaką znam. Zrobiłaś, co uważałaś za słuszne.

– Ale źle wybrałam, Nate. Źle wybrałam.

Następne słowa padają ciszej.

Z wahaniem.

Ale są prawdziwe.

– Założę się, że Grace by tak nie powiedziała.

*Grace.*

Nasza córka. Częstka nas obojga w najpiękniejszym dziecku, jakie się narodziło. Nie zamieniłabym jej na żadne lata na tym świecie. I nawet za milion zdrowych ciał.

Jest wszystkim, czego kiedykolwiek pragnęłam. Brakującą częścią naszej rodziny. Będzie trzymała mojego Nate'a za rękę, nie tylko kiedy sama będzie tego potrzebowała, ale również gdy on będzie tego wymagał. Uzdrowiła nas, dała nam nadzieję, gdy zdawało się, że nie ma już żadnej.

Przed nią mój słój był niemal pusty. W tej chwili jest przepełniony. To ona go wypełniła. To ona jest światłem, które zabiorę ze sobą do nieba, światłem, które będę miała przy sobie przez całą wieczność.

Częścią mnie.

Najlepszą częścią mnie.

Myśl o niej daje mi perspektywę. Spokój. Odpowiedź. Wzdycham, a powietrze wydobywające się z moich płuc brzmi jak jej imię.

*Grace.*

– Nie, nie powiedziałyby. I jest tego warta, prawda? Warta tego wszystkiego.

Wyobrażam sobie, że błysk w oczach Nate’a pasuje do tego w moich własnych. Pałamy do siebie tak wielką miłością, która przelewa się również na nasze dziecko, że nigdy nie potrafiłabym w pełni żałować swojej decyzji. Na szalach wagi leżało moje życie i życie Grace, więc wiem, że podjęłabym taką samą decyzję, gdybym tylko ponownie mogła dać Nate’owi córkę.

– Dziękuję – mówię cicho, dotykając wargami jego ust.

– Za co?

– Za wybaczenie. I za przypomnienie, że tylko tak mogło być. To wola Boga.

Nate początkowo milczy, w ciszy przyglądając mi się i przetwarzając moje słowa, ale dla mnie brzmi to jak prawda, której byłam świadoma przez całe życie.

– Może masz rację. Może Bóg istnieje, a to Jego wola.

– Mam rację, Nate. Dał mi wybór pomiędzy jej a moim życiem. Podjęłam właściwą decyzję. Nie zmieniałabym jej. Podejmowałabym ją wciąż tak samo. Chyba po prostu... chyba straciłam na chwilę z oczu to, co istotne. Czasami... nie czuję się już sobą. A właściwie – często. Przeważnie czuję się jak dziwne połączenie dawnej Leny z nową obcą mi postacią, która ma stare wspomnienia i śmiałe marzenia. Rzeczywistość stanowi dla mnie mieszankę wymyślnych fantazji i niewyobrażalnego horroru.

– Kocham cię. Wszystkie twoje postacie.

– A ja cię kocham za to, że tak mnie kochasz. Wiem, że ci ciężko. Ale to już prawie koniec.

Nie zamierzałam przekazywać tej wiadomości w tak nonszalancki sposób, ale musiałam to zrobić.

Nate opiera policzek o mój, czuję przy tym, jak gwałtownie bierze oddech. Wiem, że walczy z emocjami. Rozpoznaję oznaki.

– Zawsze będę cię kochał. Każdą twą cząstkę. Nie będzie innej takiej jak ty. Nigdy. Nie dla mnie. I dla twojej wiadomości zrobiłbym to raz jeszcze. Zakochałbym się w tobie ponownie, bez



względu na to, jak długo mielibyśmy być razem. Jesteś tego warta, Leno. Jesteś warta wszystkiego. – Głos łamie mu się przy końcu zdania, mąż przyciąga mnie mocniej do swojej piersi i wtula twarz w moją szyję.

Ten czas razem, sam na sam, blisko końca... sprawia, że czuję wzruszenie, a także siłę i porozumienie na znacznie głębszym poziomie niż słowa. Przytłacza nas melancholia, przeplatając się pomiędzy wyznaniem, wiążąc je prawdą i szczerością.

Serce męża rozdziera się jak moje. Jesteśmy dla siebie nadzy, nie ma pomiędzy nami już nic poza prawdą. Nie chcę, by ta chwila dobiegła końca. Jeszcze nie. Nie potrafię się zmusić, by zniszczyć jej magię.

– Pomożesz mi wziąć prysznic? – pytam cicho.

Nie chcę, żebyśmy w moich ostatnich godzinach zajmowali się opłakiwaniem. Zwłaszcza teraz pragnę dać mężowi dobre wspomnienia.

Czuję, że Nate kiwa głową.

Milcząc, pomaga mi dotrzeć do prysznicza, stawia mnie tuż obok niego i odkręca kurki. Kiedy woda zaczyna płynąć, Nate się rozbiera.

Z każdego jego ruchu bije ostateczność, jakby wiedział, że po raz ostatni zdejmuję dla mnie ubranie, że ostatni raz będzie mnie dotykał pod tym prysznicem, że spędzimy ze sobą ostatnią noc.

Czuję się w ten sam sposób, z tą różnicą, że ja to wiem.

Mam tego świadomość.

Odsuwam ręce męża i zajmuję się guzikami jego koszuli, powoli go rozbierając. Uwielbiam dotyk miękkiej bawełny, gdy ją zsuwam z ramion Nate'a. Rozkoszuję się zapachem wody kolońskiej. Cieszę się jego bliskością i ciepłem, które wnika we mnie aż do kości.

Gdybym miała możliwość wypowiedzenia ostatniego życzenia, to prócz bezpieczeństwa mojej córki, prosiłabym, aby spędzić ostatnie minuty sam na sam z mężem, nawet jeśli nigdy wcześniej nie pomyślałam, by o coś takiego prosić.

W końcu stoimy nadzy, patrząc sobie w oczy. Nie ruszamy się

przez dłuższą chwilę, nim jednocześnie się nie obracamy i wchodzimy pod prysznic.

Razem.

Po raz ostatni.

Każda z tych chwil wydaje mi się szczególnie znacząca. Każde spojrzenie, dotyk, szept i oddech jest ostatnim.

Ostatnim, który będziemy dzielić.

Nate kąpie mnie czule, choć wiem, że jest zdenerwowany. Masuje moją skórę namydlonymi dłońmi, zataczając niewielkie kółka na moich spiętych mięśniach. Ścisza moje wątle ramiona, pociera napuchnięty brzuch. Delikatnie myje nawet czubek mojego nosa.

A kiedy jestem zbyt zmęczona, by stać, pomaga mi usiąść na ławeczce i kończy mycie wrażliwej przestrzeni pomiędzy palcami u nóg. Wielbi każdy centymetr mojego ciała, całuje podbicie stóp, kolana, biodra. Każdym ruchem żegna się z moją skórą. Niczego nie pomija.

Nate po prostu mnie kocha. Szeptanymi słowami, delikatnymi dłońmi, złamanym sercem mąż mnie kocha. Mówi, że jestem piękna, nawet teraz robi to, nie używając słów. Mówi mi „do widzenia”.

Żegna się każdym swoim ruchem.

Chwilę później wynosi mnie z kabiny, by wytrzeć moje ciało, i szepcze do ucha:

– Zawsze będę cię kochał. Żywy czy martwy, bez względu na to, gdzie się znajdę, zawsze będę twój.

– A ja będę twoja. Na wieki.

Na wieki.

Tylko tyle i aż tyle.

Nie ma nic do dodania.

\*\*\*

Kolacja jest najsmaczniejszym posiłkiem, jaki w życiu jadłam. Każdy smak eksploduje na powierzchni mojego języka, każdy kęs jest jak pierwszy, jaki w życiu brałam. To coś więcej niż ostatni pokarm. To ostatnie doświadczenie.

Nie spieszę się i żuję dokładnie, nie ryzykując zadławienia. Wcześniej się krztusiłam, teraz też może tak być.

Choć cieszę się, zjadając ćwierć kotleta, który upiekł na grillu Nate, i niemal jedną trzecią ziemniaków obranych z mundurków, wszyscy patrzą na mnie z niepokojem.

Przekaz jest jasny.

Wszyscy wiedzą.

Nissa zostaje, by pomóc posprzątać. Znajdują się z Nate'em w kuchni, gdy za drzwiami prowadzącymi na patio zauważam błysk światła i przychodzi mi do głowy pewien pomysł.

– Nate! Nisso! – wołam. Oboje przybiegają, zdenerwowani. – Chodźmy połapać świetliki. Z Grace. I z mamą. Nisso, nakręcisz to, co?

Choć jej uśmiech jest kiepski, przyjaciółka z entuzjazmem kiwa głową.

Nate bez słowa zabiera mój pusty słój z szafki. Podaje go Nissie wraz ze swoim telefonem, a następnie bierze mnie na rękę. Jego mina powinna być zwyczajna, ale widzę, że kąciki ust nieznacznie się unoszą.

To słodko-gorzkie.

Czuję to.

On również.

Opieram głowę na jego ramieniu, gdy idzie w kierunku patio. Rozglądam się – patrzę na dom i skąpany w mroku ogród – starając się zapamiętać każdy szczegół. Przyglądam się rattanowym meblom, w których zakochałam się podczas którejś z naszych wypraw na plażę. Rozkoszuję się rzędem czerwonych i różowych róż, które lekko kołysze wiatr. Widzę idealnie wypielęgnowany trawnik, choć nie pamiętam, by Nate w tym roku ścinał trawę, i kobaltowe niebo budzące się do życia żółtymi kropeczkami świetlików. Byłam tu szczęśliwa – z mężem, w naszym domu. Tak bardzo szczęśliwa. Zostaliśmy pobłogosławieni, choć nie postrzegałam tego w ten sposób, kiedy uważaliśmy, że nasza rodzina jest niepełna – że brakuje nam

dziecka. Teraz już widzę wszystkie te uśmiechy, słyszę śmiech, czuję miłość. To mój dom. I nie chciałabym umierać nigdzie indziej.

Kiedy Nate sadza mnie na leżaku, w proteście klepię go w pierś.

– Nie, chcę trzymać Grace, gdy będziesz z mamą łapał świetliki. Może tak być?

Chciałabym samodzielnie łapać owady dla córki, ale wiem, że przy moim stanie byłyby to zbyt ryzykowne. Zrobię zatem wszystko, by trzymać dziecko, podczas gdy reszta będzie chwytala robaczki.

Nate przytakuje.

– Oczywiście, kochanie. Daj znać, jeśli za bardzo się zmęczysz. – Nate powoli stawia mnie na posadzce, po czym niechętnie wypuszcza z objęć, z ociąganiem zabiera palce, jakby wiedział, że z każdą sekundą te chwile zbliżają się do końca.

Z uśmiechem, który rozświecila mnie od środka, podchodzę do mamy trzymającej moją córkę. Grace nie śpi, ssie smoczek. Kiedy pochylam się nad nią, mała odpowiada uśmiechem i gaworzy, jakby wiedziała, że jej mama jest blisko, i mogła wyczuć bijącą ode mnie miłość.

Mam nadzieję, że tak właśnie jest. Chciałabym zamknąć w słoiku moją miłość i przekazać córeczce, by ta mogła otworzyć wieczko i zaznać jej ciepła za każdym razem, gdy poczuje chłód lub samotność. Choć to jednak niemożliwe, modlę się, by wystarczyły jej nasze nagrania.

– Cześć, ślicznotko – szepczę, gdy biorę dziecko na rękę.

Mama próbuje się uśmiechnąć, ale wychodzi jej grymas. Układam Grace z drugiej strony i całuję matkę w policzek.

– Dziękuję, że się nią dziś zajęłaś.

Mama nie odpowiada, choć całkowicie to rozumiem. Co miałyby powiedzieć? Wszystko zostało już powiedziane. Odwracam się i podchodzę do męża. We troje stajemy na chłodnej trawie, by zbliżyć się do największej jasnej chmury. Nie potrafię powstrzymać chichotu, gdy żdźbła łaskoczą mnie w stopy. Czuję, jakby każde z osobna dotykało mojej skóry. Każdy nerw jest bardzo wyczulony,

mimo to staram się zapamiętać dokładnie tę chwilę, która wkrótce stanie się wypalonym jak światło robaczka świętojańskiego wspomnieniem.

Dziś nie tylko będę łapać świetliki, ale zrobię to, co tata, i pójde za nimi do miejsca, w którym nie przestają świecić.

Do nieba.

– Złap tego – mówię do Nate’a, ruchem głowy wskazując owada znajdującego się na tyle nisko, by mógł zostać złowiony. Mąż wyciąga długą rękę i chwyta robaczka, który rozświetla jego palce. Nate pokazuje słoń, na tle nocy widać hipnotyczny blask.

– Patrz, Grace! – Przechyliam córkę w kierunku jej ojca, następnie spoglądam na Nissę, która stoi nieopodal i wszystko filmuje. Uśmiecham się do przyjaciółki. Nissa macha, ale zauważam też łzę płynącą po jej policzku, która zatrzymuje się na drżącej wardze.

– Przywitaj się z Nissą, Grace. To ona będzie pomagała ci z sukienkami, kosmetykami i biżuterią. Z całą masą fajnych dziewczynskich rzeczy. – Biorę małą, pulchną rączkę córki i macham do kamery. Jakby za sprawą magii pojawia się przy nas świetlik, jego odwłok połyskuje żółtym światłem. – O! O! Złap tego, mammo!

Mama spełnia polecenie, chwyta owada w dłoń, którą wyciąga w moją stronę.

– Idealnie – stwierdzam, odczuwając mieszaninę przytłaczającego szczęścia i czystej rozpacz palącej mnie w oczy. Przyglądam się, jak mama wkłada świetlika do słoja, który Nate zaraz zakręca, by żaden robaczek się z niego nie wydostał.

Nadal wskazuję mężowi i matce owady do złapania, a gdy naczynie jest pełne, wygląda jak pojemnik ze słonecznymi iskrami. Po pewnym czasie słoń przepelnia się insektami, więc podchodzę do ostatniego latającego dość nisko świetlika i podsuwam mu palec, by na nim usiadł. Przysuwam go do twarzy córki i mówię cicho:

– Nie chodź spać z brudnymi stopami ani pustym słojem. Każdej nocy zmów modlitwę i nie przestawaj łapać świetlików. Nigdy nie

przestawaj. Kocham cię, Grace. Na zawsze.

Przysuwam sobie córeczkę i całuję ją w czoło, oczy, policzki i końcówkę małego, ślicznego noska. Wdycham jej zapach, uśmiechając się, ponieważ jej niemowlęca słodycz potrafi poprawić nocne, chłodne powietrze. Zgaduję, że jeśli można zabrać ze sobą zapachy do nieba, ja wezmę właśnie ten, a także woń Nate'a. To dwa najlepsze zapachy na świecie.

Kiedy zaczynają mi drętwieć i słabnąć kolana, czuję na ramionach wielkie dłonie męża. Tak spostrzegawczy. Tak opiekuńczy.

– Może weźmiemy małą i słój do środka? – Pochyliła się, by pocałować mnie w ucho, przez co przeszywa mnie dreszcz.

Jest jeszcze jedna rzecz, jakiej pragnę od tej nocy – zobaczyć, jak moja córka zasypia w blasku świetlików.

– Tak, jestem gotowa. – Pozwalam wprowadzić się Nate'owi do domu. Spoglądam na matkę, która stoi za mną, obejmując się ciasno rękami. Zastanawiam się, czy jest jej zimno, czy też wie, co się dzieje. – Zostaniesz z nami, prawda, mamó? Jeszcze przez chwilę?

Mama kiwa głową, w ten swój cichy sposób. Nie mogę wymagać od tej kobiety, by była tą samą osobą, którą znałam dawno temu, ale cieszę się, że jestem w stanie dostrzec choć przebliski matki, która mnie wychowywała.

– Położymy Grace spać i wrócimy tutaj. Może poczekasz z Nissą w salonie?

Ponownie kiwa głową, ale tym razem idzie za nami cicho, jakby się bała postawić energiczny krok. Usatysfakcjonowana, że mama zostanie i że nie domaga się, by Nate natychmiast odwiózł ją do ośrodka, przechodzę przez ogród i patio, a następnie wchodzę do domu, cały czas tuląc córeczkę do piersi. Jestem zdeterminowana, by jej nie puścić, nie oddać ani na chwilę pod opiekę męża. Potrzebuję jej.

Po raz ostatni.

Kiedy omijam pokój małej, Nate pyta:

– Dokąd idziesz?

– Chcę ją trzymać na rękach, byśmy razem mogli oglądać świetliki. We troje – odpowiadam, choć dyszę z wysiłku.

Nate zamyka za nami drzwi sypialni. Siadam na skraju łóżka, mąż podchodzi z drugiej strony i bierze dziecko, bym mogła się ułożyć. Kiedy leżę wygodnie, wyciągam rękę, a Nate układa małą tuż przy mojej piersi. Przytulam się do Grace, otaczając ją matczyną miłością i ciepłem.

Przyglądam się, jak Nate ustawia świecący słój na szafce nocnej, następnie kładzie telefon tak, by kamera mogła nas rejestrować. Kiedy kończy, kładzie się za moimi plecami i przyciąga nas do siebie.

– Weź ją do kościoła, Nate. Obiecuj, że zabierzesz ją do kościoła. Nie pozwól, by była tak zgorzkniała jak ja.

Nie waha się, gdy mówi:

– Obiecuję.

– Chcę, byście oboje byli w stanie zrozumieć.

– Ale co?

– Tę miłość – wyjaśniam. – Która wszystko zmienia. To właśnie dlatego tata się modlił. Dla miłości, dla mnie. Zrozumiałam to w chwili, gdy dowiedziałam się, że jestem w ciąży. Natychmiast zrozumiałam, jak tata kochał mnie i całą swoją rodzinę. Właśnie to jest w słóju. Nie świetliki czy światło. Ale tradycja. Rodzina. Miłość. Tata nie bawił się ze mną, podtrzymując wakacyjny rytuał. Wypełniał mój słój swoją miłością – milknę, wzdychając z ulgą, mówiąc o tym wielkim uczuciu, ponownie je odczuwając. – Taka miłość... sprawia, że ludzie poszukują Boga, w którego przestali wierzyć. Taka miłość popycha nas do działania, nakazuje nam się modlić, daje nam nadzieję. Taka miłość jest w stanie nas ocalić. To właśnie mi dałeś, Nate. Ty i Grace. Ocaliłeś mnie. Po śmierci taty mój słój był pusty. Aż poznałam ciebie. Ty znów go wypełniłeś. A teraz muszę wiedzieć, że Grace napełni twój. Muszę wiedzieć, że kiedy odejdę, będzie wam dobrze.

*Kiedy odejdę.*

– Leno, ja... – Głos Nate’a jest ochrypły, jakby krwawiło mu nie tylko serce, lecz także gardło.

Czekam, by dokończył myśl. Niemal słyszę walkę, jaką toczy sam ze sobą. Chce się klócić, że to nie koniec, ale wie, że nie może tego zrobić. Nie może negocjować prawdy. To koniec. I oboje o tym wiemy. Czujemy to.

Spokój.

Akceptacja.

Kolejne słowa męża przyprawiają mnie o uśmiech.

– Jesteś moim gofrem z masłem orzechowym.

– Czym?

Wodzi nosem po moim karku, gdy powtarza:

– Moim gofrem z masłem orzechowym. To jedyne śniadanie, które jest lepsze od francuskich grzanek. Ale nie wiedziałem o tym, póki nie spróbowałem. Wcześniej nie miałem pojęcia, co tracę. Gdy się to stało i ugryzłem pierwszy kęs, nie potrafiłem pojąć, jak udało mi się przeżyć tak długi czas bez gofra. Ani jak uda mi się żyć bez niego dalej. Jesteś gofrem z masłem orzechowym mojego życia. Nie mam pojęcia, jak przetrwałem bez ciebie. Ani jak... – urywa, jakby nie umiał dokończyć zdania, jakby po części wciąż nie potrafił wypowiedzieć na głos tych słów.

– Ciii, Nate. Będzie dobrze. Przyrzekam.

Mąż obejmuje mnie i tuli. Zastanawiam się, czy uważa, że ściskając mnie tak mocno, zatrzyma mnie przy sobie i nie pozwoli śmierci mnie wykraść. Ja jednak wiem. W głębi duszy wiem, że będzie inaczej i jestem przekonana, że on również ma tego świadomość.

Rozkoszujemy się chwilą przez kilka kolejnych minut, zapamiętując, jak to jest się tulić, jak to jest czuć się kochanym, bezpiecznym, żywym. Co to znaczy rodzina. Jesteśmy rodziną.

Następnie w ciszy naszej sypialni, w której dzieliliśmy tak wiele chwil, dokańczam rytuał, którego wieki temu nauczył mnie tata.

Na tak wiele sposobów zatoczyłam pełne koło.

Wodząc palcem po policzku zasypiającej córeczki, szepczę:



– Dobranoc, księżycu. Gwiazdki, dobranoc. Dobranoc, świetliki, przylećcie znów rano.

Rodzina Grantów odpoczywa, tuląc się mocno do snu. W ciszy wypełniającej pokój słyszę znajomy, kojący głos męża:

– Kocham cię, Heleno Grant. Bardziej, niż ktokolwiek na tym świecie kochał kogokolwiek. – Choć słyszę, że głos drży mu z powodu wzruszenia, moje usta rozciągają się w szczęśliwym uśmiechu.

– Ja ciebie kocham tak samo, Nate – odpowiadam. – I zawsze będę tak kochać.

Łagodne migotanie odwłoków świetlików, zawiniątko przy mojej piersi i ciepło męża z tyłu kołyszą mnie do snu z dala od rzeczywistości i pędzących myśli. Przeszłość i teraźniejszość mieszają mi się w koktajlu wspomnień.

Czuję, że zasypiam, nie jestem w stanie dłużej z tym walczyć.

Koniec.

Skończyłam.

Nie zostały do powiedzenia żadne słowa, nie została do zrobienia żadna rzecz. Nie muszę już niczego widzieć, nim poddam się w tej walce.

Mam jedynie spokój. Głęboki, kojący spokój, niczym niekończący się ocean, który mnie kołysze, zabierając na fali odpływu.

Więc się poddaję.

Mój umysł powraca do minionych dni, do początku i do końca. Wygrzewam się w blasku wspomnień tak długo, jak tylko potrafię.

Wreszcie pozwalam myślom odpłynąć...

## ROZDZIAŁ 25

### *YOU GIVE LOVE A BAD NAME*

LENA

*Dziewiętnaście lat temu...*

– Trudno to wyjaśnić. Wydaje się, że zaszło między nami natychmiastowe połączenie. Jakby... przeskoczyła iskra. To było niesamowite! – wykrzykuję, wspominając poznanego w banku przystojniaka. Moja koleżanka i współpracowniczka Regan jednocześnie się śmieje i przewraca oczami. Natychmiast dodaje: – Wiem, że to kiepsko brzmi, ale naprawdę tak było.

Regan patrzy na mnie sceptycznie.

– Jestem pewna, że tak. Ale chyba przesadzasz.

Szturcham dziewczynę.

– Wcale nie!

– A właśnie, że tak.

– Nie!

– Tak, ale przejdźmy do konkretów. Jak ma na imię? Zamierzasz znów się z nim spotkać? I czy wygląda, jakby był dobry w łóżku?

– Boże, Regan! – Wiem, że mocno się czerwienię. Choć z racji wykonywanego zawodu z łatwością rozmawiam o seksie z pacjentami, nigdy nie potrafiłam swobodnie opowiadać o własnym życiu erotycznym. Nikomu. – Myślisz, że powinnam dać się zaprosić na kolację czy może wrócić do banku i się na niego rzucić?

– Jeśli naprawdę chcesz znać moje zdanie, to...

– Nie, nie chcę. Dokładnie wiem, co powiesz.

Obie się śmiejemy. Regan jest dziewczyną, która dokładnie wie, czego chce. Nikomu się nie tłumaczy. Choć zazdroszczę jej śmiałości, nigdy nie mogłabym być tak... wyzwolona. Po prostu nie

leży to w mojej naturze.

– No i? Spotkasz się z nim ponownie?

Wzdycham.

– Wątpię. Przecież ani nie wymieniliśmy się numerami, ani mnie nigdzie nie zaprosił. Na miłość boską, poszłam do niego z wnioskiem o kredyt hipoteczny! Jestem pewna, że szanuje swoją pracę i nie umówiłby się z klientką. – Patrzę z rozmarzeniem na koleżankę. – Cholera.

– Cóż, to musisz iść do tego banku i zapytać o coś jeszcze. Wtedy będziesz miała okazję się z nim umówić.

– No nie wiem. Co jeśli to przyciąganie miało miejsce jedynie w mojej głowie? Co jeśli jest tylko wynikiem mojej desperacji i pobożnych życzeń?

– Leno, powiedz raz jeszcze, jak wyglądał.

Uśmiecham się i patrzę przed siebie, gdy przypominam sobie pracownika banku, Nathaniela.

– Był przeuroczy! Miał ciemne, krótkie włosy i szmaragdowozielone oczy. Stalową szczękę, męski podbródek. I usta, za które można by umrzeć. Uśmiech roztapiający jajniki kobiet znajdujących się w odległości dziesięciu metrów.

– Był wysoki?

– Bardzo. Miał przynajmniej jakieś metr dziewięćdziesiąt. Szerokie ramiona i wąską talię. Nosił garnitur... grafitowy z białą koszulą i szmaragdowy krawat, który podkreślał kolor jego oczu. Jezu, był taki piękny...

Na to wspomnienie podwijają mi się palce u stóp.

– A jak miał na imię?

– Mam nadzieję, że Nathaniel – odpowiada aksamitny głos za moimi plecami.

Natychmiast się odwracam, nieomal spadając z krzesła. Zamieram, patrząc w wesołe szmaragdowe oczy, które przed chwilą opisywałam. Seksowny pracownik banku stoi w recepcji, niecały metr ode mnie, i szczyrzy zęby.

*O Boże, ten uśmiech!*

Siedzę z otwartymi ustami, wpatrując się w niego przez dłuższą chwilę, zanim moje policzki nabierają szkarłatnego odcienia. Nie robię i nie mówię absolutnie nic.

Zatraciłam się. Całkowicie i zupełnie się zatraciłam.

W końcu to on przerywa niezręczną ciszę, a głos, o którym zapomniałam, płynie jak satyna po mojej skórze.

– To miał? – pyta, gdy nadal wpatruję się w niego jak sroka w gnat.

– Co miał?

– Na imię Nathaniel?

Wtedy to do mnie dociera. Słyszał każde moje słowo, a przynajmniej tyle, bym zechciała zapaść się ze wstydu pod ziemię.

– O Boże! – jęczę, zakrywając dłońmi czerwoną jak burak twarz.

Sekundę później długie, chłodne palce chwytają mnie za nadgarstki, odciągają delikatnie moje ręce i po raz drugi w ciągu minionej doby zostaję obezwładniona przez to natychmiastowe połączenie między nami. Czuję, jakby poraził mnie prąd.

Przeszył moje ciało.

Zabrzęczał mi w głowie.

Połaskotał palce u stóp.

Został pomiędzy nami zamknięty niewidzialny obwód i ktoś podłączył do niego napięcie.

– Mi... miał – udaje mi się w końcu wydusić przez zęby.

– Dobrze. Nie podobałoby mi się, gdybym tylko ja to poczuł.

– To? – pytam oszołomiona.

Nathaniel głaszcze kciukami delikatną skórę nadgarstków, dzięki czemu przesywa mnie niezwykła rozkosz.

– Tak, to.

Parskam śmiechem. Jednocześnie czuję ulgę, zażenowanie, radość i... zawroty głowy.

– Co tu robisz?

W ciągu kolejnych trzech uderzeń serca zastanawiam się, czy przyszedł tu w sprawie mojego wniosku o kredyt. Ta wizyta może

mieć dla niego charakter służbowy. Jeśli tak...

Ktoś powinien mnie w tej chwili zastrzelić.

Będę musiała się przeprowadzić. Zmienić nazwisko. Przynajmniej odwiedzić inny bank, by wziąć kredyt, ponieważ już nigdy nie będę w stanie spojrzeć temu chłopakowi w oczy.

A to byłoby okropne! Po następnych jego słowach już wiem, że nie muszę się martwić.

– Przyszedłem do ciebie.

Do mnie.

Przyszedł do mnie.

Serce trzepocze mi w piersi przez kilka sekund, ale zaraz – co dziwne – uspokaja się i znów bije równo i stabilnie. Choć mogę nieco dramatyzować, jak zasugerowała Regan, przysięgam, że czuję nad sobą rękę Opatrzności. On przyszedł tu do mnie. Zupełnie jakby ktoś położył mi rękę na ramieniu.

I tak po prostu już wiem.

W głębi duszy.

W jednej chwili jestem zdenerwowaną kupką nieszczęścia, by w kolejnej czuć spokój i opanowanie jak w towarzystwie wieloletnich przyjaciół. Nagle wydaje mi się, jakbym go znała przez całe życie.

A może będę go znała przez jego resztę.

Jak za sprawą jakiegoś magicznego przełącznika z roztrzęsionej staję się pewną siebie, od wycofanej przechodzę do żartobliwej.

Uśmiecham się i patrzę na niego, lekko mrużąc oczy.

– Robisz to dla każdej klientki?

– Ani jednej.

– Musiałeś sprawdzać, jak mam na imię?

– Nie zapomniałem.

– Zgubiłeś się po drodze?

– Nie. Użyłem GPS-u.

– Cola czy Pepsi?

– Cola.

– Ulubiona pora dnia?

– Ta teraz.

Nie potrafię zapanować nad uśmiechem rozciągającym się na mojej twarzy ani motylami podrywającymi się do lotu w moim brzuchu po jego odpowiedziach.

– Lubisz Bon Jovi?

– Uwielbiam.

– Najlepsza piosenka?

– *You Give Love a Bad Name*, ponieważ w tej chwili czuję, że serce mi rośnie.

Śmieję się.

– Gdybym chciała zaprosić cię na kolację, musiałabym wypełnić kolejny wniosek o kredyt, by nie było między nami konfliktu interesów?

– Pomogę, jeśli się na to zdecydujesz.

– Jakie jedzenie lubisz najbardziej?

– Wszystko, co nie zawiera surowej ryby.

– Przyjdiesz po mnie o siódmej?

– Tylko jeśli nie będziesz miała nic przeciwko pocałunkowi na dobranoc na początku randki.

Promienieję.

– Nie chciałabym inaczej.

– Zatem zobaczymy się o siódmej.

Po tych słowach przystojny pracownik banku – Nathaniel – puszcza moje ręce, ale wątpię, czy wypuści z objąć moje serce. Czuję, że wziął je w posiadanie i może zostanie przy nim już na zawsze.

Mam przynajmniej taką nadzieję, ponieważ nigdy wcześniej tak żarliwie nie wyczekiwałam na siódmą.

## ROZDZIAŁ 26

### *SOMETHING FOR THE PAIN*

NATE

Siedzę na skraju łóżka, które od zawsze dzieliłem z żoną, słuchając jej mamrotania. Wydaje się, że odtwarza fragmenty rozmowy z dnia, gdy zaprosiłem ją na randkę.

Pomimo ogromnego ciężaru spoczywającego na mojej piersi uśmiecham się na to wspomnienie. Tamtego dnia wiele zaryzykowałem. Wiedziałem, że mogę zostać skreślony, jeśli Lena uzna moje zachowanie za nieodpowiednie i zgłosi w banku nagabywanie, byłem jednak młody i zarozumiały, uznałem, że gra warta jest ryzyka. Przynajmniej tak sobie wmawiałem, jadąc do szpitala, w którym pracowała.

I miałem rację.

Warto było.

Dziewiętnaście lat temu poznałem dziewczynę marzeń. Weszła do pierwszego banku, w jakim wtedy pracowałem, i powiedziała, że chce złożyć wniosek o kredyt hipoteczny. Obserwowałem, jak błyszczały jej oczy, gdy opowiadała o pracy pielęgniarki. Słuchałem ekscytacji w jej głosie, kiedy wyjaśniała, że woli kupić niewielki domek, niż wynajmować mieszkanie. Uśmiechałem się, widząc jej gestykulację. I z każdą mijającą minutą coraz bardziej pragnąłem zaprosić ją na kolację. Była piękna, bystra i miała w sobie coś takiego, co przyciągało mnie do niej jak pszczołę do miodu. Nie chodziło jedynie o jej urodę ani o bystry umysł, ale o coś zupełnie innego, coś, czego nie potrafiłem nawet nazwać.

Chociaż teraz już potrafię.

Była tą jedyną.

Tą.

Wiedziałem o tym od chwili, gdy ją poznałem. Podpowiadała mi to intuicja. To, że chciałem się uśmiechać, kiedy ona się uśmiechała. To, że chciałem wszystkiego się o niej dowiedzieć. To, że znów potrzebowiałem się z nią spotkać. Musiałem.

Było to inne.

Dobre.

Ona była dobra. Bardzo dobra.

Bez względu na to, jak ludzie mogliby to nazwać – natychmiastowym zauroczeniem, miłością od pierwszego wejrzenia, zrządzeniem losu, przeznaczeniem – wierzę, że tak właśnie było. Wiedziałem, że od razu się uzależniłem. Perfekcyjnie do siebie pasowaliśmy. Od pierwszego spotkania było nam razem idealnie.

A teraz po wszystkich tych latach, gdy siedzę przy umierającej żonie, modląc się, by odzyskała przytomność, choć zdaję sobie sprawę, że tak się nie stanie, wiem, że nigdy nie znajdę drugiej takiej jak ona. Nie chcę nawet próbować. Wolę pozostać sam do końca swoich dni i żyć jej wspomnieniem, niż próbować ją zastąpić. Po prostu nie potrafię tego zrobić.

Biorę żonę za zimną rękę, głaszczę jej blade palce i ściskam, gdy się szarpie. Szepczę:

– Przypominasz nas sobie, kochanie?

Pielęgniarka z hospicjum powiedziała, że jako ostatni wyłącza się słuch, więc postanowiłem często mówić do nieodpowiadającej żony. Od trzech dni nie odchodzę od jej łóżka. Kiedy Grace nie śpi, karmię ją i mówię do niej przy Lenie. Czasami kładę się nawet z małą przy jej boku i zabawiam ją, póki Grace nie zaśnie.

Wszystko robię przy żonie, w miarę możliwości zapewniając jej również towarzystwo córki. Nie mogę znieść myśli o umieraniu w samotności. Chcę, by Lena czuła obecność dwojga osób, które najbardziej ją kochają. Jeśli w ogóle nadal coś czuje.

Brak członków mojej rodziny sprawia, że żałuję, iż sprawy nie potoczyły się inaczej przed śmiercią moich rodziców i że nie mam rodzeństwa. Z chęcią skorzystałbym nie tylko z ich emocjonalnego



wsparcia, lecz także z fizycznej pomocy. Ponieważ moje życie utknęło w tej chwili z Leną w naszej sypialni, trudno mi zajmować się czymkolwiek innym. Codziennie pomaga mi Nissa, ale jeszcze większym wsparciem jest dla mnie matka Leny, Patricia. Nie wiem, jakbym sobie bez niej poradził. Zaoferowała, że z nami zostanie. Aż do śmierci córki.

Pozwoliłem na to.

Lena by tego chciała.

W noc, gdy łapaliśmy świetliki, żona po raz ostatni miała otwarte oczy. Musiały być to jej „złote dni”.

Wyznaliśmy sobie miłość, po czym Lena i Grace zasnęły w blasku światła robaczek świętojańskich ze słoja. Albo świetlików – jak nazywała je moja piękna żona.

Wiedziałem, co się zbliża, choć nadal nie byłem na to przygotowany. Po jakiejś godzinie próbowałem obudzić żonę, by wyszła do matki się pożegnać, ale nie wróciła jej świadomość. Nie zdenerwowało mnie to, ponieważ ostatnio zapadała w bardzo głęboki sen, jej stan wyraźnie się pogorszył. Właśnie dlatego, gdy się nie obudziła, nie zwróciłem na to większej uwagi.

To pani Holmes jako pierwsza zorientowała się, o co chodzi. Wiedziała, gdy poszła pocałować swoje ostatnie dziecko na dobranoc.

Przyglądałem się, jak się pochyla, przywiera ustami do czoła Leny, następnie do jej skroni i w końcu policzka. Kiedy się wyprostowała, łzy napłynęły jej do oczu. Obwieściła:

– Odeszła, Nate. Lena... odeszła.

Chciałem się spierać, powiedzieć teściowej, że się myli. Że jest w błędzie! Że Lena tak mocno ostatnio sypia.

Ale tego nie zrobiłem.

Nie chciałem jej denerwować. Wiedziałem, że Lena by sobie tego nie życzyła. Trzymałem więc język za zębami i czekałem. Wiedziałem, że odpowiedzieć może już tylko czas.

I odpowiedział.

Dzień później przyjechali ludzie z hospicjum. Dopiero wtedy

odeszły wszelakie wątpliwości i wiedziałem, że matka Leny ma rację. To koniec. Moja żona już nie wróci.

Uroczą pielęgniarka Donna wyjaśniła, że Lena zadzwoniła do hospicjum przed... „Cóż, przed” – powiedziała z uprzejmym, choć smutnym uśmiechem. Nic więcej nie musiała dodawać.

Donna przekazała mi, a także wszystkim zainteresowanym, wiele cennych informacji medycznych. Opowiedziała o tym, co mogliśmy zrobić, by poprawić komfort Leny, na przykład o założeniu cewnika i podawaniu tlenu. Choć mogłoby się wydawać, że wszystko, co robię dla kogoś, kto nie odpowiada, jest bezcelowe, Donna wyjaśniła, że w organizmie żony zachodzą właśnie przeróżne fizjologiczne procesy i że muszę do niej mówić.

– Chcemy, by było jej dobrze. W ten sposób będzie gotowa odejść. W tej chwili odpoczywa. Ma spokój.

Po tej rozmowie musiałem wyjść z sypialni. Nagle wszystko stało się dla mnie zbyt prawdziwe.

Czas dobiegł końca.

Moja żona, moja bratnia dusza, osoba, którą kochałem ponad wszystkie inne na świecie, umierała. Jej ciało trzymało się jedynie na włosku, wciąż się nie poddając. Lena nie chciała odejść. I ta decyzja wkrótce miała zostać jej odebrana.

Jedenaście dni po urodzeniu córki, Helena Holmes Grant – matka, żona, siostra, córka, przyjaciółka i pielęgniarka – zmarła.

Skończył się jej ból, walka dobiegła końca. W tej chwili to ja potrzebuję środków przeciwbólowych. Wiem jednak, że póki mrugam i oddycham, nic nie zadziała, żadne lekarstwo nie uśmierzy cierpienia.

Nie ma nic, czym mógłbym zahamować ból.

I nie będzie do końca moich dni.

## ROZDZIAŁ 27

### ALWAYS

NATE

Ostatnie dni zarazem wlokły się i pędziły, sytuacja tak szybko się zmieniała, że nie miałem nad nią kontroli, choć niektóre chwile ciągnęły się tak wolno, że myślałem, że nigdy się nie skończą. Szybko nauczyłem się, że najtrudniejsze były te ślimaczące się w koszmarnym tempie. W chwili, w której Lena przestała oddychać, jej ciało znieruchomiało, a mnie wydawało się, że upłynęła cała godzina. Siedziałem, wpatrując się w nią, czekając, aż ponownie odetchnie, aż otworzy oczy.

Nie zrobiła tego.

Siedziałem, zastanawiając się, co mam począć, jak ruszyć z miejsca, jak sobie poradzić. Jak żyć bez połowy samego siebie.

Przez długą chwilę trzymałem ją za rękę. Przypatrywałem się jej twarzy, zapamiętywałem każdą jej linię. Katalogowałem w pamięci najmniejsze szczegóły jej spokojnego oblicza i gładkiej skóry. Szlochałem cicho ze smutku, ale również z wdzięczności, ciesząc się, że mogła odejść tak, jak tego chciała – po swojemu. W blasku chwały – chwały zwanej Grace.

W tej dziwnej chwili, gdy byłem w stanie wyrzec ponad swój smutek, zobaczyłem odwagę i wspaniałość tego, czego dokonała moja żona. Zapłaciła ostateczną cenę. Cierpiała i płakała. Oddała życie za kogoś innego.

Była niesamowita za życia i tak samo niesamowita pozostanie po śmierci.

Głaskałem ją po włosach, pieściłem czule policzki, całowałem usta i szeptałem do ucha, które już dłużej nie mogło mnie słyszeć:

– Sprawiaś, że śmierć jest piękna, kochanie. Zupełnie jak ty.

Kiedy Patricia znalazła mnie siedzącego nad martwą żoną, zadzwoniła do hospicjum i w ciągu godziny dom zaroił się od ludzi. Pracownicy zachowywali się cicho i z szacunkiem, pracując niczym tryby dobrze naoliwionej maszyny. Nie potrafiłem sobie wyobrazić, jak często musieli to robić, by dojść do tak wielkiej wprawy, ale w tej chwili zupełnie mnie to nie obchodziło. Zależało mi jedynie na tym momencie i tym ciele.

Ciele Leny.

Mojej żony.

Przyglądałem się przeszklonymi oczami i cierpiącym sercem, jak delikatnie ją myto i wyjmowano cewnik. Wybrałem rzeczy, w które ubrano Lenę, by przetransportować ją do domu pogrzebowego. Kiedy podniesiono jej nieruchome ciało, pochyliłem się, by po raz ostatni ją pocałować.

– Kocham cię. Zawsze.

Poproszono, bym opuścił pokój, gdy wywożono żonę z domu, w którym razem mieszkaliśmy. Podporządkowałem się. Nie widziałem, jak zabierają ode mnie Lenę.

Z mojego domu, z mojego życia.

Na zawsze.

\*\*\*

Jestem wdzięczny za pomoc Nissy i Patricii, kiedy przyszło załatwiać sprawy związane z pogrzebem, choć jeszcze bardziej za niewielkie zawiniątko spoczywające na moich rękach. Tulenie Grace odczuwam tak, jak tulenie cząstki Leny. Nie zdawałem sobie sprawy, jak wielki dar ofiarowała mi żona, gdy postanowiła wymienić swoje życie na życie córki.

Ale ona wiedziała.

Lena doskonale zdawała sobie z tego sprawę.

Wiedziała, że pozostawi mi po sobie radość, powód do życia i cel.

Właśnie dlatego to zrobiła.

Zatem z Grace, która ssie smoczek, przystępujemy do ostatnich przygotowań. Wybieramy piękną trumnę z białego dębu z jedwabnym wnętrzem. Nie jestem jednak w stanie nawet na nią

spojrzeć w obawie, że się załamie, wyobrażając sobie spoczywającą w niej martwą żonę. Przeżywam ten poranek w stanie otępienia.

Rozmawiam z pracownikiem domu pogrzebowego, wybierając kwiaty i pieśni, które najlepiej uhonorują pamięć Leny, przy czym raz po raz tracę części duszy. Często patrzę na córkę, starając się o niej myśleć. Tylko ona wiąże mnie teraz ze światem, nie pozwalając popaść w mroczne zapomnienie, które tylko czai się na skraju mojej świadomości.

Gdyby nie dziecko, nie mam wątpliwości, że bym się poddał. Sprzedał wszystko i przeniósł się do samotnej chaty w górach, gdzie do końca swoich dni opłakiwałbym jedynie stratę Leny.

Ale nie mogę tego zrobić.

Mam teraz małe, bezbronne życie, którym muszę się zaopiekować. Lena to przewidziała. Dała mi cel. Wiedziała.

Po prostu wiedziała.

\*\*\*

Dzień i noc zlewają się w jedną rozmytą masę bezsenności i zniechęcenia. Jediną osobą, którą chcę widzieć, jest Grace. Innych po prostu toleruję, gdy muszę, i odchodzę od nich jak najdalej, kiedy tylko mogę.

Gdyby godziny następujące po śmierci Leny były nocnym niebem, wydarzenia w nich zachodzące byłyby niczym pojedyncze rozbłyski w ciemności.

Wybór trumny.

*Błysk.*

Kuchnia pełna jedzenia, choć nie zarejestrowałem ani jednej odwiedzającej mnie osoby.

*Błysk.*

Ubieranie córeczki w śliczną żółtą sukienkę.

*Błysk.*

Niesienie Grace do domu pogrzebowego.

*Błysk.*

Widok żony spoczywającej na miękkim, jedwabnym materiale w trumnie.

*Błysk.*

*Pieśń Amazing Grace* śpiewana przez nieznajomą.

*Błysk.*

Słowa księdza nad pustym grobem.

*Błysk.*

Kopczyk świeżej ziemi widziany przez szybę limuzyny, gdy odjeżdżamy z cmentarza.

*Błysk.*

Uczucie wyizolowania po powrocie do pustego domu.

*Błysk.*

Brak Leny.

*Błysk.*

Brak Leny już na zawsze.

*Błysk.*

W tej chwili, gdy przebieram córkę i siebie, wracają do mnie wspomnienia pogrzebu, słowa wypowiedziane przez przybyłych żałobników, twarze, z którymi tak naprawdę nic mnie nie łączy. Jedynie mgliste wspomnienia ich marnej pociechy.

*Wygląda pięknie, Nate.*

*Dobrze się spisałeś, Nate.*

*Wszystko jest tak, jakby tego chciała, Nate.*

*Kwiaty są cudowne, Nate.*

*Będzie nam jej brakowało, Nate.*

*Przykro mi, Nate.*

*Moje kondolencje, Nate.*

Puste słowa odbijają się echem w mojej głowie, znikając w oddali niczym grzmot po burzy. Jedyłą myślą, która pozostaje i rozpycha się w moim umyśle, jest pytanie: co dalej?

*Co dalej?*

*Co dalej?*

Ostatnim, co pamiętam z dnia pogrzebu Leny, jest to, że leżałem na łóżku, córeczka spała obok, a ja słuchałem piosenki Bon Jovi *Always*.

\*\*\*

Dni się ciągną, a każdy z nich jest do siebie podobny. Wiem, że ledwie się trzymam, jestem workiem skóry i kości.

Jestem jednak wystarczająco świadomy, by wiedzieć, że nie idzie mi najlepiej. Z zewnątrz prawdopodobnie wyglądam jak każdy inny facet próbujący samotnie opiekować się córką, ale wewnątrz... jestem praktycznie martwy. Jedynym, co trzyma mnie przy życiu, to Grace.

Córka.

Dar od żony.

Nie potrafię zmienić niczego w domu. Kilka osób, którym udało się mnie złapać i zamienić kilka słów, dało mi parę dobrych rad. Większość z nich była do dupy.

*Posprzątaj jej rzeczy jak najwcześniej. To ci pomoże.*

*Pozostaw sobie tyle pamiątek, by ci o niej przypominały, ale nie tyle, byś zatonął we wspomnieniach.*

*Mów do niej, będzie ci łatwiej.*

*Zacznij od opróżnienia szafy z jej rzeczy.*

Wpuściłem to jednym uchem, wypuściłem drugim. Wiem, że wszyscy chcieli pomóc, widząc, że nie mogę się pozbierać. Większość z nich miała na celu podnieść załamaną osobę na duchu.

Chociaż właśnie o to chodzi.

Nie chcę się podnosić.

Nigdy.

Nie jestem masochistą, nie mam złudzeń, jestem po prostu szczery. Ze sobą, z każdym innym, kto zadałby sobie wystarczająco trudu, żeby zapytać. Straciłem drugą połówkę, znaczący kawałek duszy. Moje dalsze życie będzie polegać na wychowywaniu córki najlepiej, jak tylko zdołam, towarzyszeniu jej na życiowej drodze i w pogoni za własnym szczęściem. Aż w końcu będę musiał dać jej odejść. Dorosnąć i odnaleźć własną drogę. To moja wersja poradzenia sobie z rzeczywistością. Tego właśnie pragnę – postąpić właściwie z córką, by spełnić życzenie żony.

Zamierzam maksymalnie uwzględnić Lenę w tym zadaniu. Tylko w ten sposób zdołam ją zatrzymać. A mocno chcę to

w jakimś stopniu zrobić.

Odpuszczenie jej sobie...

Pożegnanie się z nią...

Na zawsze...

...jest niemożliwe. Nawet o tym nie myślę. Mam gdzieś, jakie to, według „ekspertów”, niezdrowe. Po prostu nie mogę. Nie... i już. Nie jestem wystarczająco silny.

\*\*\*

Dni zmieniają się w tygodnie.

Tygodnie w miesiące.

Jedyne, co robię, to opieka nad córką i praca przez kilka godzin w domu. Jestem wdzięczny, że bank mi na to pozwala.

Na początku swojej kariery dokonałem oceny moich finansów i stworzyłem plan oszczędnościowy. Na szczęście bank, z którego odszedłem, gdy zachorowała Lena, był na tyle uprzejmy, że podesłał mi kilku klientów potrzebujących pomocy w zarządzaniu majątkiem. Nie chodzi jedynie o wyliczenie podatku. Mogę pracować dla nich w domu. To idealne rozwiązanie. Przynajmniej póki bank nie zatrudni na moje miejsce kogoś na pełen etat. Nie zawarto tego w umowie, ale rozumiem, że tak będzie.

I pasuje mi to. Mam zajęcie podczas drzemek Grace, dodatkowo zarabiam co nieco, co uzupełnia kwotę z inwestycji, z jakich żyjemy, i pozwala mi nie wypaść z branży. Wiem jednak, że nie zdołam ukrywać się w nieskończoność. W końcu będę musiał powrócić do życia. Chociaż wcale mi się do niego nie spieszy.

Właśnie dzięki tej umowie, w czwartkowy poranek dziewięć miesięcy i cztery dni po śmierci Leny, jestem w stanie przyglądać się, jak córka stawia swoje pierwsze kroki.

Pracuję na laptopie w salonie, cicho stukając w klawiaturę, gdy Grace śpi na kocu nieopodal. Otacza ją góra zabawek. Muszę się wyprostować, by ją zza nich zobaczyć. Moją uwagę przyciąga pisk pluszowego misia, więc patrzę akurat, gdy mała wyślizguje się z prowizorycznego posłania.

Uśmiecham się do niej, odstawiam komputer i kucam, by podejść



do dziecka na kolanach. Córka zatrzymuje się przy ławie, gdzie podciąga się w górę, co ćwiczy już od kilku miesięcy. Ku mojemu zdziwieniu i zadowoleniu Grace puszcza blat i stawia kilka chwiejnych kroczków w moją stronę.

Jej mina podpowiada mi, że jest tym równie zaskoczona jak ja, ale udaje się jej postawić jeszcze trzy niepewne kroki, nim opada na pieluchę, jakby skończyła się jej energia.

– Gracie! Udało ci się! Chodzisz! – krzyczę podekscytowany.

Pospiesznie porywam telefon z blatu, zanim podnoszę córkę i stawiam ją z powrotem przy stoliku. Jej pozycja jest wygodna, więc Grace stoi i uśmiecha się, przygryzając palce, bo nadal ząbkuje.

Upewniając się, że nie upadnie, wycofuję się i siadam na podłodze, unosząc komórkę, nim włączam nagrywanie.

– Chodź do taty, Grace. No chodź, kochanie. Potrafisz.

Mała przygląda mi się, wciąż przytrzymując się jedną rączką ławy, małe pulchne paluszki zaciskają się z wysiłku. Początkowo córka całkowicie ignoruje moją prośbę. Sięga po gazetę leżącą na blacie i próbuje ją ściągnąć, nagle bardzo nią zainteresowana.

Kiedy uświadamia sobie, że nie sięgnie, swoją uwagę ponownie kieruje w stronę czerwonego klocka w kształcie litery „A”, leżącego pośród zabawek. Wpatruje się w niego, więc podejrzewam, że zastanawia się, czy warto podejść do klocka.

W końcu postanawia, że jednak nie i bardziej ochoczo patrzy na mnie.

– Chodź, Grace. Chodź do taty.

Wyłączam nagrywanie i restartuję je przynajmniej sześciokrotnie. Już mam się poddać, gdy Grace w końcu postanawia, że nadszedł czas. W następnej chwili, ot tak po prostu, puszcza się stolika i podchodzi do mnie.

Nie na kolanach, a normalnie, na stopach.

Nagrywam wszystko komórką i po raz pierwszy od dziewięciu miesięcy się śmieję. Odczuwam prawdziwą przyjemność. Wielbię córkę bardziej niż cokolwiek na tym świecie, a zwłaszcza teraz,

gdy Leny już nie ma, ale smutek we mnie jest tak wielki, że zagłusza radość z drobiazgów. Mocno troszczę się o córkę, kocham ją ponad życie, ale wewnątrz jestem załamany i żadna inna miłość nie będzie w stanie tego naprawić. Pierwsze kroki córki są dla mnie punktem zwrotnym.

To moje pierwsze kroki, ku ozdrowieniu.

Pierwsze z wielu.

Od tego dnia mój związek z Grace jest zupełnie inny. Mała chodzi i zaczyna mówić, dając mi tym samym prawdziwą radość.

Robi to bez wysiłku, zupełnie jak jej matka.

Nawet nie wiem, kiedy nadeszła wiosna.

\*\*\*

Nowa pora roku przynosi odnowę, co dla mnie oznacza nowy ból. Ciepła aura, rozkwitające kwiaty, zieleniące się drzewa – wszystko to uwalnia zmory przeszłości i nawiedzają mnie obrazy zmarłej żony.

Coraz częściej przeglądam nagrania, zamykając się w sobie, z każdym dniem coraz bardziej odsuwając się od świata. Wiem, że nie jest to dobre, ale nie potrafię przestać.

Po prostu nie umiem odpuścić.

Większość wieczorów spędzam na podłodze sypialni, oglądając piękną twarz Leny, słuchając jej ciepłego głosu. Wspominając nasze cudowne życie. Z każdą kolejną nocą spędzoną w ten sposób coraz bardziej zbliżam się do rocznicy śmierci żony i popadam w głębszą depresję. Oczywiście, że Grace sprawia mi radość, ale nawet moja pogodna, piękna, inteligentna córka nie potrafi rozmrozić tego, co we mnie zamarznięte. Moja Lena nawet po śmierci jest zdeterminowana, by mnie ocalić.

Jest niedziela pod koniec maja, gdy czuję ją po raz pierwszy.

Poszliśmy rano z Grace do kościoła – weszło mi to w kojący nawyk – gdzie myślałem jeszcze więcej o Lenie. To kolejna sprawa, w której tak bardzo mi jej brakuje. Nie mam wątpliwości, że gdyby była w stanie doświadczyć cudu, dostać coś namacalnego, łączącego ją z Bogiem, nie walczyłaby z Nim, jak robiła to wcześniej.

W końcu moja żona odnalazła jednak spokój. Choć zapłaciła za to wysoką cenę.

Postanowiliśmy spędzić z Grace resztę popołudnia w parku, następnie zjeść obiad na mieście. Nissa i Mark zaprosili nas do siebie, ale grzecznie odmówiłem. Nie mam ochoty się socjalizować. Właściwie – nigdy jej nie mam. Już nie.

Jak zwykle poświęciłem się zatem córce, zanurzyłem się w jej świecie. To mój sposób na ucieczkę – w miłość, z dala od wspomnień.

Wieczorem Grace szwenda się po domu, chcąc zajrzeć do spiżarni, jak podejrzewam, w poszukiwaniu poobiedniego deseru. Ale nie o to chodzi.

– Czego chcesz, córeczko? – pytam, gdy mała beztrąsko rozgląda się po półkach. Sapie tym swoim uroczym głosem, który tak uwielbiam, ale staram się nie śmiać, bo wiem, że nie powinienem jej zniechęcać. – No czego?

Cierpliwie pozwalam córce poruszać się po niewielkim pomieszczeniu. Nagle, jakby przypomniała sobie, po co tu przyszła, Grace się odwraca. Przyglądam się szeroko otwartymi z ciekawości oczami, jak podchodzi do tylnej części spiżarni, przyciska się do ściany i wskazuje w górę.

Unoszę głowę i wiodę wzrokiem w miejsce, gdzie wskazuje moje dziecko.

– Dać – mówi, przechylając główkę, by na mnie spojrzeć i upewnić się, czy zwracam na nią uwagę.

Sięgam powoli na niemal pustą półkę. Zamykam zdrtwiałe palce na jedynej rzeczy, która może interesować córkę.

Na starym pustym słoju.

Z dziurkami w pokrywce.

Czuję w piersi tak ostry ból, że muszę się wesprzeć o regał, walcząc, by wtłoczyć powietrze do płuc.

Ostatnim razem, gdy widziałem ten słoik, stał pełen świetlików na szafce nocnej. Żona tuliła się do mnie, recytując naszemu dziecku starą kołysankę. Nie pamiętam, czy wypuściłem owady, choć

musiałem to jednak zrobić. A może to Patricia lub Nissa umyły naczynie i odłożyły je do spiżarni, ponieważ nie pamiętam, bym je tam dawał. Ani później gdzieś je widział.

A mimo to stoi na półce.

W końcu wypuszczam wstrzymywane w płucach powietrze i spoglądam na córeczkę stojącą u moich stóp. Co ją tu przywiodło? Skąd niby mogła wiedzieć, że ten słoje tu jest?

Sztywnymi palcami zabieram go z regału. Wpatruję się w puste wnętrze. W błyszczącej powierzchni zauważam odbicie własnej twarzy, ale – co więcej – widzę, że słoje wcale nie jest pusty. W otoczeniu zaokrąglonych ścian spoczywają moje najcenniejsze wspomnienia. W środku znajduje się miłość, rodzina i piękna spuścizna, którą według życzenia żony powinienem podzielić się z córką. Ta chwila, gdy dziecko przyprowadziło mnie tutaj, zostanie do nich dodana, jak również śmiech, piski i ziewanie, jakiego od tej pory słoje będzie świadkiem.

I nigdy nie będzie zbyt pełny. Nigdy nie braknie w nim miejsca.

Nigdy nie będzie też pusty.

Łzy kłują mnie w oczy, gdy klękam przed Grace ze słojem.

– Tego chcesz?

Jasnobrązowe oczy – tak podobne do oczu matki – rozpromieniają się, gdy mała sięga po naczynie. Podaję jej je, przytrzymując jednocześnie stabilnie ciało córki. Kiedy przygląda się pojemnikowi, opieram policzek na jej głowie i zaciągam się jej zapachem. Wdycham tę dziecięcą woń, która mnie koi, dzięki czemu wyraźnie mogę przywołać obraz Leny śmiejącej się i trzymającej Grace przy piersi, gdy razem z Patriciaą biegam za świetlikami po ogrodzie, wkładając owady do słoja.

Pamiętam, jakby to było wczoraj.

Tak wiele razy oglądałem to nagranie. Znam na pamięć każde słowo, każdy krok, każdy wyraz twarzy.

Biorę Grace i jedną ręką podtrzymuję słoje, gdy wynoszę go wraz z dzieckiem ze spiżarni. Od razu kieruję się na patio. Choć nie widziałem w tym roku jeszcze ani jednego świetlika, przecucie

podpowiada mi, że dziś znajdę je w ogrodzie.

Odsuwam zasłonę, otwieram drzwi i stoję naprzeciw podwórka pełnego owadów z jaśniejącymi odwłokami, od których wieczorne powietrze aż się roi.

Grace piszczy podekscytowana, to dźwięk czystej rozkoszy. Przystaję. Zamieram, chłonąc widok.

Świetlików są setki. Może tysiące. Nie sędzę, bym kiedykolwiek widział ich aż tyle w jednym miejscu. Ale przyleciały do nas, do naszego ogrodu w tę wiosenną noc, a wiem, że nie może być to za sprawą przypadku.

Kiedy tak stoję, pojedynczy świecący owad z gracją dociera na patio i natychmiast przykuwa moją uwagę. Obserwuję, jakby niemal celowo leciał w moją stronę, chwilę później oświetlając grzbiet mojej dłoni.

Łzy płyną mi strumieniami, gdy przyglądam się delikatnemu światłu robaczka, który siada nieruchomo na mojej skórze. Wydaje mi się, że w ten tajemniczy wieczór łączy mnie z nim jakaś dziwna więź.

Naprawdę.

To enigmatyczna, uzdrawiająca, inspirująca chwila.

Drżącym głosem, zagłuszonym jedynie przez dźwięczny śmiech córki, szepczę do niewielkiego owada:

– Cześć, kochanie. Tak bardzo tęskniłem.

## ROZDZIAŁ 28

### *PICTURES OF YOU*

NATE

*Dwadzieścia trzy lata później...*

Przyklejam ostatni kawałek taśmy do dwunastego kartonowego pudła i odstawiam je na bok. Serce wciąż ściska mi się na myśl o wyprawdzie i ślubie córki.

Dorosłości.

Zdaję sobie sprawę, że obawiałem się tego od bardzo dawna.

Ale czas pozwolić jej odejść.

Od śmierci mojej pięknej Leny Grace stała się centrum mojego świata. Przez ostatnie dwadzieścia trzy lata każda chwila mojego życia wiąże się z córką.

Raczkowanie, chodzenie, czytanie, pisanie, pierwsze słowa, pierwszy ząb, pierwszy dzień w szkole, pierwsza impreza piżamowa, pierwszy chłopak, pierwszy raz złamane serce – to dosłownie tysiące jasnych momentów, które po śmierci żony rozpromieniają moją egzystencję niczym gwiazdy na niebie, a jądrem każdego z nich jest Grace.

Jej życie, jej miłość, jej śmiech, troska o nią i pomoc były jedynym celem mojego życia. Wszystko inne zeszło na dalszy plan. Może nawet bardzo odległy.

Początkowo nie sądziłem, bym mógł pozbierać się po śmierci żony. Było mi ciężko i zajęło to trochę czasu, ale wieczór ze świetlikami... cóż, dopiero wtedy moja droga się wyprostowała. Jestem pewien, że Lena przewidziała i to.

Po tamtej nocy zacząłem się podnosić. Powoli. Cholernie powoli, ale w końcu zaczęło mi się udawać. Pamiętam, że Lena powiedziała mi kiedyś, że jeśli odsunie się od siebie wspomnienie na

wystarczająco długo, to ono zblednie. Właśnie w ten sposób chroniła się po porzuceniu przez matkę po śmierci ojca. Próbowwała odsunąć od siebie wspomnienia, pragnąc, by wyblakły i przestały tak bardzo boleć.

Może dlatego tak mocno starałem się nie puścić wspomnień o niej, trzymać je jak najbliżej, by były zawsze świeże. Nie chciałem, by bledły. Prawda jest jednak taka, że bez względu na to, czy odsuniemy je od siebie czy będziemy się ich trzymać – i tak zblakną.

Choć wciąż pamiętam wiele rzeczy dotyczących żony czy naszego małżeństwa, jakby było to wczoraj, część bólu się ulotniła.

W końcu.

Przez lata mogłem łatwiej oddychać, śmiać się i żyć. Nie pozbierałem się jednak całkowicie. Lena była miłością mojego życia. Moją jedną jedyną. Po niej moim życiem i całym światem stała się Grace, lecz teraz, gdy mam sześćdziesiąt pięć lat, nie jestem pewien, czym wypełnić resztę pozostałych mi dni, skoro jej przy mnie nie będzie...

Dyszę, bo nagle brakuje mi tchu. Czasami na samą myśl o puszczeniu córki...

O stracie ostatniej pozostałej mi miłości...

Kłuje mnie za mostkiem, ból przeszywa serce. Zaciskam mocno powieki, zagryzam zęby i zmuszam się do głębokiego wdechu, masując jednocześnie bolącą pierś. Chciałbym, by cierpienie odpuściło.

Każdy inny mężczyzna w moim wieku bałby się, że to zawał serca, ale nie ja. Od śmierci Leny ciągle mam takie bóle. Cierpię fizycznie, myśląc o niej, jednak w perwersyjny sposób lubię ten ból, ponieważ nieustannie zabiera mnie do miejsca, w którym czułem jej bliskość, zaraz przed tym, jak zmarła. To jak odtwarzanie w kółko, choć w mniejszej skali, jej śmierci. Poddając się temu, czuję, jakbym nie widział Leny zaledwie przez kilka dni.

A samo to warte jest cierpienia.

Sprawia również, że nie mogę doczekać się dnia, gdy ponownie ją

zobaczę. Jeśli skoncentruję się naprawdę mocno, niemal potrafię ją sobie wyobrazić.

Zatem to robię.

Obraz Leny staje mi przed oczami, jej twarz jest tak wyraźna, jak wtedy, gdy żyła, co sprawia, że mój ból znika. Czuję, jakby sam Bóg obiecał mi, że pewnego dnia moje cierpienie dobiegnie końca. Pewnego dnia naprawdę zobaczę żonę.

Mam nadzieję, że do tego czasu Grace da mi wnuki, choć wiem, że potrwa to jeszcze chwilę. Nie jestem na tyle samolubny, by modlić się o to od razu. Chcę, by córka ułożyła sobie życie, zakosztowała małżeństwa, zanim przyjmie na siebie tak wielką odpowiedzialność.

Uśmiecham się na myśl o mojej słodkiej, inteligentnej, zabawnej córce w ciąży. Będzie wtedy wyglądała zupełnie jak jej matka.

A to pięknie!

Kiedy ból w piersi ustępuje, podejmuję porzucone zadanie i ustawiam pudła pod drzwiami, obracając się, by ponownie spojrzeć na pokój, który Grace zajmowała przez całe swoje życie – poza czasem studiów.

Te lata były dla mnie cholernie trudne!

Od dnia jej narodzin nie rozstawaliśmy się na dłużej niż kilka godzin. Nawet jeśli jako nastolatka szła na noc do koleżanki, zawsze chciała, bym wcześniej ją odebrał. Bardzo wcześnie rano, niemal o wschodzie słońca. Zawsze spełniałem tę prośbę. Zabierałem ją na śniadanie, podczas którego zdradzała mi ploteczki zasłyszane wieczorem.

Byłem szczęśliwy, mając tak dobrą relację z córką. Nie potrafię sobie nawet wyobrazić, jak byłoby mi ciężko, gdyby było inaczej. Bez Leny... byłoby to katastrofą.

Ale byliśmy zżyci. Nadal jesteśmy. Nawet kiedy rozwinęła skrzydła i stała się kobietą, wciąż pozostajemy blisko.

Czuję dumę. Gdy była mała, siadałem w jej pokoju na bujanym fotelu, słuchając jej równego oddechu. Próbowałem wyobrazić ją sobie jako nastolatkę, jako młodą kobietę.



Zastanawiałem się, jakiego mężczyznę poślubi, gdzie zamieszka, co zrobi ze swoim życiem. Ale powinienem był wiedzieć, że jako córka swojej matki zechce poświęcić się pomaganiu innym. Jest równie troskliwa i opiekuńcza jak Lena, dorastała w domu pełnym opowieści o matce. Podejrzewam, że jej przeznaczeniem było zostanie pielęgniarką. Dostała nawet etat na onkologii, gdzie praca bardzo jej się spodobała.

Zupełnie jak jej matce.

Jeśli dobrze pamiętam, powiedziała:

– Pasuje to do mnie, tato.

Uśmiecham się.

Moja Grace...

Moje zbawienie, jak ją nazywam.

Tym właśnie jest. Nadal. Po wszystkich tych latach. Nie potrafię wyobrazić sobie, jakie byłoby moje życie po śmierci żony, gdybym nie miał córki. Cieszę się, że nie muszę go przeżywać. I mogę podziękować za to tylko jednej osobie.

Lenie. Mojej pięknej, cudownej żonie.

– Tato? – Zaskakuje mnie głos Grace.

– Tutaj – wołam.

Przez chwilę czuję ucisk w gardle. Dorosła córka nawet głos ma podobny do matki.

Chwilę później Grace pojawia się w drzwiach. Uśmiecha się szeroko i promiennie. Serce mi rośnie z miłości i dumy.

– Co robisz?

– Pakuję resztę twoich rzeczy.

– Tato! – karci mnie dobrodusznie. – Mówiłam ci, że zrobimy to z Robbiem wieczorem.

Otrzepuję z kurzu drżące dłonie i wzruszam sztywnymi ramionami.

– To nic takiego, skarbie. Chciałem pomóc, byście mogli się zrelaksować. To wasza ostatnia noc, zanim zacznie się przedślubne szaleństwo.

– Ludzie codziennie się pobierają, tato.

– Prawda, ale ilu z nich robi to w Rzymie?

– Zapewne wielu Włochów.

Mimowolnie się uśmiecham.

– Mądrala.

Figlarnie pokazuje mi język, przy czym przez jakieś pół minuty rozważam, czy jej nie porwać i nie uciec, by zatrzymać ją dla siebie na zawsze. Jednak wiem, że to niemożliwe.

To już przeszłość.

Muszę dać jej odejść. Jest to taką samą częścią życia, jaką jest śmierć, a z nią zostałem przecież zaznajomiony.

Grace przygląda mi się z troską.

– Na pewno nie będzie to... dla ciebie zbyt wiele?

– Na pewno. Za nic w świecie bym tego nie przegapił. A fotele są niesłychanie wygodne.

– Nie chodzi mi o sam lot. Miałam na myśli całą wyprawę. Rzym... Wszystkie te wspomnienia.

Podchodzę do córki i kładę ręce na jej ramionach.

– Gracie – zaczynam, używając zdrobniałego imienia – nie mógłbym prosić o więcej. Twoja mama... – Gardło mi się ścisza, jakbym miał w nim balon. Muszę odchrząknąć, by kontynuować, ale nawet po tym w moim głosie słychać emocje. – Twoja mama byłaby zachwycona. Nie potrafię też wymyślić lepszego miasta na ślub niż to, w którym spędziłem z nią tak wiele wspaniałych chwil. Nie mogę się doczekać. Przyrzekam.

Uśmiech powraca na twarz córki.

– Okej. Skoro jesteś pewien.

– Jestem.

Grace staje na palcach i całuje mnie w policzek. Mam ochotę ją objąć, zamknąć w ramionach i nigdy nie wypuścić. Jednak nie mogę tego zrobić. Nie mogę pozwolić, by zobaczyła przebłysk moich prawdziwych uczuć. Nie chcę, by wiedziała, jakie to dla mnie trudne. Mimo wszystko dam radę. Dla niej. Dla córki. Podobnie jak żona, zrobiłbym wszystko dla Grace.

– Gdzie moja kobietka? – Rozbrzmiewa kobiecy głos gdzieś

w kuchni.

– Tutaj! – woła Grace. Chwilę później na korytarzu pojawia się Nissa. Podchodzi do Grace, obejmuje ją i wyciska solidnego buziaka na jej policzku.

– Spakowana? – pyta.

– Tata właśnie skończył, choć wyraźnie zakazałam mu dotykać tych rzeczy.

Zarówno Nissa, jak i Grace patrzą na mnie, choć to sąsiadka śmieje się, wiedząc, że zawsze rozpieszczę swoją małą córeczkę.

– Widzę, że jest jak zwykle uparty – mówi Nissa, kręcąc głową. Następnie znów spogląda na Grace. – Ale miałam na myśli na podróż. No wiesz, poślubną. – Porusza figlarnie brwiami, a jej usta rozciąga sugestywny uśmiech. Pamiętam tę jej minę z czasów, kiedy towarzyszyła mojej żonie, gdy piły rano kawę. Po przebudzeniu często znajdowałem je w kuchni.

Odsuwam od siebie tę myśl, koncentrując się na chwili obecnej.

– O, nie! – mówię stanowczo, wyciągając ręce, by powstrzymać to, co może okazać się katastrofą.

– O, nie, co? – pyta Nissa, patrząc na mnie niewinnie.

– Nie pomożesz jej spakować się na podróż poślubną!

– A dlaczego nie? – Kładzie ręce na biodrach. Wiem, co to oznacza. Grace również to robi. Jeśli pojawi się palec...

– Przypomnij sobie, że widziałem, jakie... rzeczy spakowałaś Lenie do Europy. – Odczuwam mieszaninę szczęścia i melancholii.

Europa.

Lena.

Bielizna.

Pocałunki w Londynie, Paryżu, Rzymie i kilku innych miastach, w których całowałem żonę.

– Nathanielu Grancie, powinieneś się wstydzić! Naprawdę uważasz, że spakowałabym takie rzeczy mojej małej Gracie-Lou?

Nie odpowiadam. Patrzą jedynie podejrzliwie. Nie uważam, ja to wiem.

W końcu Nissa się poddaje.

– Dobra – prycha, następnie mamrocze pod nosem: – Psujesz całą zabawę.

Posyłam jej uśmiech.

Jak przez wszystkie te lata i teraz Grace staje się naszym rozjemcą.

– Mam wszystko, czego mi trzeba, ciociu. Naprawdę.

– Jesteś pewna? Bo po rozwodzie z Markiem i ślubie z Thadem mam dostęp do karty kredytowej z wysokim debetem, a mówię ci, dziewczyno, kupiłam ostatnio całkiem fajne rzeczy! Na pewno nie chcesz wpaść i rzucić na nie okiem?

– Nie powinnaś być już w domu? – pytam, wypychając sąsiadkę przez drzwi, by wróciła do siebie. Po rozwodzie Nissa zatrzymała swoją posiadłość, a następnie wyremontowała ją z nowym mężem. Była nieugięta, jeśli chodziło o mieszkanie w tym domu i w tej okolicy. Chciała być blisko Grace, za co nigdy nie zdołam odpowiednio jej podziękować.

– Właściwie to powinnam zjeść kolację.

– Więc zjedz – mówię, szturchając ją i uśmiechając się wbrew sobie.

Nissa posyła Grace buziaka przez ramię i przypomina:

– Do zobaczenia na lotnisku, dziecino. Zadzwoń, gdybyś czegoś potrzebowała.

Wychodzi, trzaskając za sobą drzwiami, ponownie pozostawiając mnie sam na sam z córką.

– Ta kobieta... ma na ciebie zły wpływ – mamroczę pod nosem. Grace za dobrze mnie zna, by wierzyć, że naprawdę tak uważam.

– Kochasz ją tak bardzo, jak ja – wytyka z uśmiechem.

– Tak. Była przyjaciółką twojej mamy. A przez lata stała się i naszą.

– Może powinieneś jej odpuścić, tato – doradza córka. – Wydaje mi się, że cierpi na syndrom pustego gniazda. Jestem ostatnią, która się wyprowadza i bierze ślub, wiesz?

Grace wychowywała się z dziećmi Nissy. Stały się dla niej rodziną, kochali się jak rodzeństwo. Gdyby Lena mogła zobaczyć,

jak się wszystko ułożyło, byłaby zadowolona.

Niemal potrafię zobaczyć jej uśmiech.

– Tato?

– Co? Ach, tak. Opuścę jej trochę. Przynajmniej póki nie wyśle cię do Rzymu z ubraniami dla striptizerki.

Grace obdarowuje mnie promiennym uśmiechem, który odziedziczyła po matce, i odwracając się, mówi:

– Niczego nie mogę obiecać.

Kręcę głową, przyglądając się, jak idzie.

\*\*\*

*Rzym*

*Jezu*, myślę, otwierając drzwi pokoju hotelowego. Emocje uderzają we mnie z taką siłą, że odczuwam to jak fizyczny cios. Praktycznie potrafię wyczuć zapach Leny.

Zastanawiam się, czy błędem nie było myślenie, że poradzę sobie, zatrzymując się w pięknym apartamencie, który niegdyś dzieliłem z żoną. Wydawało mi się, że będzie mi w nim dobrze, że silniej poczuję jej obecność, ale teraz...

Wtaczam się do środka i opadam na najbliższy fotel stylizowany na antyk znajdujący się pośrodku części salonowej. Pokój został przerobiony, ale wciąż jest dość podobny. Kiedy patrzę w stronę okna, z niepokojącą precyzją widzę stojącą tam żonę, przyglądającą się niebywalej scenerii za szybą. Rzeczywiście czuję się bliżej niej, ale mocniej odczuwam również jej stratę. Tęsknota jest tak wielka, jakby Lena odeszła zupełnie niedawno.

To mnie oszalałama.

Kłuje.

Prosto w serce.

Znajomy ból znów odzywa się za mostkiem, więc kładę dłoń na piersi. Zaciskam powieki. Chciałbym wiedzieć, ile jeszcze potrzeba dni, tygodni, lat, nim ponownie połączę się z żoną. Może ta wiedza załagodziłaby moje samopoczucie. Widok zbliżającego się końca.

Albo początku.

Nie chcę skrzywdzić mojej słodkiej Grace, ale córka jest już

dorośla. Zajmie się teraz własnym życiem. Nie musi martwić się o starego ojca, który przysporzy jej tylko problemów.

Chciałbym zobaczyć, jak sobie poradzi, gdy urodzi dzieci, gdy stanie się jeszcze bardziej podobna do matki, ale tęsknię za swoją Leną. Wciąż tak bardzo mi jej brak.

Kiedy tylko mija dyskomfort, wyciągam z torby laptopa. Włączam go i otwieram katalog zawierający obszerną kolekcję zdjęć i filmów. Pospiesznie odnajduję to, czego szukam – folder opatrzony nazwą „LENA”.

Przewijam do właściwego zakresu dat, następnie szukam pliku. Kiedy go dostrzegam, natychmiast najeżdżam na niego myszką.

To krótki filmik, na którym żona mówi do córki. Spałem wtedy w drugim pokoju. Nie wiedziałem, że właśnie odkryła, że jest w ciąży, ani o tym, że zaczęła nagrywać wiadomości dla dziecka, co do którego przyjścia na świat nie była pewna. Gdyby mnie wtedy zapytała, z całą pewnością powiedziałbym, że jej się uda. Po dziś dzień nie poznałem silniejszej osoby niż Lena.

Zatrzymuję wskaźnik nad plikiem, biorę dwa głębokie wdechy i klikam. Po chwili na ekranie pojawia się wspaniała twarz żony. Za jej postacią, niczym na kosztownym obrazie, rozciąga się widok na kościół Świętej Trójcy. Wiem, że gdybym podszedł do okna i rozsunał zasłony, spostrzegłbym dokładnie to samo, pod tym samym kątem. Gdybym się przyłożył, stanąłbym też dokładnie w tym samym miejscu. Nie mam akurat tego w planach. Nie chcę ryzykować, by ta scena, ta chwila, nabrały jakiegoś innego znaczenia.

Moment należał do Leny.

I Grace.

Zdaję sobie jednak sprawę, że oddałbym wszystko, by zobaczyć, jak tam stoi. W tej chwili. Nawet jeśli ten jeden jedyny raz.

Wzdycham ciężko, obserwując żonę, która zaczyna mówić. Jej szczęście z powodu ciąży i rosnąca nadzieja były już wtedy widoczne w postaci słabego rumieńca na policzkach. Choć przez lata obejrzałem to nagranie przynajmniej dwa tysiące razy, za

każdym razem przeszywa mnie dreszcz, gdy słyszę jej głos. Czuję, jakby była ze mną w tym pokoju.

Choć jej nie ma.

I nigdy nie będzie.

Ta świadomość nie przestaje mnie niszczyć.

– Witaj, moje cudowne dziecko – mówi czule, uśmiechając się do kamery. – Dowiedziałam się dzisiaj o twoim istnieniu. Nie wiem, czy kiedykolwiek dane mi będzie cię zobaczyć, powiedzieć ci to wszystko osobiście, ale liczę na to, że dostaniesz przynajmniej to nagranie. Chcę powiedzieć, że jestem dziś dzięki tobie przeszczęśliwa. Wszystko się dzięki tobie zmieniło. Na lepsze. Już pierwszego dnia. Nie mam pojęcia, jakiej będziesz płci, ale poczułam się dziś kompletna. Pragnęłam cię przez całe życie. Całe! Marzę, by poczuć, jak po raz pierwszy mnie kopniesz. Wyobrażam sobie, jak może wyglądać twoja twarz, twoje rączki, nóżki. Wiem, że będziesz idealne. W głębi serca wiem, że będziesz najbardziej perfekcyjną częścią tego świata. Najlepszym, co kiedykolwiek udało mi się stworzyć. I umrę szczęśliwa, jeśli choćby przez sekundę będzie mi dane na ciebie spojrzeć. – Widzę, że Lena próbuje powstrzymać szloch, przez co ściska mi się serce. – Kocham cię. Dziś. Jutro. Zawsze.

Wpatruję się w komputer jeszcze długo po tym, jak twarz żony znika z ekranu. Jak zwykle przy tych nagraniach, żółć podchodzi mi do gardła, jednak to wcale nie powstrzymuje mnie przed odtwarzaniem ich na okrągło. To najlepszy rodzaj cierpienia. Choć nadal odczuwam ból, jest on mniej ostry niż wcześniej. Czas naprawdę leczy rany. Nie potrafi tylko sprawić, bym o niej zapomniał. I nie odbierze mi pragnienia, bym znów z nią był.

Nic tego nie robi.

Dłuższą chwilę później wstaję w końcu z fotela i zsuwam buty. Biorę laptopa do sypialni i wyciągam się na łóżku. Niespiesznie szukam najdłuższego nagrania Leny i wciskam „play”.

Nim odpływam, widzę uderzająco piękną twarz żony, a jej śmiech dźwięczy mi w uszach.

\*\*\*

Nie mógłbym sobie wyobrazić bardziej niesamowitego ślubu. Kwiaty, katedra, muzyka, atmosfera... wszystko jest jak w jednej z tych bajek, które czytałem mojej drogiej córeczce jeszcze kilka lat temu.

Być może nie jestem obiektywny, ale uważam również, że panna młoda jest najbardziej zapierającą dech w piersi kobietą, jaką w życiu widziałem. Oczywiście poza jej matką.

Grace i Lena... Mogłyby być bliźniaczkami. A przynajmniej siostrami. Ich podobieństwo jest niesamowite. Najbardziej różni je podbródek, ponieważ Grace ma go po mnie, a także odcień włosów, które są u niej ciemniejsze niż u matki. Pod każdym innym względem to wykapana Lena.

Modliłem się o to od samego początku. Pragnąłem – nie, potrzebowałem – zobaczyć Lenę po śmierci. To jedyna prośba, jaka została spełniona. Czasami trudno mi przez to patrzeć na córkę, lecz nie sposób też oderwać od niej wzroku. Dziś tak właśnie jest.

Duma i gorycz mieszają się w moim wnętrzu z miłością i samotnością, gdy moja córeczka pojawia się w drzwiach przedsionka. Podchodzi powoli, następnie zatrzymuje się kilka centymetrów ode mnie.

– Gotowy? – pyta. Jej oczy błyszczą niczym czekoladowe brylanty, a policzki czerwieńnią czystym szczęściem. Pamiętam, jakie to uczucie, i mam nadzieję, że moje jedyne dziecko będzie cieszyć się tym szczęściem przez kilka dekad.

– Wyglądasz... cudownie. Nie wierzę, że to moja mała Grace stoi teraz przede mną. Dorosłaś. Jesteś bardzo podobna do matki. – Choć próbuję się nie rozkleić, nie potrafię powstrzymać wilgoci napływającej do oczu. Mrugam, ponieważ mnie pieką i uśmiecham się do córki. – Żałuję, że jej tu nie ma i nie może cię zobaczyć.

– Ja też, tato.

Przez chwilę świat wokół nas milczy, pozwalając, by ojciec i córka dzielili ból, wspominając osobę, której brak im przy tej radosnej okazji. Wiedziałem, że ten dzień będzie trudny. Spodziewałem się



tego. Od śmierci Leny nic nie było perfekcyjne. Miałem z córką niemal idealne momenty, zabawne chwile z rodziną i przyjaciółmi, mimo wszystko nieustannie czegoś mi brakowało. W każdym pomieszczeniu, w każdym wydarzeniu, w każdym wschodzie czy zachodzie słońca czegoś mi stałe brakowało.

Żony.

Drugiej połowy.

Leny.

Kiedy pieśń płynąca za drzwiami się zmienia, Grace wzdycha głęboko, bierze mnie pod rękę i odwraca w kierunku ołtarza. To nasz sygnał.

– Być może oddasz mnie innemu mężczyźnie, ale nigdy się od ciebie nie odsunę. – Poklepuję dłoń córki, a miłość przepelnia mi serce. Podobnie jak Lenie, Grace zawsze udawało się o mnie troszczyć. Nawet jeśli to ja powinienem opiekować się nią, nasze role w pewnych kwestiach się odwróciły. Jej śmiech mnie pobudza, głos koi, jej obecność daje mi cel, a często jej słowa trafiają bezpośrednio w moją duszę. Jakby dokładnie wiedziała, co myślę i czuję, i starała się mnie pocieszyć.

Zupełnie jak Lena.

Wielkie podwójne drzwi otwierają się powoli. Widok rozpościerający się przed nami przypomina bajkę. Nie chciałbym niczego innego dla mojej Grace.

Prostuję się i patrzę na znajdujące się przede mną wnętrza kościoła.

Ceremonia jest tradycyjna i wzruszająca. Wiem, że do dnia, w którym wydam swe ostatnie tchnienie, będę pamiętał o jej pięknie.

Wesele jest tak żywiołowe, jak można by spodziewać się tego po Włoszech. Pojawia się na nim więcej osób, niżli bym się tego spodziewał, ale cieszę się ze względu na Grace. Zdaje się, że to dla niej życiowe wydarzenie. Mam jednak nadzieję, że jej żywot z dnia na dzień będzie coraz lepszy. Z minuty na minutę, z tygodnia na tydzień, z roku na rok.

Wino leje się strumieniami, rozbrzmiewa głośny śmiech, wieczór upływa pod znakiem szczęścia. Rozmowy są naturalne, a moja córka bezbłędnie się w tym wszystkim odnajduje, nawet w sukni ślubnej od Stelli McCartney, której cena półtora miesiąca wcześniej wprowadziła mnie w szok, czuje się jak w drugiej skórze. W tej chwili widzę, że było warto wydać aż tyle.

Moja Grace... warta jest wszystkiego.

Tuż przed dziewiątą dopada mnie zwyczajowe zmęczenie. Mimo tego nie chcę wcześniej wychodzić z wesela. Nie chciałbym przegapić ani pierwszych godzin nowożeńców, ani obsypywania ich płatkami przy odjeździe (Grace nie życzyła sobie ryżu), aby pójść spać.

Wiele godzin później, ściskając w dłoni delikatne płatki, jestem wyjątkowo wdzięczny, że udało mi się zostać, gdy widzę, jak Grace wychodzi spośród gości i kieruje się prosto na mnie. Po drodze nieomal przewraca Nissę, przez co kobieta dostaje czkawki na wpół ze śmiechu, a na wpół z płaczu. Ale moja kolej. Nie jestem pewien, czy nie zareaguję w ten sam sposób. Czy nie dałoby to mojej Gracie zabawnej chwili do zapamiętania?

Obserwuję błyszczącymi oczami, jak zmierza do mnie i obejmuje za szyję. To kolejny moment, który pozostanie ze mną na zawsze. Jej zapach, dźwięk Rzymu, myśl, jak bardzo pragnę, by była tu Lena.

– Dziękuję za dzisiejszy dzień, tato. Nie mogłabym prosić o lepszego ojca. Żadna córka nie ma tak wspaniałego ojca jak mój.

Serce mi rośnie z miłości i uwielbienia.

– Kocham cię, Pipsqueak – mówię ochrypłym głosem, używając ulubionego pieszczotliwego określenia, zdeterminowany, by nie zawstydzić nas obojga płaczem.

Przez lata nadałem jej wiele takich przezwisk. Grace uwielbiała ich słuchać. Kiedy się czymś interesowała, kończyła z nowym imieniem od tej rzeczy, jak wtedy, gdy odkryła wiewiórki. Oglądaliśmy razem kreskówkę, w której główną postacią była ta o imieniu Pipsqueak. Grace przez wiele tygodni domagała się, bym

ją tak nazywał. Cieszyłem się, że w końcu jej przeszło. Tylko kilka ksywek przetrwało próbę czasu. W tym Pipsqueak. Kiedy była nastolatką, uwielbiałem się z nią droczyć, nazywając ją właśnie w ten sposób. Szybko to przydomko stało się moim ulubionym. A gdy Grace nieco podrosła, również je pokochała.

– Kocham cię, tato.

Córka całuje mnie w policzek i zarzuca długimi blond włosami, które spływają jej na plecy. Puszczam ją niechętnie, gdy się odsuwa, by wrócić do swojego nowo poślubionego męża.

Być może to najtrudniejsza część całego wieczoru – oddanie mu jej. Mimo to się podporządkowuję.

Puszczam moje dziecko.

Wiem, że muszę to zrobić. Nie mogę jej dla siebie zatrzymać, aby wypełnić dławiącą ciszę, jaka panuje w domu, gdy nie ma w nim Grace. Nie mogę jej zatrzymać, by rozpraszała mój smutek, który wciąż wrze w mojej duszy, kiedy jest zbyt cicho lub mam kiepski nastrój. Nie mogę jej zatrzymać, by powstrzymała mnie od załamania. Musi wieść własne życie, tego dla niej pragnę, nawet jeśli dla mnie oznacza to złamane serce.

– Grace! – wołam, zanim zniknie w głębi czekającej limuzyny. Unosi głowę i nasze spojrzenia się krzyżują. – Zostawiłem coś dla ciebie w hotelowej recepcji.

– Tato! – Posyła mi spojrzenie mówiące, że i tak wystarczająco wiele na nią wydałem.

Zzywam je machnięciem ręki.

– To nic kosztownego, tylko coś, co chciałem, byś miała, zaczynając nowe życie.

Kiwa głową i posyła mi buziaka. Chwytam go w wyobraźni i wkładam do kieszonki na sercu, w miejscu, gdzie wciąż żyje moja Lena.

Gdzie zawsze będzie żyć.

Nie czekam, aż goście się rozproszą, tylko od razu wychodzę. Wiem, że wiele osób zostanie, by bawić się do wczesnych godzin porannych, ale zapłaciłem obsłudze, by się nimi zajęła, więc

w spokoju mogę iść spać.

Wkładam puste ręce do kieszeni spodni smokingu i powoli przemierzam chodnik w kierunku własnego hotelu.

Ulica wciąż jest pełna ludzi, nie jestem na niej sam, mimo to nigdy nie czułem się bardziej samotny. Odizolowany.

Skupiam się na znakach.

Rozpamiętuję.

Myślę.

Opłakuję.

W tym słodko-gorzkim dniu tylko to mogę robić. Wszystko się teraz zmieni. Znowu. Tylko tym razem nie ma Leny, by mnie ocaliła. Nie ma również Grace.

Docieram do hotelu niebywale wyczerpany. To był bardzo nużący dzień. Kolejny punkt zwrotny w moim życiu.

Wjeżdżam windą na swoje piętro i na miękkich kolanach docieram pod drzwi pokoju. Kiedy jestem w środku, podchodzę do okna i spoglądam na pejzaż, który miała za sobą moja żona na nagraniu, jakie wcześniej oglądałem. Samotny, w pustym pokoju oraz życiu poddaję się i pozwalam sobie na płacz. Nieczęsto to robię, ale czasami...

Nie wydaję przy tym dźwięku.

Nie ruszam się.

Moje ciało się nie trzęsie.

Łzy, które płyną po moich policzkach, pochodzą prosto z serca. Jestem zmęczony. Tak bardzo zmęczony. Wypełniłem obietnicę złożoną żonie – wychowałem córkę. Byłem przy niej, opiekowałem się nią, kochałem ją, wspierałem, a teraz pozwoliłem odejść. Wykonałem zadanie, więc oczekuję nagrody.

Leny.

Czuję w piersi głęboki, mocny ból. Dyszę, wiedząc, że tym razem jest inaczej. Ten ból... coś oznacza.

Nie ma we mnie strachu ani niepewności. Nie ma ani smutku, ani żalu. Jest jedynie spokój. Piękny, ciepły spokój.

Odwracam się i zataczam w kierunku kanapy. Opadam na

poduszki i odchyłam głowę, zamykając oczy, gdy ból obejmuje moją lewą rękę i szyję. Chwilę później, kiedy ponownie unoszę powieki, nie dziwię się, że widzę najpiękniejszą na świecie twarz, która znajduje się zaledwie o kilka centymetrów ode mnie.

Na tyle blisko, że mogę jej dotknąć.

Moja Lena.

Uśmiecham się, wyciągam rękę, a każda cząstka mojej istoty pełna jest ulgi.

– Cześć, kochanie. Bardzo za tobą tęskniłem.

# EPILOG

## GRACE

*Pewnego dnia na strychu...*

Trzymam w dłoniach stary słoć, a oczy wypełniają mi się łzami, smutkiem, który nigdy w całości nie znika. W noc po moim ślubie tata zmarł na zawał serca. Odszedł w pokoju hotelowym, który wiele lat wcześniej dzielił z mamą.

Wiem, że kochał mnie najbardziej na świecie. Ale zdaję sobie sprawę również z tego, że chciał umrzeć. Nieustannie czuł się oddzielony od drugiej połowy swojej duszy. Początkowo tego nie rozumiałam – tego cierpienia, które znaczyło każdy jego dzień – ale kiedy sama wyszłam za mąż, w końcu dotarło do mnie, co musiał czuć. Ból ojca z czasem złagodniał, choć nigdy nie wyblakł całkowicie.

Aż do jego śmierci.

Wtedy tata odnalazł spokój.

Wodzę palcem po inskrypcji na spodzie słoja.

*Kocham Cię, córeczko, bardziej, niż zdołałabym to wyrazić. Nie kładź się spać z brudnymi stopami ani pustym słojem. Każdej nocy zmów modlitwę i nigdy nie przestawaj biegać za świetlikami.*

Mój kochany tatuś.

Przypominam sobie chwilę, gdy ostatnio znów zobaczyłam słoć. Ojciec zostawił go w recepcji hotelowej, w dzień mojego ślubu. Wtedy naczynie było zupełnie nowe. Zawinięte w ozdobny papier z liścikiem z przodu mówiącym: „Choć ten słoć jest nowy, nie jest pusty. Zaczynij napełniać go już dziś, Gracie. Znajdują się w nim wszystkie wspomnienia z twojego ślubu. Nie przestawaj go napełniać. Każdego dnia dokładaj do niego to, czym wypełniasz

życie – szczęście, miłość, rodzinę. Trzymaj w nim także wczorajsze piękno i obietnicę jutra. Nie będzie pusty, póki masz w sobie miłość. Nigdy. Zaczynij więc swoją własną tradycję, choć nie zapominaj o tej starej. Kocham Cię, córeczko. Bądź szczęśliwa”.

Łapanie świetlików do słoja – zachował zwyczaj mojej matki. Nauczyłam tego również moje dzieci. Od samego początku chwytałyśmy z Robbiem robaczki świętojańskie. Te wspomnienia są moimi najcenniejszymi. Przyglądaliśmy się z mężem, jak dzieci, a potem wnuki wypełniały ten słój śmiechem, owadami i rodzinną tradycją. Piękno tego zwykłego szklanego naczynia jest czymś, co zrozumiałam, dopiero gdy byłam starsza. Chodzi o coś więcej niż o zabawę w letnią noc. Chodzi o życie.

O priorytety.

O miłość.

Teraz jesteśmy z Robbiem starzy i słabi. Dochowaliśmy się dzieci, wnuków, a nawet prawnuków. Nie potrafię wyobrazić sobie pełniejszego życia. Może z wyjątkiem tego, że tak krótko mogłam je dzielić z rodzicami. Żałuję tylko, że nie miałam ich dłużej. Mimo to jestem szczęśliwa, że odnaleźli swój spokój, choć jakże inny niż ten, którego pragnie większość z nas. Wcześniej zdążyli jednak przekazać mi kilka cennych lekcji. Nigdy nie wiadomo, kiedy przybędą aniołowie, by zabrać cię do domu. Możesz modlić się jedynie o to, by wcześniej życie podarowało ci wiele pięknych chwil.

Kochamy.

Śmiejemy się.

Mamy nadzieję.

I wypełniamy słój.

Właśnie tym zajmujemy się w życiu. Całą rodziną. Robiliśmy to, kiedy żyła mama. Następnie robiliśmy to z tatą. A po odejściu rodziców podtrzymywałam tę tradycję.

Nie wątpię, że moje dzieci zachowają się podobnie. I ich dzieci. I dzieci ich dzieci. Pewnego dnia znów wszyscy będziemy rodziną. W niebie. Ale do tego czasu...

Z wysiłkiem podnoszę się z fotela, moje kolana trzeszczą

w proteście. Ignoruję ich ból, który towarzyszy mi już od pewnego czasu. Wolałabym być znów młoda, ale wiem, że moje życie chyli się ku końcowi. Póki nie nadejdzie mój czas, nie mam zamiaru się poddawać. Będę się śmiać, kochać i żyć życiem, o którym moi rodzice i mój przystojny Robbie zawsze marzyli. Wypełniając słój. I będę łapać świetliki z dziećmi. I ich dziećmi. I dziećmi ich dzieci, co właśnie w tej chwili zamierzam zrobić.

Ponieważ to właśnie nasze zadanie.

Życie do końca.

Wkładam słój pod pachę, trzymając go przy boku jak piłkę zrobioną z kryształu. Nie ufam starym palcom, gdy znajduję się na stromych schodach. Pomyślałam, że lepiej nieść go w ten sposób, by przetrwał w jednym kawałku.

Kiedy moje stopy stają pewnie na ostatnim drewnianym stopniu, słyszę uradowane głosy wnuków. Serce rośnie mi tak bardzo, że niemal wyrywa się z piersi. Wypełnia mnie wdzięczność, że mogę podzielić się tą tradycją z kolejnym pokoleniem. Mam nadzieję, że ten rytuał nigdy nie zaniknie, bez względu na to, ile dzieci będą miały dzieci moich dzieci. Uśmiecham się, wiedząc, że przekazując tradycję biegania za świetlikami, uhonoruję tatę – a jeszcze bardziej mamę.

Przez kilka sekund mam przed oczami jej twarz. Lena Grant. Uśmiecha się z płaskiego ekranu komputera. Wychowywałam się, znając ją jedynie z pozostawionych przez nią nagrań. Była moją matką, jasnym punktem mojego życia, nawet jeśli nie pamiętam, bym znała ją osobiście. Udowodniła mi jednak, że człowiek może żyć znacznie dłużej niż trwa jego ciało.

Przed oczami pojawia mi się zupełnie inna twarz, tym razem prawdziwa. Słodkie oblicze Molly sprawia, że obraz matki rozpływa się i znika niczym fala na stawie. Wchodzę do wieczornego ogrodu, gdzie jako pierwszą widzę moją prawnuczkę. Ma cztery latka, to najmłodsza spośród moich prawnucząt i żywy obraz swojego dziadka, a mojego syna. Kiedy patrzy na mnie szeroko otwartymi z ekscytacji oczami, widzę błyszczące oczy



mojego męża. Ta jedna cecha jest silna w naszej rodzinie. Jest dumny jak paw, że jego geny są tak wytrzymałe. Często chełpi się swoją męskością. Podobnie jak przez ostatnie sześćdziesiąt kilka lat przewracam tylko oczami i się uśmiecham.

Unoszę głowę i widzę, że powód moich rumieńców siedzi na leżaku i rzuca piłką z najstarszym synem. Ten widok, jak zawsze zresztą, rozgrzewa mi serce. Przepływa przeze mnie wdzięczność niczym krystaliczna woda strumieniem. Muszę podziękować Robbiemu za miłość. Przez lata mówiłam mu o tym dziesiątki razy, ale nigdy nie jest dosyć.

Ten mężczyzna i jego miłość... Cóż, zmieniła moje życie.

Pewnego dnia podziękuję również rodzicom. Kiedy pójdę do nieba, natychmiast podziękuję ojcu, że został ze mną tak długo. Że ukształtował kobietę, jaką teraz jestem.

Następnie odnajdę matkę. Przytulę ją po raz pierwszy, odkąd miałam kilka dni. Uściskam, by poczuć jej dotyk, jej uśmiech i podziękować za to, że oddała dla mnie życie. Że nauczyła mnie, czym jest poświęcenie, jeszcze zanim umiałam wymawiać to słowo. Że pokazała mi, co kobieta jest w stanie zrobić dla swoich bliskich.

Wszystko.

Odpowiedzią jest wszystko.

Kobieta zrobi wszystko dla tych, których kocha.

A póki kocha, jej słój będzie pełen.

## DROGA CZYTELNICZKO

Jak mogłaś się spodziewać, ta książka jest bardzo osobista. Choć jest to historia Leny, zainspirowana została prawdziwymi wydarzeniami. Życiem.

Wszystko zaczęło się od miłości moich rodziców. Ich autentycznej miłości.

Głębokiej.

Niegasnącej.

Podobnej do tej Nate'a i Leny.

Prawdziwej.

Gdyby tata przeżył kolejne dwadzieścia cztery dni, rodzice byłiby małżeństwem przez pięćdziesiąt trzy lata. Jednak mu się nie udało. Odszedł. Jego ciało nie było w stanie dłużej egzystować. Ale nie oznaczało to śmierci ich miłości.

Miłość nie umarła.

Będzie żyć, by inspirować pozostałych członków rodziny, aż po kres ich dni.

Miłość taka właśnie jest.

Trwa.

Tata zmarł czwartego grudnia dwa tysiące piętnastego roku z powodu czwartego stadium raka przełyku. Choć historia zawarta w książce jest fikcyjna, a Lena miała inny nowotwór niż ten mojego taty, cierpienie musiało być podobne. Całą rodziną przyglądaliśmy się, jak walczył w bitwie, której nie był w stanie wygrać. Widzieliśmy, jak walczył, by przełknąć jedzenie, by zapanować nad chorobą, choć przez cały ten czas chudł. Widzieliśmy, jak rak zaatakował jego ciało i niszczył wszystko, czego dotknął. Kiedy pojawiły się przerzuty – głównie do wątroby – wkrótce zaczęło to oddziaływać na inne organy, w tym mózg.

Kilka scen w *Jesteś moim zawsze* jest inspirowanych wydarzeniami, jakich stałam się naocznym świadkiem.

Jakie przeżyłam.

Przez wiele nocy trwałam przy ojcu, gdy przekładał rzeczy na blacie i pracował nad sprawami, które widział tylko on. Również wszystko porządkował. Powiedział mi kiedyś, że ma zbyt wiele do zrobienia, by umierać. Wydaje mi się, że właśnie dlatego tak mocno pracował w swych ostatnich dniach, choć nie wyszedł wtedy nawet z domu i nie dokończył tych zadań. Chciał jednak zostawić wszystko poukładane dla tych, których kochał najbardziej – dla nas.

Przy zmałym umyśle ojca organ po organie przestawał funkcjonować, aż on również zapadł spokojnie w śpiączkę. Póki żyję, nie zapomnę tamtych chwil.

Płakałam, gdy nie widział.

Modliłam się, gdy spał.

Nieustannie powtarzałam, jak bardzo go kocham.

Podobnie jak Nate przy Lenie, spędziłam mnóstwo czasu u jego boku. I nie zrezygnowałabym z ani jednej minuty. Trzymałam go za rękę, która z ciepłej i różowej stawała się blada i chłodna. Mówiłam do niego długo po tym, gdy przestał odpowiadać. Spędziłam z nim cenne chwile zaraz przed jego śmiercią.

Umieranie jest długą, tragiczną drogą dla tych, którzy zostają na świecie, jednak może być również błogosławieństwem dla cierpiących. Choć bardzo trudno było mi dać mu odejść, śmierć stała się błogosławieństwem dla mojego ojca. Widok jego cierpienia rozrywał mi serce, a wiem, że on musiał odczuwać znacznie większy ból. Choć w książce podkoloryzowałam niektóre fragmenty na potrzeby historii, niektóre jej części są jednak prawdziwe i tak przerażające, jak je przedstawiłam.

Najstraszniejsze są najprawdziwsze.

Rak jest potężnym wrogiem.

Zabójcą.

Złodziejem.

Próbowałam uchwycić również historię matki, u której w styczniu dwa tysiące piętnastego roku zdiagnozowano nowotwór. Mama wciąż jest ze mną, za co jestem niezmiernie wdzięczna.

Choć rak potrafi nam wiele odebrać, nie jest w stanie okraść nas z miłości i wspomnień. Podobnie jak moje postacie jestem wdzięczna za każdy dzień spędzony z kochanym tatą. Cenię te wspomnienia jak najwspanialsze klejnoty na świecie. Choć przyjdzie dzień, kiedy nie będę ich już potrzebować. Przyjdzie dzień, gdy znów go uściskam. Może nawet będziemy biegać w niebie za świetlikami. Kto wie? Jednak do tego czasu będę pisać.

Miłość do niego ukształtowała mnie taką, jaką byłam aż do trzeciego grudnia.

Jego śmierć czwartego grudnia uczyniła ze mnie osobę, którą jestem do dziś.

Dziękuję Ci, droga czytelniczko, że sięgnęłaś po tę książkę, że przeczytałaś coś, co jest niepodobne do innych moich opowieści. Niektóre rzeczy zmieniają życie. Wpływają na nie tak mocno, że trudno przypomnieć sobie osobę, jaką było się wcześniej. Właśnie taka stałam się po śmierci taty. Właśnie dlatego też musiałam napisać tę książkę. Chciałam stworzyć coś znaczącego, nie tylko dla siebie, lecz także dla innych.

To moje serce, moja dusza, mój ból i uzdrowienie oprawione w tekturę z napisem *Jesteś moim zawsze*. Musiałam napisać tę książkę. Od tygodni mogłam myśleć jedynie o niej, a kiedy skończyłam, w głębi serca wiedziałam, że to najlepsze, co do tej pory zrobiłam. Z niej właśnie najbardziej jestem dumna. Mam nadzieję, że tata również będzie z niej dumny. Dumny ze mnie. Nic nie sprawiłoby mi większej przyjemności.

Jeśli spodobała Ci się ta historia, jeśli Cię wzruszyła, wycisnęła łzy i przypomniała, co w życiu ważne, proszę, podziel się nią z przyjaciółką. Pragnę, by ta książka pomogła komuś na tym świecie. Żeby była dla kogoś znacząca. Tak jak była znacząca dla mnie, tak jak pomogła mnie. Zależy to tylko od Ciebie, moja wspaniała, niesamowita, cudowna czytelniczko. Masz moc zmienić

czyjeś życie. Być może w to nie wierzysz, ale to prawda. Zmieniłaś moje. I wiem, że jesteś w stanie zmienić życie innych, wspierając ich swoją miłością. Jeśli podobała Ci się ta historia, podaj ją wraz z miłością dalej, może napisz też recenzję, za co będę Ci niesamowicie wdzięczna. Mam nadzieję, że ktoś kiedyś będzie Ci równie wdzięczny.

Dziękuję.  
Szczerze.  
Prawdziwie.  
Zawsze.

Michelle

## PODZIĘKOWANIA

Jako pierwszemu chciałam podziękować mojemu wspaniałemu mężowi, który jest ze mną od dwa tysiące piętnastego roku, kiedy to u mamy zdiagnozowano raka piersi. Dałeś mi spokój w najgorszych latach mojego życia. Tocząc własną walkę, mama poświęciła się, pomagając tacie walczyć na jego froncie. Mama jest Leną mojego życia. Mam nadzieję, że mogę być jej Grace.

Ale wracając do męża...

Wykazałeś się cierpliwością, miłością, dobrocią, pomocą, rozwagą i większym zrozumieniem niż to, na które mogłabym liczyć. Poza tatą jesteś najlepszym mężczyzną, jakiego kiedykolwiek poznałam. Moje życie zostało pobłogosławione Twoją obecnością, to właśnie Ty pokazałeś mi, jak zagubiony był Nate bez swojej Leny. Właśnie tak czuję się bez Ciebie.

Zagubiona.

Kocham Cię, kochanie.

Zawsze.

Pragnę podziękować również przyjaciółce i recenzentce, Courtney Cole. Nie mam pojęcia, jak ze mną wytrzymujesz. Dziękuję Ci za przeczytanie tej historii (więcej niż raz) i za Twój wkład w nią. Nie chciałabym podążać drogą pisarza z nikim innym. Kocham Cię jak siostrę. Na pewno znajdujesz się w moim słoju!

Chciałabym podziękować również Kat Grimes. Jesteś promieniem słońca. Twoja dobroć i zachęta nieustannie rozświetlają moje dni. Sprawiasz, że moje życie jest lepsze, a świat jest cudowniejszym miejscem. Ty również z pewnością znajdujesz się w moim słoju.

Dziękuję moim dziewczynom. Kochane... nie wiem, co bym bez was zrobiła. Każdego dnia jestem wdzięczna, że goście w moim

życiu. Wy również znajdujecie się w moim słoju.

Dziękuję Marion Archer. Masz najlepszy instynkt! Dziękuję, że wcisnęłaś mnie w grafik i że byłaś jak siostra. Ty również jesteś w moim słoju.

Dziękuję Paige Smith za pracę w tak krótkim terminie. Ty również wędrujesz do mojego słoja.

Wreszcie chciałabym podziękować każdemu, kto przeczytał tę historię. Zapewne nie zdajesz sobie sprawy, ale również i Ty znajdujesz się w moim słoju. Tak wiele znaczy dla mnie to, że podobało Ci się moje dzieło. Jesteś w moim słoju. Zawsze.

WHEN IT RAINS,  
THINK OF ME

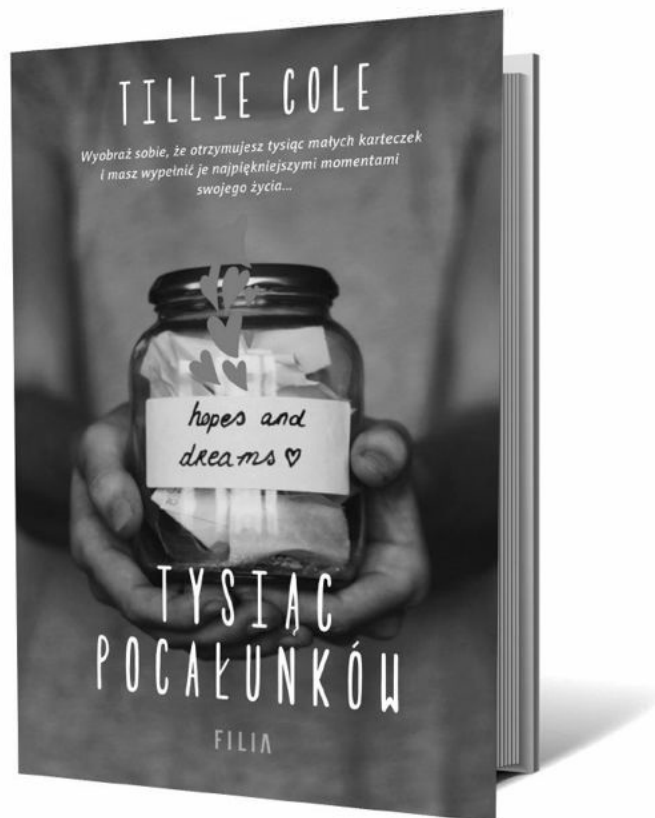


SERIA  
RAINS

Byłam zraniona.  
Zostałam ocalona.  
Odzyskałam nadzieję.

FILIA





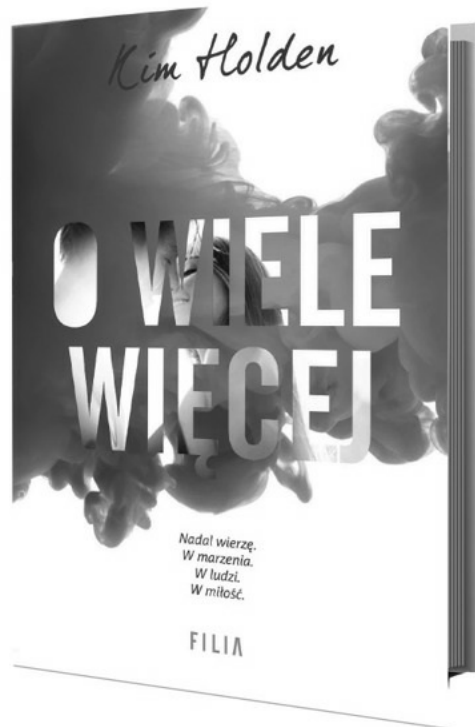
# TYSIĄC POCAŁUNKÓW

---

*Wyobraź sobie, że otrzymujesz tysiąc małych karteczek  
i masz wypełnić je najpiękniejszymi momentami  
swojego życia...*

**FILIA**

NOWA POWIEŚĆ  
KIM HOLDEN!



*Nadal wierzę.  
W marzenia.  
W ludzi.  
W miłość.*

**FILIA**

# SPIS TREŚCI

Okładka

Karta tytułowa

Dedykacja

Cytat

OD AUTORKI

PROLOG: SAVE A PRAYER

ROZDZIAŁ 1: BED OF ROSES

ROZDZIAŁ 2: BITTER WINE

ROZDZIAŁ 3: TAKE BACK THE NIGHT

ROZDZIAŁ 4: SEAT NEXT TO YOU

ROZDZIAŁ 5: IT'S MY LIFE

ROZDZIAŁ 6: LAY YOUR HANDS ON ME

ROZDZIAŁ 7: SOMEDAY JUST MIGHT BE TONIGHT

ROZDZIAŁ 8: BACKDOOR TO HEAVEN

ROZDZIAŁ 9: KEEP THE FAITH

ROZDZIAŁ 10: BLAZE OF GLORY

ROZDZIAŁ 11: GOTTA HAVE A REASON

ROZDZIAŁ 12: LIFE IS BEAUTIFUL

ROZDZIAŁ 13: I'D DIE FOR YOU

ROZDZIAŁ 14: LETTER TO A FRIEND

ROZDZIAŁ 15: I'LL BE THERE FOR YOU

ROZDZIAŁ 16: I GOT THE GIRL

ROZDZIAŁ 17: BAD MEDICINE

ROZDZIAŁ 18: LET'S MAKE IT BABY

[ROZDZIAŁ 19: THE HARDEST PART IS THE NIGHT](#)

[ROZDZIAŁ 20: STICK TO YOUR GUNS](#)

[ROZDZIAŁ 21: BORN TO BE MY BABY](#)

[ROZDZIAŁ 22: BLIND LOVE](#)

[ROZDZIAŁ 23: HUSH](#)

[ROZDZIAŁ 24: WANTED DEAD OR ALIVE](#)

[ROZDZIAŁ 25: YOU GIVE LOVE A BAD NAME](#)

[ROZDZIAŁ 26: SOMETHING FOR THE PAIN](#)

[ROZDZIAŁ 27: ALWAYS](#)

[ROZDZIAŁ 28: PICTURES OF YOU](#)

[EPILOG](#)

[DROGA CZYTELNICZKO](#)

[PODZIĘKOWANIA](#)

[Reklama 1](#)

[Reklama 2](#)

[Reklama 3](#)

[Karta redakcyjna](#)

Tytuł oryginału: Empty Jar

Copyright © 2016 M. Leighton  
Copyright for the Polish edition © 2017 by Wydawnictwo FILIA

Wszelkie prawa zastrzeżone

Żaden z fragmentów tej książki nie może być publikowany w jakiegokolwiek formie bez wcześniejszej pisemnej zgody Wydawcy. Dotyczy to także fotokopii i mikrofilmów oraz rozpowszechniania za pośrednictwem nośników elektronicznych.

Wydanie I, Poznań 2017

Projekt okładki: Olga Reszelska  
Zdjęcie na okładce: © Cecilie\_Arcurs/iStock

Przekład: Katarzyna Agnieszka Dyrek  
Redakcja, korekta, skład i łamanie: Editio

Konwersja publikacji do wersji elektronicznej:  
„DARKHART”  
Dariusz Nowacki  
darkhart@wp.pl

eISBN: 978-83-8075-364-8

**FILIA**

Wydawnictwo FILIA  
ul. Kleeberga 2  
61-615 Poznań  
wydawnictwofilia.pl  
kontakt@wydawnictwofilia.pl



M. LEIGHTON

JESTEŚ  
MOIM  
ZAWSZE

*Nigdy nie przestawaj biegać za świetlikami...*

FILIA